

Fantasy

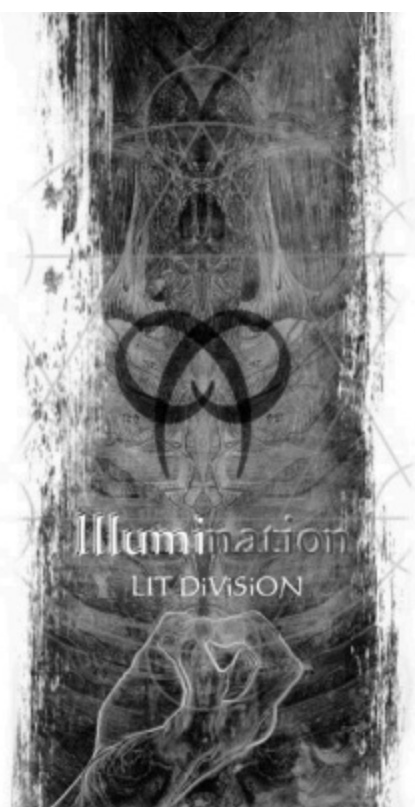
FRITZ LEIBER

Miecze
i ciemne siły



Fritz Leiber

Miecze i ciemne sily



Fritz Leiber

Miecze i ciemne siły

Spis treści

Słowo przedwstępne

CZĘŚĆ I: Słowo wstępne

CZĘŚĆ II: Śnieżne Kobiety

CZĘŚĆ III: Czarny Graal

CZĘŚĆ IV: Zobaczyć Lankhmar i umrzeć

Słowo przedwstępne

Oto księga pierwsza sagi, której bohaterami są Fafhrd i Szary Kocur, dwaj najwięksi fechtownicy, jacy kiedykolwiek istnieli w naszym czy jakimkolwiek innym wszechświecie faktu bądź fikcji, mistrzowie klingi bieglejsi od samego Cyrana de Bergerac, Scar Gordona, Conana, Johna Cartera, d'Artagnana, Brandocha Dahy i Anry Devadorisa. Dwaj kamraci po grób i czarni komedianci po kres wieczności, najpierwsi do wypitki, najpierwsi do wybitki, pełni życia i fantazji, romantyczni i przyziemni, złodziejaszki, szyderycy i błazny, w wiecznej pogoni za przygodą po całym

Świecie, na wieczność skazani, by stawiać czoło przeciwnikom najstraszniejszym, wrogom najokrutniejszym, kochankom najrozkoszniejszym, jak i najokropniejszym spośród czarowników i potworów nadprzyrodzonych oraz innych istot.

Pewnego czarodziejskiego wieczoru Harry Otto Fischer powołał do życia Fafhrda z Kocurem, patronujących im czarodziejów Ningauble'a o Siedmiu Oczach i Sheelbę o Twarzy Bezokiej, jak również – z pomocą autora – miasto Lankhmar. Autor stworzył natomiast i napisał całą resztę, z wyjątkiem dziesięciu tysięcy słów we „Władcach Quarmallu”, nakreślonych przez Fischera.

Po tej książce następują dokładnie według kolejności przygód: „Miecze przeciw Śmierci”, „Miecze we mgle”, „Miecze przeciw czarom” (właśnie z „Władcami Quarmallu”), „Miecze Lankhmaru” oraz „Miecze i lodowa magia”.

CZĘŚĆ I

Słowo wstępne

Oddzielony od nas odmętami czasu i osobliwymi wymiarami drzemie starodawny świat Nehwon, a z nim jego grody, groby i skarby, jego miecze i czary. Wszystkie znane krainy Nehwonu otaczają Morze Wewnętrzne – od północy wiecznie zielone lasy dzikiego kraju Ośmiu Miast, od wschodu koczujący w stepach jeźdźcy mingolscy, pustynia przemierzana przez karawany z bogatych Ziem Wschodnich i rzeka Niwa. Od południa natomiast, połączone z pustynią jedynie przez Tonący Łąd, a z pozostałych stron pod ochroną Wielkiego Dajku i Gór Głodowych, leżą urodzajne pola pszeniczne i warowne miasta Lankhmaru – najstarszej i najświetniejszej z krain Nehwonu. U mulistego ujścia rzeki Hlal, w bezpiecznym zakątku pośród zbożodajnych pól, Wielkich Słonnych Błot i Morza Wewnętrznego, ciągną się potężne mury i labirynt ulic panującej nad całą krainą metropolii pełnej złodziei i wygolonych mnichów, wychudłych magików i opasłych kupców – Lankhmar Nieśmiertelne, Miasto Czarnej Togi. Właśnie w Lankhmar, o ile wierzyć runicznym księgom Sheelby o Twarzy Bezokiej, pewnej ciemnej nocy zeszli się po raz pierwszy ci dwaj podejrzani herosi i postrzeleni obwiesie Fafhrd i Szary Kocur. Gibka, wybujała na niemal siedem stóp postać, kute ozdoby i olbrzymi miecz Fafhrda od razu ujawniały jego pochodzenie – najwyraźniej był on barbarzyńcą z Zimnych Pustkowi na północy, hen za Ośmioma Miastami i Górami Trollich Schodów. Rodowód Kocura stanowił większą zagadkę, której rozwiązania próżno by szukać w chłopięcej sylwetce, szarym stroju, kapturze z mysich skór ocieniającym smagłą, płaską twarz i w zwodniczo delikatnym rapierze, ale jakoś przywodziło to wszystko na myśl miasta i Południe, i mroczne zaułki, i zalane słońcem przestrzenie. W mglistej pomroce rozjaśnione odblaskiem dalekich pochodni, kiedy mierzyli się wyzywającym spojrzeniem, obaj już niejasno przeczuwali, że stanowią parę od dawna rozłączonych pasujących do siebie połówek jakiegoś większego bohatera, i że jeden odnalazł w drugim kompana, który podolał tysiącom wędrowek i żywotowi – czy też stu żywotom – przygód.

W owej chwili nikt by się nie domyślił, że Szarego Kocura zwano kiedyś Myszą ani że Fafhrd nie tak dawno był młodzikiem o wysokim szkolonym głosie, że nosił białe futra i wciąż jeszcze sypiał w matczynym namiocie pomimo swoich osiemnastu lat.

CZĘŚĆ II

Śnieżne Kobiety

W Zimnym Zakątku w samym środku zimy kobiety ze Śnieżnego Klanu prowadziły zimną wojnę z mężczyznami. W swych najbielszych futrach i zawsze w jakiejś niewieściej gromadce snuły się jak zjawy prawie niewidoczne na świeżym śniegu, milcząc, albo co najwyżej posykując niczym rozszoszczone duchy. Z daleka omijały kolumnadę drzew Bożychramu o ścianach z posznurowanych skór i o strzelistym dachu z igliwia sosnowych koron. W ogromnym owalnym Namiocie Niewiast, który stał na straży wysunięty przed rząd mniejszych namiotów mieszkalnych, schodziły się na sabaty śpiewów, złowieszczych zawodzeń i różnorodnych cichych praktyk magicznych dla rzucenia czarów mających mężom w Zimnym Zakątku spętać nogi, omotać lędźwie, zesłać kapiące z nosa smarki i przeziębienia, i zawiesić nad męskimi głowami groźbę Wielkiego Kaszlu i Zimowej Gorączki. Każdy mężczyzna na tyle niemądry, by za dnia chadzać w pojedynkę, był narażony na atak, obrzucenie kulami śniegu, a także – jeśli dał się schwytać – na poturbowanie, czy to skald, czy nawet krzepki łowca. Zaś obrzucenie przez kobiety Śnieżnego Klanu kulami śniegu wcale nie było zabawne. Rzucały co prawda znad głowy, ale często rąbiąc drwa, podciągając się na górne konary i tłukąc skóry, w tym twardą jak żelazo skórę śnieżnego behemota, niezwykle zaprawiły sobie mięśnie do takiej zabawy. I czasami zamrażały swoje kule śnieżne.

Mocarni, zahartowani na mrozach mężczyźni traktowali to wszystko z największą godnością, niczym królowie obnosząc swoje krzykliwe, paradne futra – czarne, rude i farbowane na wszystkie kolory tęczy, pili tęgo, lecz nie tracąc głowy i z handlową żyłką Ilthmarczyków mieniali okruchy bursztynu i ambry, śnieżne diamenty widoczne jedynie nocą, połyskliwe futra zwierzęce i lodowe zioła na tkaniny, ostre przyprawy, wyżarzone na niebiesko i oksydowane żelazo, miód, świece woskowe, prochy zapalne z hukiem buchające kolorowym ogniem oraz inne wyroby cywilizowanego Południa. Niemniej nie omieszkiwali na ogół trzymać się w grupach, a i tak kapiący nos nie ominął, wielu z nich.

To nie handlowi sprzeciwiały się kobiety. Ich mężczyźni byli w tym dobrzy, no i najwięcej z tego korzyści miały one same. O niebo wołały handel od sporadycznych pirackich wypraw, które wiodły tych jakże pełnych wigoru mężczyzn hen daleko wzdłuż wschodnich wybrzeży Morza Zewnętrznego, gdzie już nie sięgał bezpośredni nadzór matriarchalny i gdzie – czego niekiedy obawiały się kobiety – nie sięgała nawet ich potężna magia niewieścia. Członkowie Śnieżnego Klanu nigdy wspólnie nie zapuszczali się dalej na południe niż do Zimnego Zakątka, większość życia spędzając wśród Zimnych Pustkowi oraz u podnóża niezdobitych Gór Gigantów i na podgórzu Gnatów Praszczurów jeszcze dalej na północy, tak że ten obóz śródzimowy stanowił dla nich jedyną okazję pokojowej wymiany z przedsiębiorczymi Mingolami,

Sarheenmaryjczykami, Lankhmarczykarni, a niekiedy i z przygodnym nomadem ze wschodniej pustyni, zakutym po same oczy w grube zawoje, w rękawicach i butach jak na słoniu.

I wcale nie pijaństwu sprzeciwiały się kobiety. Ich mężczyźni zawsze ciągnęli miód i piwo jak smoki, nie wylewając też za kołnierz rodzimej gorzałki ze śniegowego ziemniaka, która bardziej szła do głowy niż wszystkie wina i trunki z największymi nadziejami podtykane im przez kupców.

Nie, to do czego Śnieżne Kobiety zionęły taką jadowitą nienawiścią i co rokrocznie popychało je do wydania zimnej wojny z dopuszczeniem niemal wszelkich chwytów magicznych i fizycznych, to była teatralna trupa w towarzystwie kupców nieuchronnie ściągająca z dygotem na północ, trupa śmiałych aktorek o spierzchniętych twarzach i poodmrażanych nogach, lecz o sercach, które rwały się do miękkiego złota Północy i do niewybrednej choć gwałtownej publiczności. Był to teatr tak bluźnierczy i nieprzyzwoity, że mężczyźni zajęli Bożychram na przedstawienia (jako że Boga nic nie ruszy), zakazawszy kobietom i młodzikom wstępu; teatr, w którym – zdaniem kobiet – grały same sprośne dziady i jeszcze sprośniejsze chude dziewczki z południa, w chuciach tak nieskrępowane jak sznurowania ich kusych szatek, o ile w ogóle chodziły ubrane. Jakoś nie wpadło Śnieżnym Kobietom do głowy, że chuda ladacznica z gołą pupą, sina i pokryta gęsią skórą na zimnisku hulającym w Bożychramie jest mało ponętym przedmiotem miłosnego pożądania, nie mówiąc już o tym, że naraża się na trwałe odmrożenie sobie wszystkiego.

Tak więc rokrocznie w środku zimy Śnieżne Kobiety posykiwały, rzucały uroki, czały się i ciskały zaskorupiałymi kulami śniegu w olbrzymich mężczyzn z godnością ustępujących przed nimi, i tylko stary lub chromy bądź młody, lecz durny czy też spity często wpadał im w ręce i wówczas dokładały mu zdrowo. Ta na pozór komiczna wojna miała swoje ukryte złowrogie oblicze. Powiadano, że Śnieżne Kobiety w im większej gromadzie tym potężniejszą władają magią, a zwłaszcza żywiołem zimna i jego wszelkimi następstwami, jak ślizgawica, nagłe oziębienie ciała, przylgnięcie skóry do metalu, łamliwość przedmiotów, groźna masa śniegu obciążająca drzewa i konary oraz nieporównywalnie większa masa lawiny. I nie było mężczyzny, który by tak naprawdę nie odczuwał lęku przed hipnotyczną mocą w ich niebieskich jak lód oczach.

Każda Śnieżna Kobieta, zwykle z pomocą pozostałych parała się utrzymywaniem absolutnej władzy nad swoim mężczyzną, aczkolwiek dając mu pozorną swobodą, po cichu zaś szeptano, że krnąbrnych mężów spotykają niemiłe przygody, a nawet śmierć od jakiejś zazwyczaj zimnej siły. Zarazem kliki czarnoksiężskie i poszczególne czarownice toczyły między sobą walkę o władzę, w której to grze najtężsi i najmężniejsi z mężczyzn, nawet wodzowie i kapłani, stanowili marne pionki.

Przez dwa tygodnie targowe i dwa dni Występów więdźmy i ogromne mocno zbudowane dziewczyny pospołu strzegły Namiotu Niewiast ze wszystkich stron, podczas gdy z jego wnętrza dolatywały silne wonności i odory, rozbłyski i sporadyczne łuny śród nocy, pobrzękiwania i dzwonienie, trzaski i syki, pienia i szepty zaklęć, nigdy nie ustając dobre.

Ranek wyglądał tak, jak gdyby wszędzie działały czary Śnieżnych Kobiet, bowiem pogoda była bezwietrzna i pochmurna i pasma mgieł snuły się wszędzie w powietrzu ścinającym wilgoć tak raptownie, że kryształy lodu rosły w oczach na każdym krzaku i konarze, na każdej gałuzce i na wszelkiego rodzaju koniuszkach łącznie z koniuszkami wąsów męzczyzn i pędzelkami na uszach oswojonych rysi Były te kryształy błękitne i roziskrzane jak oczy Śnieżny Kobiet, samym swoim kształtem podsuwając żywej wyobraźni ich wysokie, odziane w biel, zakapturzone postacie, gdyż mnóstwo kryształów rosło wzwyż niczym brylantowe płomienie.

Tego też ranka Śnieżne Kobiety pochwyciły, a raczej miały, zdawało się, murowaną okazję pochwycić wymarzoną na wprost ofiarę. Czy to z głupoty bowiem, czy z lekkomyślnej brawury, a może skuszona stosunkowo łagodną klejnotorodną aurą, jakaś aktorka z trupy wybrała się po śniegowej skorupie na spacer poza bezpieczny teren aktorskich namiotów, za Bożychram od strony urwiska i dalej pomiędzy dwoma zagajnikami uginających się pod śniegiem, wiecznie zielonych, niebotycznych drzew, aż na okryty śnieżnym kobiercem naturalny most skalny, gdzie brał początek południowy Stary Gościńiec do Gnampf Nar, zanim środkowa część mostu, chyba na pięciu chłopów długa, runęła sześćdziesiąt lat temu. Przystanąwszy o pół kroku od niebezpiecznej, zadartej krawędzi aktorka przez długą chwilę spoglądała na południe ponad pasmami mgieł cieniejącymi ku dalom jak strzępy długowłosej wełny. Sosny w śniegowych czapach porastające dno Kanionu Trollich Schodów hen pod nią wydawały się z przewieszki nad czeluścią maleńkie niczym białe namioty wojska Lodowych Gnomów. Powoli błędziła oczami po Kanionie Trollich Schodów, od jego początków daleko na wschodzie do miejsca, gdzie zwężając się przechodził w dole u jej stóp, a potem rozszerzał się stopniowo i skręcał na południe, aż wreszcie ramię góry z bliźniaczym kikutem skalnym dawnego mostu po drugiej stronie przesłoniło dziewczynie dalszy widok. Wówczas przeniosła wzrok na szlak Nowego Gościńca, który schodził zaraz za namiotami aktorów i czepiał się odległej ściany kanionu, i po wielu zakosach i wielu zejściach w ogromny wąwóz, i ponownych podejściach – w odróżnieniu od znacznie szybszego, prostszego szusu Starego Gościńca – nurkował między sosny i jak rzeka płynął dnem kanionu na południe. Sądząc po tym uporczywym, tęsknym spojrzeniu, można by aktorkę uznać za głupiotką subretkę, która żałuje już tej mroźnej podróży na północ i trawiona nostalgią wzdycha do jakiegoś zapchlonego zaułka aktorów za Krainą Ośmiu Miast i Morzem Wewnętrznym, gdyby nie spokojna pewność jej ruchów, dumnie wyprostowane ramiona i niebezpieczne miejsce, jakie sobie wybrała do podziwiania widoków. Albowiem to miejsce było niebezpieczne nie tylko z natury, lecz znajdowało się tak

samo jak Bożychram blisko Namiotu Niewiast, a na dodatek było tabu, ponieważ wódz ze swymi dziećmi runął w otchłań śmierci, kiedy zarwało się centralne przęsło skalne sześćdziesiąt lat temu, i ponieważ zastępcze drewniane zawaliło się pod ciężarem wozu handlarza wódką jakieś czterdzieści lat później. Wozu z najognistszą z wódek – strata na tyle straszna, by usprawiedliwić najsurowsze tabu, wzmocnione zakazem ponownej odbudowy mostu. I jakby nie dosyć było tych trzech nieszczęść dla zaspokożenia zawistnych bogów, i aby tabu stało się absolutne, najzręczniejszemu narciarzowi, jakiego Śnieżny Klan wydał od dziesiątków lat, niejakiemu Skifowi przepojonemu śniegową gorzałką i lodową dumą, zaledwie dwa lata temu zachciało się przeskoczyć otchłań od strony Zimnego Zakątka. Podholowany w szybkim rozbiegu, wściekle pchnąwszy kijkami, wzleciał jak szybujący jastrząb, a jednak o długość ramienia chybił drugiego, ośnieżonego skraju – nosami nart wyrznął w skałę i roztrzaskał się na dnie skalnej czeluści kanionu.

Pogrążoną w zadumie aktorkę okrywało długie futro z rudych lisów, przepasane cienkim pozłacanym łańcuszkiem z mosiądzu. Na jej wspaniałych, wysoko upiętych kasztanowatych włosach uformowały się kryształki lodu. Wąskie futro wróżyło chudą figurę, czy przynajmniej na tyle wiotką, aby zadowolić opinię Śnieżnych Kobiet o aktorkach, jednak miała prawie sześć stóp wzrostu, co było zupełnie nie tak, jak być powinno u aktorek, a na pewno było dodatkowym afrontem wobec wysokich Śnieżnych Kobiet zachodzących ją właśnie od tyłu milczącym białym szeregiem. Z nadgorliwego pośpiechu biały futrzany but zapiszczał na lodowym szkliwie.

Aktorka obróciła się jak fryga i bez namysłu pomknęła z powrotem tam, skąd przyszła. Grzęzła w śniegu przy pierwszych trzech krokach, jednak szybko chwyciła zasadę biegania poślizgiem, bez odrywania stóp od powłoki lodu. Wysoko podkasiała rude futro. Pod nim migwały czarne futrzane buty i jaskrawo szkarłatne pończochy. Śnieżne Kobiety ślizgały się w chyżym pościgu, miotając twardo ubitymi kulami śniegu. Jedna taka kula boleśnie uderzyła aktorkę w łopatkę. Uciekinierka popełniła błąd oglądając się. Pech chciał, że dostała dwiema pigułkami w brodę i w czoło – tuż pod uszminkowane usta i nad łukiem przyczerzonej brwi. Okręciło ją, całą obróciło w tył, a wtedy piguła ciśnięta niemalże z siłą kamienia procarza trafiła ją w splot słoneczny, składając dziewczynę we dwoje i odbierając jej płucom dech, który z głośnym „uch” uleciał z rozdziawionych ust. Padła jak ścięta. Białe kobiety przyspieszyły, z ogniem w niebieskich oczach.

Chudawy, lecz wielki, czarnowąsy mężczyzna w burej pikowanej kurtce i w płaskim czarnym turbanie porzucił nagle swój posterunek za obrośniętym kryształami lodu i chropawą korą żywym filarem Bożychramu, puszczając się biegiem ku leżącej dziewczynie. Lodowa skorupa zarwała się pod nim, ale mocne nogi pewnie niosły wąsacza na przód. Wtem zwolnił i w osłupieniu spoglądał, jak wyprzedza go wysoka i smukła, biała postać, biegnąca ślizgowym krokiem tak szybko, że przez chwilę miał wrażenie, że on stoi w miejscu, a ona śmiga na nartach. Zrazu wziął tę białą zjawę za jeszcze jedną Śnieżną Kobietę, lecz dostrzegłszy na niej krótką futrzaną kurtkę

zamiast długiej szuby, nagle uświadomił sobie, że to musi być Śnieżny Mężczyzna albo Śnieżny Młodzik, chociaż właściciel czarnego turbana w życiu nie spotkał męskiego przedstawiciela Śnieżnego Klanu w bieli.

Tajemniczy szybkobiegacz opuścił brodę na pierś i unikał wzrokiem Śnieżnych Kobiet, jak gdyby z obawy przed spojrzeniem w ich gniewne błękitne oczy. Długie rudoblond włosy wysypały mu się spod kaptura, kiedy gwałtownie uklęknął przy powalonej aktorce. Te włosy jak i wysmukłość sylwetki przyprawiły właściciela czarnego turbana o ponowną chwilę strachu, że intruzem jest niezwykle wysoka Śnieżna Dziewczyna rwąca się do zadania pierwszego ciosu z bliskiej odległości. Żadna Śnieżna Dziewczyna nie miałaby jednak rudoblond męskiej brody ani pary masywnych srebrnych bransolet, jakie można było zdobyć tylko na pirackiej wyprawie.

Młodzieniec dźwignął aktorkę i ślizgowym biegiem umykał już przed Śnieżnymi Kobietami, które teraz widziały jedynie szkarłatne pończochy na nogach swej ofiary. Grad śnieżnych kul spadł na plecy wybawcy. Ten zachwiał się nieco, po czym z determinacją popędził dalej, ciągle ze spuszczoną głową. Najwyższa ze Śnieżnych Kobiet, o postawie królowej i o wychudłej twarzy, wciąż pięknej, choć okolonej bielą siwych włosów, przerwała bieg i krzyknęła tubalnym głosem:

–Wracaj, synu mój! Słyszysz, Fafhrdzie, wracaj w tej chwili!

Młodzian kiwnął nisko pochyloną głową, jednak nawet nie zwolnił. Nie oglądając się za siebie, odkrzyknął dość wysokim głosem:

–Wrócę, czcigodna Mor, matko moja... później wrócę!

Pozostałe kobiety podjęły okrzyk:

–„Wracaj w tej chwili!”

Niektóre dodawały takie epitety, jak „Sprośny smarkaczu!”, „Zakało twojej zacnej matki Mor!” i „Ty dziwkarzu! Mor ucięła to wszystko, rozkładając ręce w zamaszystym geście.

–Tu poczekamy – oznajmiła władczy tonem.

Pomarudziwszy trochę, właściciel czarnego turbana oddalił się w ślad za niewidoczną już parą, nie spuszczając czujnego oka ze Śnieżnych Kobiet. Miały rzekomo nie napastować kupców, lecz z kobietami barbarzyńców, tak samo zresztą jak z mężczyznami, nigdy nic nie wiadomo. Fafhrd dotarł pod aktorskie namioty rozbite na obrzeżu wydeptanej w krąg połaci śniegu przed ołtarzem Bożychramu. Wysoki stożkowaty namiot Mistrza Występów stał najdalej od przepaści. W połowie drogi rozłożono wspólny namiot aktorów i aktorek, w jednej trzeciej dla kobiet w

dwóch trzecich dla mężczyzn, kształtem nieco podobny do ryby. Najbliżej Kanionu Trollich Schodów przycupnęła średniej wielkości jurta rozpięta na półobręczach. Nad jej kopułą wiecznie zielony jawor zwieszał ogromny gruby konar, wyciągając dwie mniejsze gałęzie w przeciwną stronę dla równowagi, a wszystkie usiane były kryształami. Półkolisty przód jurty miał zasznurowane poły, lecz Fafhrd z długim, wciąż bezwładnym ciałem w ramionach, nie próbował rozsznurować wejścia.

Mały staruszek z obwisłym brzuchem nadchodził dumnym i poniekąd niepozbanionym wigorem młodzieńca. Wystrojony z tandetnym przepychem, cały się świecił od złota. Nawet wokół niemytych zębów i warg przeblyskiwały mu złote cekiny w długich siwych wąsach i koziej bródce. Jego oczy ponad wielkimi workami były kaprawe i zaczerwienione, ale o czarnych i bystrych źrenicach. Nad nimi siedział fioletowy zawój, a na zawoju złocona korona wysadzana nadkruszonymi gemmami z górskich kryształów nędznie imitujących diamenty. Za małym człowieczkiem podążali jednoręki chudy Mingol i tłusty przybysz ze Wschodu, którego rozłożysta czarna broda zalatywała spalenizną, oraz dwie chuderlawe dziewczyny poziewujące i okutane w grube koce, a mimo to czujne i na dystans jak bezpańskie kotki.

–A to co znowu? – spytał pozłacany przywódca świdrując oczkami Fafhrda i jego brzemię, i nie przegapiając najmniejszego szczegółu. – Zabiło się Vlanę? Zgwałciło się i zabiło, co? Wiedz, zbrodniczy młokosie, że drogo zapłacisz za swoją zabawę. Może mnie nie znasz, ale poznasz. Twoi wodzowie zapłacą mi odszkodowanie, oj zapłacą! Słone odszkodowanie! Mam tu znajomości, przekonasz się. Stracisz te swoje pirackie bransolety i ten swój piracki srebrny łańcuch, co wystaje ci spod kołnierza. Z torbami pójdzie cała twoja rodzina i wszyscy twoi krewni. A już co oni zrobią z tobą...

–Tyś jest Essedineks, Mistrz Występów – stanowczo wszedł mu Fafhrd w słowo, a jego wysoki tenor jak trąbka przebił się przez tyradę zachryplego barytonu. – Jestem Fafhrd, syn Mory i Nalgrona Mitoburcy. Kulturowa tancerka Vlana nie jest ani zgwałcona, ani martwa, tylko ogłuszona kulami śniegu. To jest jej namiot. Otwórz go.

–My się nią zajmiemy, barbarzyńco – zarządził Essedineks, co prawda spokojniejszy już, ale jak gdyby i zaskoczony, i nieco zbity z tropu niemal pedantyczną dokładnością młodzieńca odnośnie tego, kto jest kto i co jest co. – Oddaj ją. I odejź.

–Ja ją położę – postawił się Fafhrd. – Otwieraj namiot!

Essedineks wrzucił ramionami i skinął na Mingola, który z szyderczym uśmiechem rozsznurował i odwinął na bok poły wejścia, posłużwszy się swą jedyną dłonią i łokciem. Zapachniało sandałowe drewno i trociczki. Fafhrd schylił się i wszedł do namiotu. Pośrodku zobaczył posłanie z futer, obok niski stolik zastawiony baterią pękatek flakoników i słoiczków i oparte o nie srebrne zwierciadło. W odległym kącie

na wieszaku wisiały kostiumy. Wyminąwszy piecyk, z którego wiła się smużka bladego dymu, Fafhrd ostrożnie przyklęknął i jak najdelikatniej złożył swój ciężar na posłaniu. Następnie zmierzył Vlanie puls w stawie zawiąsowym szczęki i w nadgarstku, odwinął przyciemnioną powiekę i zajrzał do jednego, a potem do drugiego oka, opuszkami palców delikatnie obmacał spore krwiaki tworzące się na brodzie i na czole. Uszczypnął płatek lewego ucha, a nie widząc reakcji, pokręcił głową i rozchyliwszy rude futro aktorki, zaczął odpinać guziki jej czerwonej sukni. Tak jak wszyscy śledzący te poczynania Essedineks nieco zbaraniał.

–Tam do kroćset... Stój, lubieżny młodzianie! – wrzasnął.

–Cicho! – nakazał Fafhrd, dalej odpinając guziki.

Obu zakutanim w koce panienkom wyrwał się chichot, który szybko stłumiły przykrywając usta dłońmi i tylko rozbawionymi oczyma zerkwały to na Essedineksa, to na po pozostałych. Fafhrd odgarnął długie włosy znad prawego ucha i przyłożył twarz tą stroną do biustu Vlany, pomiędzy piersi o różowobrazowych sutkach, drobne jak połówki owocu granatu. Miał poważną minę. Panienki znowu tłumili chichoty. Essedineks z trudem odchrząknął, szykując dłuższą przemowę. Fafhrd wyprostował się.

–Zaraz wróci do przytomności – oznajmił. – Na siniaki trzeba przyłożyć śniegowe bandaże i zmieniać je, gdy zaczną topnieć. Teraz daj mi szklaneczkę swojej najlepszej wódki.

–Mojej najlepszej wódki!... – zawołał Essedineks w śmiertelnym oburzeniu. – Tego już za wiele. Najsamprzód zachciewa ci się samoobsługowej podglądanki, później szklaneczki czegoś mocnego. Wynoś się stąd natychmiast, bezczelny chłopaku!

–Ja chcę tylko... – zaczął Fafhrd, cedząc słowa już z cichą groźbą w głosie.

Do awantury nie doszło, bowiem jego pacjentka otworzyła oczy, potrząsnęła głową, zamrugała powiekami i nagle usiadła z determinacją, po czym zrobiła się blada jak chusta i wzrok jej zmętniał. Fafhrd ułożył ją z powrotem na wznak i wsunął leżącej poduszki pod stopy. Wreszcie zatrzymał wzrok na twarzy kobiety. Oczy Vlany były otwarte i przyglądały mu się z ciekawością.

Ujrzał drobną twarz o zapadniętych policzkach, twarz nie młodego dziewczątka, lecz dojrzałej, kociej piękności, niezatartej przez siniaki. W wielkich, piwnych oczach ocienionych długimi rzęsami winna być sama słodycz, ale nie było żadnej. Wyzierała z nich wilcza samotność i niezłomna wola, i pełne namysłu ważenie tego, co widzą.

Widziały przystojnego młodzieńca, który miał jakieś osiemnaście zim, cerę jasną, czoło szerokie i długą szczękę, jakby jeszcze nie przestał rosnąć. Wspaniałe, rudozłote włosy spływały mu do ramion. Oczy miał zielonkawe, tajemnicze i skupione

jak u kota. Usta szerokie, z lekka zaciśnięte niczym drzwi nie przepuszczające słów, otwierane jedynie na komendę tych tajemniczych oczu.

Jedna z dziewcząt nalała pół szklanki wódki ze stojącej na niskim stoliku flaszki. Vlana wysączyła wódkę małymi łyżkami, a Fafhrd podtrzymywał jej głowę i szklankę. Druga panienska przyniosła śnieżny pył w wełnianej tkaninie. Uklęła po przeciwnej stronie posłania i opatrzyła siniaki. Dopytawszy się, kto i jak wydarł ją z rąk Śnieżnych Kobiet, Vlana zagadnęła Fafhrda:

–Dlaczego mówisz takim cienkim głosem?

–Jestem uczniem śpiewającego skalda – odparł. Szkoli głosy wysokie, bo należy do prawdziwych skaldów w odróżnieniu od skaldów ryczących, którzy szkolą niskie głosy.

–Jakiej spodziewasz się nagrody za uratowanie mi życia?

–Żadnej.

Nie po raz pierwszy rozległy się chichoty obu dziewcząt ale Vlana uciszyła je spojrzeniem.

–Uratować ci życie było moim świętym obowiązkiem – dodał Fafhrd – gdyż przywódczynią Śnieżnych Kobiet jest moja matka. Muszę spełniać życzenia matki, ale muszę też chronić ją od popełniania złych uczynków.

–Ach tak! I czemuż to się bawisz w kapłana i uzdrowiciela? Czy to jedno z życzeń twojej matki?

Nie pofatygowała się, aby zakryć piersi, lecz Fafhrd patrzył teraz na usta i oczy, nie na jej biust.

–Uzdrowianie należy do sztuki śpiewającego skalda odparł. – Co do mojej matki, to spełniam wobec niej swój obowiązek, ani mniej, ani więcej.

–Vlano, to nieodpowiednia chwila na pogawędki z tym młokosem – wtrącił wyraźnie podenerwowany Essedineks – On musi...

–Zamknij się! – warknęła Vlana. – Dlaczego chodzisz w bieli? – wróciła do wypytywania Fafhrda.

To właściwa barwa dla Śnieżnego Ludu. Nie odpowiada mi nowa moda na ciemne i farbowane futra dla mężczyzn. Mój ojciec zawsze chodził w bieli.

–Umarł?

–Tak. Wspinając się na objętą tabu górę zwaną Białą Kieł.

–A twoja matka życzy sobie, abys chodził w bieli, jak byś był ojcem, który powrócił?

Fafhrd nie odpowiedział ani się nie obraził za to bystre pytanie. Zamiast tego sam zapytał:

–Ile znasz języków poza tym łamanym lankhmarskim?

Wreszcie uśmiechnęła się.

–Co za pytanie! Zaraz, nie za dobrze, ale znam mingolski, kwarchijski, górno – i dolnolankhmarski, quarmallski, staroghulski, mowę pustyni i ze trzy języki wschodnie.

Fafhrd kiwnął głową.

–To dobrze.

–Dlaczego, u licha?

–Bo to oznacza, że jesteś bardzo cywilizowaną kobietą – rzekł.

–I co w tym takiego wspaniałego? – rzuciła z gorzkim uśmiechem.

–Powinnaś to wiedzieć, przecież jesteś tancerką kulturową. Mnie w każdym razie interesuje cywilizacja.

–Ktoś nadchodzi – syknął od wejścia Essedineks. – Vlano, młokos musi...

–Nie musi!

–Tak się składa, że naprawdę muszę już iść – powiedział Fafhrd wstając. – Nie zdejmuj śniegowych bandaży – zalecił Vlanie. – Leż do zachodu słońca. Do tego jeszcze jedna szklaneczka pod gorący bulion.

–Dlaczego musisz już iść? – spytała unosząc się na łokciu.

–Dałem słowo mojej matce – powiedział nie patrząc za siebie.

–Twojej matce!

Pochylony u wyjścia Fafhrd przystanął w końcu i obejrzał się przez ramię.

–Mam wiele obowiązków wobec swojej matki – rzekł.

–Nie mam żadnego wobec ciebie, jak dotąd.

Vlana, chłopak musi odejść. To on – zachrypiał Essedineks teatralnym szeptem. Jednocześnie wypychał Fafhrda, lecz mimo całej smukłości młodzika równie dobrze mógłby próbować zepchnąć drzewo z korzeni.

–Boisz się tego, kto nadchodzi? – Vlana zapinała teraz guziki sukni.

Fafhrd spoglądał na nią w zamyśleniu. Nagle bez jakiegokolwiek odpowiedzi na jej słowa dał nurka między poły namiotu, wyprostował się i czekał na spotkanie z nadchodzącym przez uporczywe mgły mężczyzną, w którego twarzy wzbierał gniew. Mężczyzna był równie wysoki jak Fafhrd, jeszcze połowę tak gruby i szeroki, i ze dwa razy starszy. Nosił brązowe futro focze i wysadzone ametystami srebrne ozdoby, z wyjątkiem dwóch ciężkich złotych bransolet na nadgarstkach i złotego łańcucha na szyi – znamion wodza piratów.

Fafhrd poczuł ukłucie strachu wcale nie przed nadchodzącym mężczyzną, lecz na widok okrywających namiot kryształów, teraz grubszych, widział to wyraźnie, niż wtedy gdy wnosił Vlanę. Żywiołem, nad którym Mor i jej siostrzyce więdźmy miały największą władzę, było zimno – czy w zupie mężczyzny, czy też w jego lędźwiach, w jego mieczu, czy też w linie wspinaczej – zimno obracając wszystko w perzynę. Często zastanawiał się, czy to nie magia Mor uczyniła jego własne serce tak zimnym. Teraz zimno osaczy tancerkę. Powinien ją ostrzec, tylko że ona była cywilizowana i wyśmiałyby go.

Wielki mężczyzna stanął przed nim.

–Czcigodny Hringorlu... – pozdrowił go Fafhrd półgłosem.

W odpowiedzi olbrzym wymierzył mu haka wierzchem lewej dłoni. Fafhrd zręcznie odchylił się i prześliznął po ciosem, po czym zwyczajnie odszedł w swoją stronę. Dysząc ciężko, Hringorl z wściekłością spoglądał za nim przez kilka uderzeń serca, a potem skoczył pod kopułę namiotu

Bez wątpienia Hringorl był najpotężniejszym mężczyzną Śnieżnego Klanu – dumiał Fafhrd – chociaż nie należał do wodzów, albowiem kierował się prawem pięści i urągał obyczajom. Śnieżne Kobiety nienawidziły Hringorla, lecz nie bardzo mogły zdobyć nad nim władzę, skoro jego matka nie żyła, a on sam nigdy nie wziął sobie żony, poprzestając na konkubinach, które przywoził z pirackich wypraw.

Czarnowąsy właściciel czarnego turbanu wychynął nie wiadomo skąd i podszedł do Fafhrda.

–Dobrze się spisałeś, przyjacielu. Także wtedy, gdy przyniosłeś tancerkę.

–Tyś jest Veliks Rzykant – z kamienną twarzą rzekł mu Fafhrd.

Przybysz skinął głową.

–Wożę tu na targ wódki z Klelg Nar. Popróbujesz ze mną najlepszej?

–Żałuję, ale jestem umówiony z matką.

–No to innym razem – beztrosko rzekł Veliks.

–Fafhrd!

To wołał Hringorl. W jego głosie nie było już gniewu. Fafhrd obrócił się. Olbrzym stał pod namiotem, wkrótce jednak nadszedł wielkimi krokami, skoro Fafhrd nie zamierzał wracać. Veliks tymczasem odstąpił, ulatniając się z równą swobodą, z jaką rozmawiał.

–Przepraszam, Fafhrd – burknął Hringorl. – Nie wiedziałem, żeś ocalił życie tancerce. Oddałeś mi wielką przysługę.

Odpiął z nadgarstka jedną z ciężkich złotych bransolet i wyciągnął na dłoni. Fafhrd trzymał opuszczone ręce przy sobie.

–Żadna przysługa – rzekł. – Powstrzymałem jedynie matkę od złego uczynku.

–Żeglowałeś pode mną – zagrział nagle Hringorl czerwieniejąc na twarzy, chociaż ciągle jeszcze się nieco uśmiechał, czy też usiłował to zrobić. – Więc przyjmij ode mnie dary tak jak rozkazy.

Złapał rękę Fafhrda, wcisnął mu w garść gruby ton zamknął luźne palce młodzieńca i cofnął się o krok. Fafhrd w lot przyklęknął i powiedział co tchu:

–Żałuję, lecz nie mogę przyjąć tego, co mi się nie należy. A teraz muszę iść na umówione spotkanie z moją matką.

Po tym wstał szybko, odwrócił się i oddalił. Za nim na nietkniętej śnieżnej gładzi lśniła złota bransoleta. Usłyszał jak Hringorl warknął i zmełł przekleństwo w ustach, ale nie obejrzał się, aby zobaczyć, czy podniósł wzgardzony podarunek, mimo że jakoś niesporo mu było maszerować bez kluczenia i nie uchylając głowy na wypadek gdyby Hringorl postanowił rozwalić mu czaszkę masywną bransoletą. Niebawem doszedł do miejsca, gdzie siedziała jego matka pośród siedmiu Śnieżnych Kobiet, więc razem czekało ich osiem. Wszystkie powstały. Fafhrd zatrzymał się jard przed nimi. Ze spuszczoną głową i patrząc gdzieś w bok, powiedział:

–Już jestem, Mor.

–Długo ci to zajęło – rzekła. – Za długo. Wokół niej sześć głów pokiwało z namaszczeniem. Tylko Fafhrd dostrzegł na rozmazanej granicy pola widzenia, że siódma i najsmuklejsza ze Śnieżnych Kobiet wycofuje się chyłkiem.

–Ale już jestem – powiedział.

–Nie usłuchałeś mego polecenia – zimno oświadczyła Mor. Jej wychudzona, kiedyś piękna twarz wyglądałaby na bardzo nieszczęśliwą, gdyby nie jakże wyniosła i apodyktyczna mina.

–Ale już jestem mu posłuszny – zareplikował Fafhrd.

Dostrzegł, że tamta siódma Śnieżna Kobieta powiewając obszernym białym futrem biegnie teraz bezgłośnie pomiędzy mieszkalnymi namiotami w stronę wysokiego, białego lasu, który wytyczał granice Zimnego Zakątka wszędzie tam, gdzie zabrakło Kanionu Trollich Schodów.

–No dobrze – rzekła Mor. – Teraz też będziesz posłuszny idąc ze mną do namiotu snów na rytualne oczyszczenie.

–Nie jestem skalany – oświadczył Fafhrd. – Poza tym, oczyszczam się na swój sposób, który tak samo zadowala bogów.

Rozległy się cmokania wyrażające zgorzienie i oburzenie całego sabatu Mor. Fafhrd przemawiał śmiało, ale z opuszczoną cały czas głową nie widział twarzy ani sidlących oczu, a jedynie białe sylwetki w długich okryciach, podobne do kępy ogromnych brzoź.

–Spójrz mi w oczy – powiedziała Mor.

–Wywiązuję się ze wszystkich nakazanych zwyczajami obowiązków dorosłego syna – rzekł Fafhrd – od zdobywania pożywienia po zbrojną obronę. Lecz o ile się orientuję, spoglądanie swojej matce w oczy do żadnego z takich obowiązków nie należy.

–Twój ojciec zawsze był mi posłuszny – powiedziała złowróźnie Mor.

–Jak tylko napotkał wysoką górę, zdobywał szczyt nie będąc posłuszny nikomu prócz samego siebie – zaoponował Fafhrd.

–Tak, i zginął na takim szczycie! – wykrzyknęła Mor, w swej apodyktyczności panując nad rozpaczą i gniewem bez ukrywania ich.

–A skąd to wziął się ów wielki mróz, który skruszył mu linę i czekan na Białym Kle? – hardo spytał Fafhrd.

Przy akompaniamencie zduszonych okrzyków sabatu Mor odezwała się swym najtubalniejszym głosem:

–Klątwa matki, Fafhrdzie, na twoją krnąbrność i złe myśli!

–Biorę posłusznie twoją klątwę na siebie, matko – powiedział Fafhrd z dziwną gorliwością.

–Moja klątwa nie jest na ciebie, tylko na twoje złe myśli.

–Niemniej zachowam ją w sercu na zawsze – uciał Fafhrd. – A teraz posłuszny sobie muszę odejść na tak długo, aż opuści cię demon gniewu.

Ze spuszczoną przez cały czas i odwróconą głową oddalił się szybkim krokiem podążając do miejsca w głębi lasu na wschód od mieszkalnych namiotów, lecz na zachodnim skraju ogromnej leśnej odnogi, prawie sięgającej na południu po Bożychram. Goniły za nim gniewne poksykiwania sabatu Mor, ale matka nie wykrzyknęła jego imienia, ani w ogóle żadnego słowa. Niemal żałował, że tego nie zrobiła.

Młoda skóra goi się szybko, jak na psie. Wkraczając w swój ukochany las bez trząśnięcia najmniejszej oszronionej gałązki, Fafhrd miał już zmysły wyczulone, kark prężny i zewnętrzną otoczkę swej jaźni tak czystą dla nowych przeżyć jak dziewiczy śnieg przed nim. Szedł najłatwiejszym szlakiem, zostawiając po lewej stronie wydiamencone zarośla cierniowe, po prawej olbrzymie, prześwitujące spomiędzy sosen występy bladego granitu. Widział ślady ptaków, wiewiórek, jednodniowy trop niedźwiedzia, śnieżne ptaki zrywające czarnymi dziobami czerwone śniegowe jagody; zasyczał nań śnieżny wąż, lecz Fafhrd nie byłby nawet zaskoczony pojawieniem się smoka z oblodzonymi kolcami na grzbiecie. Zatem nie zdumiał się ani trochę, kiedy potężna wysoko rozgałęziona sosna rozwarła oblepioną śniegiem korę ukazując mu swoją driadę – o radosnej, błękitnookiej buzi jasnowłosej dziewczyny, driadę liczącą nie więcej niż siedemnaście zim. W gruncie rzeczy oczekiwał takiej zjawy przez cały czas, od kiedy zauważył ucieczkę siódmej Śnieżnej Kobiety. Udał jednak, że zamurowało go na prawie dwa uderzenia serca. Potem dopiero rzucił się na nią z okrzykiem:

–Maro, czarodziejko moja!

Oburącz oddzielił spowitą w biel istotę od maskujące ją tła i tak trzymając się w ramionach, kaptur w kaptur i usta w usta oboje stali jak jednolita biała kolumna przez co najmniej dwadzieścia uderzeń serca łomoczącego w najcudowniejszy sposób. Po czym ona odnalazła jego prawą dłoń i wciągnęła ją pod swoje futro i przez rozcięcie pod długi kaftan, i przycisnęła do kędziorków na swoim podbrzuszu.

–Zgadnij – szepnęła liżąc go w ucho.

–To jest kawałek dziewczęcia. Założę się, że to jest... – zaczął jak najradośniej, chociaż jego myśli gnały już szaleńczo w zupełnie nowym, straszliwym kierunku.

–Nie, idioto, to jest coś, co należy do ciebie – podpowiedział wilgotny szept.

Straszny kierunek przybrał postać lodowej rynny wiodącej ku pewności. Mimo to Fafhrd rzekł dzielnie:

–Cóż, ja żywiłem nadzieję, że nie zadajesz się z innymi, chociaż masz do tego prawo. Muszę przyznać, że wielki to dla mnie zaszczyt...

–Głupi zwierzaku! Miałam na myśli, że to jest coś, co należy do nas.

Straszny kierunek był już czarnym lodowym tunelem, którym spadało się w wilczy dół. Odruchowo, acz z odpowiednim biciem serca, Fafhrd spytał:

–Nie...?

–Tak! Jestem pewna, ty potworze. Już dwa miesiące i nic.

Nigdy dotąd wargi Fafhrda tak dobrze nie spełniły swojej powinności zamykania słów. Kiedy się wreszcie rozwarły, i one, i język za nimi podlegały już całkowitej kontroli ogromnych zielonych oczu. Słowa sypnęły z radosnym pośpiechem:

–O bogowie! Cudownie! Jestem ojcem! Ty to jesteś zdolna, Maro!

–Jeszcze jak zdolna – przyznała dziewczyna – żeby po twoich niedźwiedzich uściskach ukształtować coś tak delikatnego. A teraz muszę ci odplacić za twą nieładną uwagę o „zadawaniu się z innymi”.

Zakasawszy z tyłu spódnicę podprowadziła pod kaftanem obie jego dłonie do supła na rzemykach przy swej kości ogonowej. Śnieżne Kobiety nosiły futrzane kaptury, futrzane buty, długie futrzane pończochy podwiązywane do paska w talii, jeden lub dwa futrzane kaftany i futrzaną szubę – ubiór praktyczny i różniący się od męskiego jedynie dłuższymi szubami. Obracając w palcach węzeł, od którego odchodziły trzy naprężone rzemyki, Fafhrd rzekł:

–Doprawdy, Maro najdroższa, nie przepadam za tymi pasami cnoty. Nie są to pomysły godne cywilizacji. Poza tym, muszą utrudniać krążenie krwi.

–A idźże ty ze swoim bzikiem na punkcie cywilizacji. Wykocham ci ją i wybiję z głowy. Na co czekasz, rozwiąż supeł i przekonaj się, że nikt inny, tylko tyś sam go zapiął

Fafhrd spełnił prośbę i musiał przyznać, że nie był to węzeł innego mężczyzny, lecz

jego własny. Zadanie zajęło i trochę czasu i sprawiało rozkosz Marze, sądząc po jej cichutkich piskach i jękach, delikatnych szczygnięciach i kąsaniach. Sam Fafhrd zaczął przejawiać zainteresowanie. Po wywiązaniu się z zadania otrzymał nagrodę wszystkich kłamców: jako że powiedział dziewczynie wszystkie odpowiednie kłamstwa. Mara kochała go z całego serca, kusząco okazując to całym swoim ciałem, potęgując jego ciekawość i podniecenie. Po określonych manipulacjach i innych przejawach uczucia, oboje runęli w śnieg jedno przy drugi moszcząc się i zupełnie chowając w białe futrzane szuby i kaptury. Przechodzień pomyślałby, że śniegowy pagór ożył w konwulsjach i być może rodzi właśnie człowieka śniegu, elfa lub demona. Po pewnym czasie śnieżny pagórek zastygł w bezruchu i ówże hipotetyczny przechodzień musiałby się bardzo nisko nachylić, aby uchwycić głosy dobiegające z jego wnętrza.

MARA: Zgadnij, o czym myślę.

FAFHRD: Że jesteś Królową Rozkoszy. Aaaj!

MARA: Tobie aaaj i oooj na dodatek! I że ty jesteś Królem Zwierząt. Nie, głuptasie, powiem ci. Myślałam o tym, że cieszę się, żeś swoje południowe wojaże odbył przed ślubem. Jestem pewna, że zgwałciłeś, a nawet wyuzdanie kopulowałeś z tuzinami południowych kobiet, co pewnie tłumaczy twoje obstawanie przy cywilizacji. Ale nie martwi mnie to ani trochę. Wykocham cię z wszystkiego.

FAFHRD: Maro, posiadasz umysł geniusza, niemniej jednak przeceniasz niezmiernie ów jeden piracki rejs, jaki odbyłem pod Hringorlem, a zwłaszcza liczbę okazji do miłosnych przygód, których mi dostarczył. Po pierwsze, wszyscy mieszkańcy, a już szczególnie wszystkie młode kobiety każdego łupionego przez nas przybrzeżnego miasta, uciekały w góry, zanim jeszcze zdążyliśmy przybić do brzegu. A jeśli już w ogóle doszłoby do gwałcenia jakiejś kobiety, to ja jako najmłodszy znajdowałbym się na szarym końcu kolejki gwałcicieli, co niezbyt mnie pociąga. Prawdę mówiąc, jedynymi ciekawymi ludźmi, jakich spotkałem podczas tej okropnej wyprawy, byli dwaj starcy więzieni dla okupu, od których liznałem nieco quarmallskiego i górnolankhmarskiego, oraz chudzina terminator trzeciorzędny czarodzieja. Ten chłopak zręcznie władał sztyletem i miał mitoburczy umysł, podobnie jak ja i mój ojciec.

MARA: Nie martw się. Życie twoje nabierze barw, gdy się pobierzemy.

FAFHRD: Tu się właśnie mylisz, najdroższa Maro. Zaczekaj, daj mi wytłumaczyć! Znam swoją matkę. Gdy tylko się pobierzemy, Mor zagoni cię do gotowania i wszelkiej roboty w namiocie. Będzie cię traktować w siedmiu ósmych jak niewolnicę i być może w jednej ósmej jako moją konkubinę.

MARA: Ha! Ciebie, Fafhrdzie, naprawdę trzeba będzie nauczyć rządzenia matką. Ale

tym też się nie trap, najdroższy. Najwyraźniej nie masz pojęcia, co silna i niespożyta młoda żona ma w zanadrzu na teściową. Już ja ją usadzę, choćbym nawet musiała babę podtruć... och, nie na śmierć, tyle, by dostatecznie zmięła. Zanim trzy razy przybędzie księżyca, już zaczniesz skakać, jak jej zagram, a ty poczujesz się mężczyzną w dwójnasób. To zrozumiałe, że zdobyła nienaturalny wpływ na ciebie, skoro jesteś jedynakiem, a twój szalony ojciec zginął młodo, ale...

FAFHRD: Już teraz czuję się w dwójnasób mężczyzną, ty amoralne i trucicielskie wiedźmiątko, i zamierzam to sprawdzić niezwłocznie na tobie, moja tygrysico lodowa. Broń się! Ha, tu cię mam...!

Po raz drugi śniegowy pagórek dostał konwulsji niczym wielki niedźwiedź lodowy konający w ataku padaczki. Niedźwiedź skonał przy dźwiękach sistrum i trójkątów – muzyce uderzających o siebie i pękających, migotliwych kryształów lodu, które w nienaturalnej liczbie i rozmiarach urosły na szubach Fafhrda i Mory w trakcie ich rozmowy.

Krótki dzień pędził ku wieczorowi jak gdyby samym bogom, którzy kierują słońcem i gwiazdami, spieszo było obejrzyć Występy.

Hringorl obradował z trójką swych przybocznych zbirów, Horem, Harraksem i Hreyem. Były spojrzenia wilkiem, kiwanie głowami i padło imię Fafhrda.

Najmłodszy żonkoś w Śnieżnym Klanie, próżny i niedowarzony kogucik, wlaź w zasadzkę i padł bez czucia pod śnieżkami patrolu młodych Śnieżnych Żon, które przyuwały go w bezwstydnym rozmowie z mingolską aktoreczką. Nieodwołalnie stracony dla dwudniowych Występów był od tej pory czule, lecz powoli przywracany do zdrowia przez własną żonę, uprzednio należącą do najgorliwszych kulomiotek. Mara zaszła z pomocą do ich obejścia, szczęśliwa jak śnieżna gołębica. Ale kiedy tak spoglądała na męża, jakże bezsilnego, i na żonę jakże troskliwą, gdzieś uleciały jej uśmiechy i marzycielska miłość do bliźnich. Zrobiła się nerwowa i dziwnie roztrzęsiona, jak na tak atletyczną dziewczynę. Trzykrotnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć i zaraz je zamykała, aż wreszcie odeszła bez słowa.

Mor ze swym sabatem rzuciła w Namiocie Niewiast zaklęcie na Fafhrda, mające doprowadzić go do domu oraz drugie na zmrożenie mu łądźwi, a potem przeszła do omawiania mocniejszych środków przeciwko całemu światu synów, mężów i aktorek.

Drugi czar nie wywarł najmniejszego skutku na Fafhrdzie, pewnie dlatego, że ten właśnie brał śniegową kąpiel – był to powszechnie znany fakt, że magia wywiera niewielki skutek na tych, którzy poddają się akurat tym samym efektom, jakie zaklęcie ma na nich ściągnąć. Rozstawszy się z Marą, zrzucił ubranie, dał nura w śnieżną zaspę i odrętwiającym białym miałem natarł sobie wszystkie powierzchnie, szczeliny i zagłębienia ciała. Następnie gęstoiglastymi gałązkami sosny otrzepał się i

zbił, przywracając krążenie krwi. Już w ubraniu odczuł szarpnięcie pierwszego zaklęcia, ale stawiający mu opór, przekradł się do namiotu dwóch starych kupców mingolskich, Zaksa i Effendrita, byłych przyjaciół ojca, i w stercie skór przedrzemał u nich do wieczora. Ani pierwsze, ani drugie zaklęcie matki nie było władne podążyć za nim tam, gdzie zgodnie z targowym zwyczajem znajdował się drobny skrawek mingolskiego terytorium, niemniej namiot Mingoli począł siadać pod nadzwyczajnym mrowiem kryształów lodu, które pośród dzwonienia strącali tyczkami mingolscy weterani, zasuszeni i zwinni jak małpy. Dzwonienie miło wdzierało się do snu nie budząc Fafhrda, co zabolaloby jego matkę, gdyby o tym wiedziała – jej zdaniem przyjemność i odpoczynek nie służyły mężczyznom. Do snu Fafhrda wkroczyła Vlana wyginając w tańcu ciało okryte siecią z cieniutkich srebrnych nitek, na której węzełkach wisiały miriady maleńkich, srebrnych dzwoneczków. Dopiero to marzenie senne sprawiłoby Mor okrutny ból – szczęście zaiste, że nie czyniła w owej chwili użytku ze swej mocy czytania myśli na odległość.

Prawdziwa Vlana zapadła w drzemkę pod opieką mingolskiej dziewczyny, która za pół smerduka z góry zajęła się stosowną zmianą śniegowych bandaży, a widząc wyschnięte usta aktorki, za każdym razem zwilżała je słodkim winem i wówczas parę kropli ściekało pomiędzy uśpione wargi. Rachuby i skryte zamysły rozpętały burzę w głowie Vlany, lecz ilekroć wybiły ją ze snu, uśmierzała je wschodnim łańcuszkowym zaklęciem, które szło mniej więcej tak: „skok w bok... śnij, śpij... śni, śpi... senna panna... kłoni skroń... płoni srom... ćmi ćmy... panna manna... bieli kły... senna henna... śmierć, świerszcz... krok w mrok... skok w bok...” i tak dalej w to kazirodcze kółeczko. Wiedziała, że kobieta może równie dobrze dostać zmarszczek na umyśle, jak na skórze. Wiedziała też, że samotna kobieta może liczyć tylko na siebie. I wiedziała wreszcie, że mądry komediant bierze przykład z żołnierza, śpiąc, kiedy się da.

Snując się bez określonego celu, Veliks Ryzykant podsłuchiwał co nieco ze zmowy Hringorla, zauważył, jak Fafhrd znika w namiocie Mingoli, dostrzegł, że Essedineks pije więcej niż zwykle i przez jakiś czas szpiegował Mistrza Występów.

W żeńskiej jednej trzeciej aktorskiego namiotu w kształcie ryby, Essedineks wiódł spór z mingolskimi siostrami bliźniaczkami i młodzusięnką Ilthmarką o ilość tłuszczu, którym panienki chciały nasmarować swe wygolone ciała do wieczornego przedstawienia.

–Na prochy przodków, wy mnie puściecie z torbami – zaprotestował z jękiem. – I będziecie wyglądać równie ponętnie jak kupy sadła.

–O ile wiem, Mężczyźni Północy lubią sadło u swoich kobiet, a skoro dobre jest wewnątrz, to dlaczego nie na wierzchu? – spytała jedna z Mingolek.

–Co więcej – dodała ostro bliźniaczka – jeśli ty myślisz, że poodmrażamy sobie

cycycki i tyłki, żeby sprawić frajdę publice złożonej ze starych śmierzających skór niedźwiedzich, to masz nie po kolei w głowie.

–Nie trap się, Esinku – Ilthmarka pogładziła go po spurpurowiałym policzku z porośniętym rzadką, siwą szczecina. – Ja zawsze wypadam najlepiej, kiedy cała się kleję. Już oni nas pogonią po tych ścianach tak, że będziemy tylko strzelać im z łap jak trzy śliskie pestki melona.

–Pogonią...? – Essedineks schwycił Ilthmarkę za szczupłe ramię. – Nie wywołasz mi żadnej orgii dziś wieczorem, rozumiano? Kuszenie się opłaca. Orgie nie. Chodzi o to, by...

–Dobrze wiemy, na ile kusić, tatko szmatko – wtrąciła pierwsza Mingolka.

–Potrafimy zapanować nad nimi – uzupełniła jej siostra.

–A gdybyśmy nie potrafiły, Vlana zawsze da sobie radę – dokończyła Ilthmarka.

W miarę jak wydłużały się prawie niedostrzegalne cienie i mrok zapadał w osnutym mgiełką powietrzu, wszędobylskie kryształy rosły jakby jeszcze odrobinę szybciej. Rejwach w namiotach jarmarcznych stopniowo zamierał, aż skończył. Nieprzerwany niski zaśpiew z Namiotu Niewiast wzniósł się na wyższy ton i był bardziej słyszalny. Z północy nadleciał wieczorny powiew budząc dzwonki we wszystkich kryształach. Śpiewy zabrzmiały grubiej, a powiew i dzwonki ucichły jak na komendę. Znowu nadciągała mgła snując się od wschodu i od zachodu, i kryształy znów podrosły. Pienia kobiet ścichły do szeptów. Cały Zimny Zakątek zastygł w ciszy i napięciu, oczekując nocy. Dzień czmychnął za zachodni horyzont lodowych zębów, jakby obawiał się ciemności. W wąskiej przestrzeni między namiotami aktorów a Bożychramem narodziła się jakaś iskierka, jasny ognik zamigotał i trząsknął przez dziewięć... dziesięć... jedenaście uderzeń serca, błysnął płomień i najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej w deszczu iskier wleciała kometa z miotlastym ogonem pomarańczowego ognia. Wysoko nad sosnami, niemal u progu niebios – dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy – ogon zgasł, a kometa z hukiem rozprysła się na dziewięć białych gwiazd. Raca obwieściła pierwszą noc Występów.

Wnętrze Bożychramu przypominało wysoki przedziwny okręt piracki ciosany z zimnej ciemności, lichy oświetlony ogrzewany półkolem świec na dziobie będącym ołtarzem przez całą resztę roku, a dzisiaj sceną. Na dziobie, na rufie i na obu burtach stało jedenaście żywych sosen, udając maszty. Żagle – w rzeczywistości ściany – były z pozszywanych skór ciasno dowiązanych do masztów. Zamiast nieba w górze, dobre pięć wysokości chłopca nad pokładem, zaczynały się gęsto splecione gałęzie sosen, białe od śniegu. Rufę i śródokręcie tej niesamowitej nawy, żeglującej jedynie z wiatrem wyobraźni, wypełnili Śnieżni Mężczyźni, którzy w swych kolorowych, choć w

mroku niemal czarnych futrach przysiedli na pniakach i grubo zrolowanych kocach. Mrukliwie gwarzyli i dowcipkowali, a wybuchy pijackiego śmiechu nie były zbyt głośne. Z chwilą wkroczenia do Bożychramu, a właściwie do Bożej Arki, ogarnęła mężczyzn religijna cześć i bojaźń, pomimo, a kto wie czy nie właśnie z powodu profanacyjnego wykorzystania świątyni tej nocy. Ozwał się rytmiczny werbel, złowrogi jak stąpanie śnieżnego lamparta i początkowo tak nieuchwytny, że nikt z obecnych dokładnie nie wiedział, kiedy to się zaczęło, i tylko poprzedni gwar i poruszenie wśród widzów ustały jak uciął nożem, a jakże wiele par dłoni zacisnęło się lub luźno spoczęło na kolanach, podczas gdy tyleż samo par oczu wlepionych było w oświetloną świecami scenę pomiędzy dwoma parawanami wymalowanymi w czarne i szare rozety. Werbel zadudnił głośniej, przyspieszył, dziergając wyszukane arabeski rytmu, po czym powrócił do lamparcich kroków. Idealnie w rytm uderzeń bębna na scenę wbiegł drapieżny smukły kot. Zwierz miał srebrzyste futro, krótki tułów, długie łapy, długie, postawione na sztorc uszy, długie wąsy, długie białe kły i z jarda wysokości w kłębie i w zadzie. Jedyłą człowieczą cechą były długie, lśniące, proste czarne włosy, jak grzywa spływające mu na kark i w dół przez prawy bark na pierś. Węsząc ze spuszczonego łbem jakby na tropie i pomrukując z głębi gardła, lampart trzykrotnie okrążył scenę. Nagle dostrzegł widzów i przysiadł na zadzie, rozjuszony grożąc im długimi połyskliwymi pazurami przednich łap. Dwóch widzów do tego stopnia uległo złudzeniu, że aż sąsiedzi musieli ich powstrzymać od rzucenia nożem czy ciśnięcia toporkiem w coś, co bez wahania uznali za prawdziwą i niebezpieczną bestię. Podwinąwszy czarne wargi, lampart obnażył kły i pomniejsze zębiska, omiatając widzów spojrzeniem. Błyskawicznie obracał nozdrza to w jedną to w drugą stronę i wlepił w nich brązowe oczy, a jego krótkowłose ogon kołysał się tam i z powrotem w takt bębna. Następnie odtańczył na czworaka lamparci taniec życia, miłości i śmierci, niekiedy wspinając się na zadnie łapy. Brykał i tropił, prężył się i kulił, skakał i uskakiwał, pomiaukiwał i przeciągał się lubieżnie jak kot. Mimo długich czarnych włosów trudno było widzom dopatrzeć się w nim kobiety pod obcisłym strojem z futra. Tym bardziej, że przednie łapy stworzenia były tej samej długości, co tylne i wydawało się, że mają o jeden staw więcej niż ludzkie ramię.

Skrzecząc i łopocząc, coś białego wyfrunęło zza parawanu. Wielki, srebrny kot w szybkim wyskoku pacnął przednią łapą. Do wszystkich uszu w Bożychramie dotarł pisk i trzask szyjnych kręgów śnieżnej gołębicy. Trzymając martwego ptaka przy kłach, wielki kot stanął już zupełnie po kobiecemu, obrzucił widownię powłóczytym spojrzeniem, po czym bez pośpiechu odmaszerował za najbliższy parawan. Z widowni doleciało westchnienie przepelnione odrazą i pożądaniem, chęcią poznania, co będzie dalej i zobaczenia, co dzieje się w tej chwili po drugiej stronie parawanu.

Fafhrd jednakże nie westchnął. Po pierwsze, najmniejszy ruch mógł zdradzić jego kryjówkę. Po drugie, widział jak na dłoni wszystko, co dzieje się po obu stronach zdobionych rozetami parawanów. Objęty zakazem oglądania Występów z racji młodego wieku, nie mówiąc już o zakusach i zakłęciach Mor, pół godziny przed

rozpoczęciem przedstawienia, gdy nikt nie patrzył, wspiął się na jeden z kolumnowych pni Bożychramu od strony urwiska. Mocne sznurowanie skórzanych ścian sprawiło, że była to najłatwiejsza wspinaczka pod słońcem. W górze, pilnie bacząc, aby nie stracić ani brunatnego igliwia, ani śniegu, wyczołgał się na dwie grube, tuż koło siebie wyciągnięte nad Bożychramem sosnowe gałęzie, wyszukując dogodny prześwit, skąd widział scenę, sam całkowicie ukryty przed widzami. Pozostało mu już tylko wytrzymać w bezruchu. Miał nadzieje, że każdy, kto przypadkiem spoglądając w górę odkryje fragmenty białego ubioru, weźmie je za śnieg. Teraz obserwował, jak obie Mingolki na gwałt ściągają z ramion Vlany obcisłe futrzane rękawy, a wraz z nimi obszyte futrem i zakończone pazurami szczudła, które aktorka trzymała uprzednio w dłoniach jako przedłużenie rąk. Następnie zwlokły futrzane osłony z jej nóg, podczas gdy siedząca na stołku właścicielka tychże nóg zdjęła kły z własnych zębów i prędko odpięła maskę lamparta pospołu z okryciem barków. W chwilę później jako kobieta jaskiniowa w kusej przepasce ze srebrzystego futra wytoczyła się na scenę, ściskając w garści i leniwie ogryzając wielgachną kość. W swej pantomimie przedstawiła dzień z życia kobiety jaskiniowej: dogładanie ognia i niemowlaka, karcenie dzieciarni, żucie i mozolne zszywanie skóry. Sprawy przybrały nieco ciekawszy obrót z chwilą powrotu do domu małżonka, niewidocznego we własnej osobie, lecz obecnego w grze aktorki. Widzowie szczyrzyli zęby, bez trudu odczytując scenę, w której zażądała, aby jej pokazał, co też upolował, i wyraziła rozczarowanie marnym łupem, odtrąciwszy męzowskie amory. Zaśmiewali się do rozpuku, gdy próbując mu przyłożyć ogryzaną kością w rewanżu, tak oberwała, że jak długa rymnęła w gromadkę dziatwy. Z tej pozycji ulotniła się za drugi parawan kryjący przejście dla aktorów (zwykle dla Śnieżnego Kapłana) oraz jednorękiego Mingola, który pięcioma rozbieganymi palcami robił całą muzykę, wsunąwszy bębenek pomiędzy stopy. Vlana zdarła z siebie resztki futra, czterema zręcznymi pociągnięciami ołówka nadała skos oczom i brwiom, jednym z pozoru ruchem wsunęła ramiona w długi szary chałat z kapturem i wróciła na scenę w roli Mingolki ze Stepów. Po odegraniu kolejnej pantomimy usiadła z wdziękiem, krzyżując nogi przed niskim, zastawionym słoiczkami proscenium jak przy stoliku i zabrała się do starannego nakładania na twarz makijażu i modelowania fryzury, mając widownię za zwierciadło. Zsunęła kaptur i chałat, pozostając w bardziej skąpym kostiumie z czerwonego jedwabiu, ukrywanym dotychczas pod futrem. Był to wprost fascynujący widok, kiedy różnobarwnymi szminkami, pudrami i błyszczkami malowała wargi, policzki i oczy, i kiedy za pomocą długich szpilek o główkach z drogich kamieni upinała czarne włosy w wysoką i kunsztowną fryzurę.

Wtedy to właśnie czyjaś ręka poddała zimną krew Fafhrda ogniowej próbie, pakując mu wielką bułę śniegu w oczy i nie ustępując. Ani drgnął przez trzy uderzenia serca. Przy czwartym schwycił i odrobinę ściągnął obcy, dość szczupły nadgarstek w dół, potrząsając przy tym głową i mrugając oczyma. Pochwycony nadgarstek wyrwał się, a buła śniegu spadła prościutko za kołnierz wilczej szuby siedzącego w dole człowieka Hringorla imieniem Hor. Z dziwnie zdławionym okrzykiem Hor zaczął już

zadzierać głowę, lecz na szczęście Viana zrzuciła w tym momencie czerwony, jedwabny stanik i jęła namaszczać sutki koralowym kremem. Rozejrzawszy się, Fafhrd zobaczył wyszczerzone doń w okrutnym uśmiechu zęby Mary, która z głową na wysokości jego ramienia leżała rozplaszczona na dwóch sąsiednich konarach.

–Gdybym była lodowym gnomem, już byś nie żył! – syknęła mu w ucho. – Albo gdybym nasłała na ciebie czwórkę moich braci, co powinnam zrobić. Twoje uszy były martwe, cały twój rozum siedział w gałach wybałuszonych na kościstą kurwę. Słyszałam, że się o nią poprzytykałeś z Hringorlem. I nie przyjąłeś od niego złotej bransolety w podarunku.

–Przyznaję, ukochana, że wśliznęłaś się tu za mną nader zręcznie i bezszelestnie – wyszeptał Fafhrd – jak na kogoś, kto widzi i słyszy jedynie to wszystko, co się dzieje, a niekiedy i to, co nie dzieje się w Zimnym Zakątku. Ale muszę ci rzec, Maro...

–Ha! Teraz mi powiesz, że kobiecie nie wolno tu przebywać. Męskie przywileje, międzyplciowe świętokradztwo i tak dalej. Cóż, tobie też nie wolno.

Fafhrd z powagą rozważył cześć jej wypowiedzi.

–Nie, ja uważam, że powinny tu być wszystkie kobiety. Nauczyłyby się rzeczy bardzo dla nich ciekawych i pożytecznych.

–Skakać jak kotka, kiedy się grzeje? Płaszczyć się jak durna niewolnica? Tak, ja też widziałam oba te występy, podczas gdy ty śliniłeś się niemy i głuchy! Wy mężczyźni zarykujecie się z byle czego, zwłaszcza gdy waszą idiotyczną, dyszącą, czerwonogębą chuch rozbudzi jakaś wyuzdana suka, wystawiając na pokaz swoje gołe gnaty!

Gniewne posykiwania Mary stawały się niebezpiecznie głośne i jak nic mogły zwrócić uwagę Hora i nie tylko Hora, lecz raz jeszcze wtrącił się szczęśliwy los i bębnienie kaskadą spłynęło wraz z Vianą ze sceny, i zaraz buchnęła dzika, nieco piskliwa, ale skoczna muzyka, gdy do jednorękiego Mingola dołączyła małeńka llthmarka, przygrywając na flecie.

–Nie zarykiwałem się, moja kochana – półszepem zaprzeczył Fafhrd nie bez dumy – ani nie śliniłem się, ani nie poczerwieniałem, ani nie dostałem zadyszki, czego z pewnością nie omieszkałaś zauważyć. Nie, Maro, ja jestem tu tylko dlatego, że pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o cywilizacji.

Patrzyła nań, z wściekłością szczerząc zęby; niespodziewanie uśmiechnęła się czule.

–Wiesz, myślę, że ty naprawdę w to wierzysz, ty nie wiarygodny dzieciaku – odezwała się również szepem, zdumiona. – Zakładając, że zgnilizna zwana

cywilizacją może w ogóle kogoś interesować, a skikająca kurwa potrafi przekazać jej przesłanie, czy raczej brak przesłania.

–Ja ani nie myślę, ani nie wierzę – odparł Fafhrd ignorując pozostałe uwagi Mary – ja to wiem. – Cały świat wabi, a my powinniśmy mieć oczy otwarte jedynie na Zimny Zakątek? Patrz ze mną, Maro, i ucz się. Aktorka swoim tańcem przedstawia cywilizacje wszystkich krain i wieków. Teraz jest kobietą z Ośmiu Miast.

Może Mara została w jakiejś drobnej części przekonana. A może sprawił to nowy kostium Vlany okrywający ją szczelnie – długie rękawy, zielony stanik, wytworna błękitna spódnica, czerwone pończochy i złote buciki – i to, że tancerka kulturowa zdyszała się nieco i od wirującego tańca z przytupami wystąpiły jej ścięgna na szyi. Tak czy owak, Śnieżna Dziewczyna wzruszyła ramionami i z pobłażliwym uśmiechem szepnęła:

–Cóż, muszę przyznać, że to wszystko jest tak obrzydliwe, że aż interesujące.

–Wiedziałem, że to zrozumiesz, najdroższa. Masz dwa razy więcej rozumu od każdej kobiety naszego plemienia, a jakże, i od każdego mężczyzny – pieszczotliwie zamruczał Fafhrd i pogłaskał ją czule, ale jakby nieobecnie i nie spuszczać oczu ze sceny.

Dokonując błyskawicznych zmian kostiumu, Vlana kolejno przeistoczyła się w hurysę ze Wschodnich Krajów, w spętaną zwyczajami quarmallską królową, w omdlewającą konkubinę Króla Królów i w wyniosłą lankhmarską damę w czarnej todze. Toga stanowiła licencję teatralną – w Lankhmarze nosili ją wyłącznie mężczyźni, ale strój był naczelnym symbolem Lankhmaru dla całego Nehwonu.

W tym czasie Mara ze wszystkich sił starała się dzielić ekscentryczną zachciankę swego przyszłego małżonka. Z początku była niekłamanie zaintrygowana i notowała w pamięci szczegóły kroju sukni Vlany i maniery, które mogłaby przejąć dla własnego użytku. Później jednak stopniowo zdruzgotała ją świadomość przewagi starszej kobiety w kunszcie, wiedzy i doświadczeniu. Tańca i sztuki mimicznej Vlany bezsprzecznie nie dało się opanować inaczej, jak tylko żmudną pracą i ćwiczeniami. A jak, a zwłaszcza gdzie mogła Śnieżna Dziewczyna kiedykolwiek nosić takie stroje? Poczucie niższości ustąpiło miejsca zawiści, a ta z kolei nienawiści. Cywilizacja jest wstrętna, Vlanę należałoby wyrzucić z Zimnego Zakątka na zbity pysk, Fafhrdowi zaś potrzeba kobiety, która pokieruje jego życiem i utrzyma w korbach jego zwariowaną wyobraźnię. Oczywiście nie matki, tej okropnej i kazirodczej synożerczyni, lecz bystrej i czarującej młodej małżonki. Jej samej. Zaczęła się bacznie przyglądać Fafhrdowi. Nie wyglądał na rozpalonego samca, wyglądał jak sopel lodu, choć niewątpliwie scena w dole pochłaniała go bez reszty. Przypomniało jej się, że nieliczni mężczyźni posiadają sztukę ukrywania swych prawdziwych uczuć.

Vlana odrzuciła togę i została w tunice z sieci srebrnych, cieniutkich nitek powiązanych w wielkie oczka. Na każdym przecięciu nitek widniał maleńki srebrny dzwoneczek. Zakołysała się i dzwoneczki zakwiliły jak filigranowe ptaszki, które obsiadły ją niczym drzewo i wszystkie naraz ćwierkają hymn na cześć jej ciała. Teraz wiotkość tego ciała była wiotkością dojrzałej kobiety, a ogromne oczy lśniły pomiędzy pasmem jedwabistych włosów ogniem sekretnych aluzji i obietnic.

Kontrolowany oddech Fafhrda znacznie przyspieszył. A więc sen z namiotu Mingoli stał się jawą! Jego uwaga, w połowie bujająca hen po krainach i wiekach, które Vlana przedstawiała tańcem, cała skupiła się na niej i przerodziła w pożądanie. Tym razem zimna krew Fafhrda poddana została dużo boleśniejszej próbie, jako że dłoń Mary bez ostrzeżenia zacisnęła mu się na kroczu. Niewiele miał jednak czasu na okazywanie swojej zimnej krwi.

–Sprośna świnio! Stań ci! – Mara puściła krocze i walnęła go w bok pod żebra.

Usiłował złapać ją za ręce i jednocześnie pozostać na gałęzi. Ona cały czas próbowała mu dołożyć. Sosnowe konary trzeszczały siejąc śnieg i igliwie. Waląc Fafhrda celnie w ucho, Mara straciła równowagę i nagle tylko jej stopy pozostały zahaczone w bocznych gałęziach.

–Niech cię Bóg zamrozi, ty suko! – warknął Fafhrd, ścisnął swój grubszy konar jedną ręką i sięgnął w dół drugą, aby złapać Marę pod pachę.

Patrzący z dołu w górę, pomimo większych atrakcji na scenie, których już trochę było, ujrzeli dwa odziane w biel, zmagające się ze sobą torsy i jasnowłose głowy wychylające się z baldachimu gałęzi, jak gdyby zaraz miały zanurkować niczym para łabędzi. Walcząc nieprzerwanie sylwetki nagle skryły się wyżej.

–Świątokradztwo! – zawołał starszy Śnieżny Mężczyzna.

–Podglądacze! Dać im wycisk! – zawtórował młodszy. Mógł zyskać posłuchanie, gdyż jedna czwarta Śnieżnych Mężczyzn była już w tej chwili na nogach, gdyby nie Essedineks, który przez dziurkę w jednym z parawanów miał na wszystko baczne oko i wiedział, jak postępować z niesforną publiką. Wycelował palec w Mingola za swymi plecami, po czym nagle i gwałtownie podniósł dłoń. Buchnęła muzyka. Zabrzęczały cymbały. Na scenę wyskoczyły obie Mingolki razem z Ilthmarką nagie jak je pan Bóg stworzył i zaczęły pisać wokół Vlany. Na proscenium wytoczył się grubas ze Wschodu i podpalił swoją ogromną czarną brodę. Niebieskie płomyki strzeliły w górę, pełgając mu przed twarzą i wokół uszu. Nie gasił ognia trzymanym w ręku mokrym ręcznikiem, dopóki Essedineks nie zachrypiał scenicznym szeptem ze swej dziury:

–Wystarczy. Już ich mamy.

Czarna broda straciła połowę długości. Aktorzy są gotowi do najwyższych poświęceń, które rzadko doceniają prostaczkowie, a nawet koledzy z trupy. Zlatując z ostatnich kilkunastu stóp, Fafhrd wylądował w głębokiej zaspie na zewnątrz Bożychramu, jednocześnie z Marą kończącą właśnie złażenie. Stanęli naprzeciw siebie po łydki w zaspie, a nieco koślawy między kwadrą a pełnią księżyc siał smugi białego blasku i cieni na skorupę śniegu.

–Maro, kto ci nakłamał, że poprzytykałem się z Hringorlem o aktorkę?

–Niewierny rozpustnik! – zaszlochała Mara, rąbnęła go w oko i uciekła w stronę Namiotu Niewiast, łkając i krzycząc:

–Powiem moim braciom! Zobaczysz!

Tłumiąc ryk bólu, Fafhrd podskoczył jak piłka, rzucił się trzy kroki w pościg, stanął, przyłożył śnieg do bolącego oka i kiedy tylko zelżało w nim rwanie, zaczął myśleć. Rozejrzał się dokoła drugim okiem, a nie widząc żywego ducha, przebrnął do kępy osypanych śniegiem, wiecznie zielonych krzewów na skraju kanionu, ukrył się w nich i kontynuował rozmyślania. Uszy zapewniły go, że Występy w Bożychramie toczą się w zawrotnym tempie. Wściekle werble i flety co i rusz tonęły w wybuchach śmiechu i owacjach. Oczy – to uderzone już mu nie dokuczało – powiedziały mu, że w pobliżu nie ma nikogo. Obrócił je na stojące najbliżej nowego gościńca południowego namioty aktorów przy końcu Bożychramu, na stajnie dalej za nimi i namioty kupieckie za stajniami. Potem wrócił spojrzeniem do najbliższego namiotu – kopulastej jurty Vlany. Okrywały ją roziskrzone w księżycowej poświacie kryształki i wydawało się, że olbrzymi kryształowy tasiemiec pełznie samym środkiem dachu, tuż pod konarem wiecznie zielonego jaworu. Tam Fafhrd podążył, ślizgając się po diamentowej skorupie śniegu.

Ukryty w cieniu węzeł na sznurowaniu wejścia był w dotyku skomplikowany i nieznanego typu. Fafhrd zaszedł namiot od tyłu, obluzował dwa paliki, jak wąż wśliznął się na brzuchu pod burtę, wpelznął między rąbki porozwieszanych sukien Vlany, luźno osadził paliki z powrotem, wstał, otrzepał się, postąpił cztery kroki i legł na pościeli. Świeżo wypełniony opałem i przymknięty piecyk dawał niewiele ciepła. Po pewnym czasie Fafhrd sięgnął do stolika i nalał sobie szklankę wódki. Wreszcie złowił uchem głosy. Rozbrzmiewały coraz wyraźniej. Nasłuchując, jak ktoś rozwiązuje i popuszcza sznurowanie wejścia, Fafhrd pomacał rękojeść noża oraz wielki futrzany pled, który w razie czego zamierzał naciągnąć sobie na głowę.

–Nie, nie, nie. – Opędzając się ze śmiechem, ale stanowczo, Vlana tyłem przekroczyła szybko próg namiotu, zasuważąc poły jedną ręką, ściągając sznurówki drugą i jednocześnie zerkając przez ramię za siebie. Bezgraniczne zdumienie zniknęło z jej twarzy tak szybko, że Fafhrd na dobrą sprawę dojrzał tylko uśmiech powitania, który zabawnie zmarszczył jej nos. Odwróciła głowę od swego gościa,

dokładnie i mocno zacisnęła ramię na połącz i zmitrężyła parę chwil na zawiązanie supełka od środka. Po czym zbliżyła się do posłania i klękła przy Fafhrdzie, wyprostowana od kolan wzwyż. W jej spojrzeniu nie było już uśmiechu, jedynie spokojne, nieodgadnione zamyślenie, które Fafhrd usiłował naśladować. Okrywał ją płaszcz z kapturem, należący do mingolskiego przebrania.

–A więc zmieniłeś zdanie co do nagrody – odezwała się ciepłym, ale rzeczowym tonem. – Skąd wiesz, że i ja nie zmieniłam zdania od tego czasu?

Fafhrd pokręcił głową, zaprzeczając jej pierwszemu stwierdzeniu. Potem, po chwili wahania, rzekł:

–Jednakże odkryłem, że pragnę ciebie.

–Widziałam, jak oglądałeś przedstawienie z... z balkonu. Wiesz, o mało go nie skradłeś... Mówię o przedstawieniu. Co to za dziewczyna była z tobą? Czy może chłopak? Mogłam się pomylić.

Jej pytania Fafhrd zbył milczeniem. Rzekł natomiast:

–Pragnę cię również wypytać o twój niezrównany kunszt taneczny i... i występy w pojedynkę.

–Pantomimę – podsunęła słowo.

–Tak, pantomimę. A zwłaszcza chcę z tobą pomówić o cywilizacji.

–Racja, dziś rano wypytywałeś mnie, ile znam języków – przypomniała ze wzrokiem utkwionym ponad młodzieńcem w ścianie namiotu. Najwyraźniej oboje należeli do rodziny myślicieli. Wyjęła Fafhrdowi z dłoni szklanekę z resztką wódki, upiła połowę i oddała mu szklanekę.

–No dobrze odezwała się wreszcie spuszczać na niego oczy, lecz nie zmieniając wyrazu twarzy. – Dam ci to, czego pragniesz, mój drogi chłopcze. Ale teraz nie pora. Muszę najpierw wypocząć i nabrać sił. Odejdź i wróć z zachodem gwiazdy Szaddah. Obudź mnie, gdybym przysnęła.

–Godzinę przed brzaskiem – powiedział podnosząc na nią spojrzenie. – Czeka mnie mroźna warta na śniegu.

–Nie rób tego – rzekła prędko. – Nie chcę cię w trzech czwartych z lodu. Pójdź tam, gdzie ciepło. By nie spać, myśl o mnie. Nie pij za dużo wina. Idź już.

Podniósłszy się spróbował ją objąć. Umknęła krok w tył.

–Później. Wszystko później.

Ruszył do wyjścia. Pokręciła głową.

–Mogą cię zobaczyć. Wyjdź tak, jak wszedłeś.

Zawracając musnął głową o jakiś twardy występ. Miękka skóra między podtrzymującymi środek namiotu kabłąkami wybrzuszała się, same zaś kabłąki były przygięte i nieco spłaszczone pod brzemieniem. Pochylił się i przez chwilę był o włos od porwania Vlany i uskokzenia z nią jak najdalej stąd, po czym metodycznymi uderzeniami od środka na zewnątrz zaczął kruszyć i zbijać wybrzuszenia. Kryształowy garb, który wcześniej przypominał mu z oddali olbrzymiego tasiemca – musiał już być gigantycznym wężem śnieżnym! – pękał i osypywał się z trzaskiem i głośnym dzwonieniem.

–Śnieżne Kobiety nie darzą cię miłością – zauważył, nie przerywając pracy. – Mor, matka moja, też nie jest ci przyjazna.

–Czy im się wydaje, że zastraszą mnie kryształami lodu? – zapytała z pogardą Vlana. – Też coś, ja znam wschodnią magię ognia, w porównaniu z którą ich marne szamańskie sztuczki...

–Ale teraz przebywasz na ich terytorium, na łasce ich żywiołu, okrutniejszego i subtelniejszego niż ogień – przerwał zbijając ostatki nawisów, aż kabłąki podniosły się znów i skóra wyprężyła między nimi prawie na płask. – Nie bagatelizuj ich mocy.

–Dziękuję ci za uchronienie mego namiotu od zawalenia. Lecz teraz już odejść czym prędzej.

Mówiła zdawkowym tonem, jednak jej wielkie oczy wypełniała zaduma.

Tuż przed zanurkowaniem pod tylną burtą namiotu Fafhrd obejrzał się przez ramię. Ściskając pustą szklankę po wódce Vlana tonęła wzrokiem w namiotowej ścianie, lecz pochwyciwszy jego spojrzenie, z czułym uśmiechem złożyła na swej dłoni i przesłała mu dmuchnięciem całusa.

Zięb na dworze był jeszcze zjadliwszy. Mimo to Fafhrd powędrował do znajomej kępy wiecznie zielonych krzewów, owinał się szczelnie w kurtkę, spuścił kaptur na czoło, zaciągnął wiązanie pod brodą i przysiadł zwrócony twarzą do namiotu Vlany. Myśląc o niej nie czuł zimna kłuszącego przez futra. Nagle przypadł do ziemi i poluzował nóż w pochwie. Ku namiotowi aktorki zmierzała jakaś postać, przemykając od cienia do cienia, sama chyba obleczona w czerń. Fafhrd bezgłośnie postąpił naprzód.

W nieruchomym powietrzu dało się słyszeć cichutkie skrobanie paznokci w skórę

namiotu. Zza uchylonej poły błysnęło przytłumione światło, dostatecznie jasne, by wydobyć z mroku twarz Veliksa Ryzykanta. Zniknął w namiocie, z którego dobiegł odgłos zaciągania sznurówek.

Fafhrd przystanął dziesięć kroków od namiotu i ani drgnął przez może dwa tuziny oddechów. Potem bezszelestnie wyminął namiot, trzymając się od niego w tej samej odległości.

Łuna biła z wejścia do wysokiej, stożkowej budy Essedineksa. Ze stajni za nią dwukrotnie dobiegło rzenie konia. Fafhrd przykucnął i zapuścił spojrzenie w odległy o rzut nożem, niski, rozjarzony otwór. Wychylił się raz w lewą, raz w prawą stronę. Zobaczył stół pod ukośną ścianą naprzeciw wejścia, na stole dzbany i szklanki. Po jednej stronie stołu siedział Essedineks, po drugiej Hringorl.

Fafhrd okrążył ich namiot, wypatrując Hora, Harraksa bądź Hreya na czatach. Podszedł do ściany w miejscu, gdzie rysowały się na niej niewyraźne cienie dwóch mężczyzn za stołem. Odgarnąwszy na bok kaptur i włosy, przyłożył ucho do skórzanej burty.

–Trzy sztuki złota, to moje ostatnie słowo – mówił gburowato Hringorl. Głos brzmiał głucho zza skóry na miotu.

–Pięć – powiedział Essedineks, po czym rozległo się bulgotanie wina w gardle.

–Słuchaj, staruchu. – Ton Hringorla krył brutalną groźbę... – Dam sobie radę bez ciebie. Mogę ją porwać i grosza ci nie zapłacić.

–Och nie, wolne żarty, panie Hringorl. – Essedineks był wyraźnie rozbawiony. – Wtedy będą to ostatnie Występy w Zimnym Zakątku, co chyba nie zachwyci pańskich pobratymców? I będzie to ostatnia dziewczyna, jaką panu dostarczyłem.

–No i co z tego? – odparł lekceważąco jego rozmówca. Haust wina przytłumił głos, jednak Fafhrd usłyszał ton blagi. – Mam własny statek. Mogę ci zaraz poderżnąć gardło i porwać dziewczkę jeszcze tej nocy.

–A podrzynaj sobie – pogodnie rzekł Essedineks. – Tylko zaczekaj momencik, bo przedtem chcę je przepłukać krzynę.

–No dobra, stary łotrze. Cztery sztuki złota.

–Pięć.

Hringorl zaklął siarczyście.

–Którejś nocy przebierzesz miarkę, zgrzybiały rajfurze. W dodatku dziewczyna jest

stara.

–Oj tak, na niwie rozkoszy. Nie mówiłem ci, że kiedyś przystąpiła do adeptek Czarowników z Azorkahu? Byle tylko przysposobili ją na konkubinę Króla Królów i swego szpiega na dworze w Harboriksen. Oj tak, i jakże sprytnie uszła owym straszliwym nekromantom, gdy tylko posiadała upragniony kunszt erotyczny.

Hringorl zaśmiał się z nienaturalną swobodą.

–Dlaczego miałbym płacić choćby sztukę srebra za dziewczynę, którą posiadały dziesiątki chłopów? Za takie cacko z dziurką dla każdego.

–Setki chłopów – sprostował Essedineks. – Dobrze wiesz, że do biegłości dochodzi się tylko przez praktykę. A im większa praktyka, tym większa biegłość. Jednak dziewczyna nie jest żadnym cackiem z dziurką. Ona jest przewodniczką i objawicielką, ona igra z mężczyzną, aby dać mu rozkosz, ona potrafi sprawić, że każdy mężczyzna poczuje się, a być może – któż to wie – nawet będzie królem wszechświata. Cóż jest niemożliwego dla dziewczyny znającej sztukę rozkoszy samych bogów, oj tak, i arcydemonów. A mimo to – nie uwierzysz, ale to prawda – na swój sposób ona wciąż zachowuje dziewictwo. Bo żaden mężczyzna nigdy jej nie ujarzmił.

–Znajdzie się coś na to jej dziewictwo! – Słowa Hringorla zabrzmiały jak okrzyk radości. Rozległo się gulgotanie wina w gardle. I tym razem ściszony głos Hringorla:

–W porządku, lichwiarzu jeden, niech ci będzie pięć sztuk złota. Dostawa jutro wieczorem po Występach. Złoto za dziewczynę płatne z dołu.

–Trzy godziny po Występach, kiedy dziewczyna straci przytomność od narkotyku i wszystko się już uspokoi. Po co masz wcześniej wzbudzać zawiść swoich ziomków.

–Uwiń się w dwie godziny. Zgoda? No to pogadajmy teraz o przyszłym roku. Chciałbym czarnoskórą Klechitkę, czystej krwi. Tylko bez wielkich interesów, bez żadnych pięciu sztuk złota. Nie chcę pięknej czarodziejki, wystarczy mi piękna młódka.

–Ręcę – rzekł Essedineks – że już żadna kobieta nigdy cię nie zadowoli, gdy tylko poznasz i – czego ci życzę – ujarzmisz Vlanę. Och, naturalnie, przypuszczam...

Fafhrd zataczając się odszedł od namiotu na parę kroków i tam dopiero stanął mocno i pewnie na rozkraczonych nogach, wciąż jeszcze dziwnie otumaniony, a może pijany? Wcześniej odgadł, że tu musi chodzić o Vlanę, lecz gdy padło jej imię przeżył większy wstrząs, niż oczekiwał. Dwa odkrycia, jedno zaraz po drugim, wypełniły go mieszanym uczuciem, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył: przemożnej furii i szaleńczej wesołości. Pragnął miecza na tyle długiego, by mógł

rozciąć niebo i powywalać mieszkańców raju z łóżek. Pragnął zebrać wszystkie teatralne race i odpalić je w namiocie Essedineksa. Pragnął obalić Bożychram razem z sosnami i powlec go przez wszystkie namioty aktorów. Pragnął...

Obrócił się i szybko pomaszerował do namiotu stajennego. Jedyne koniuch chrapał na słomie pod lekkimi saniami Essedineksa, obok pustego dzbana. Z szatańskim uśmiechem Fafhrd uświadomił sobie, że najlepiej znany mu koń jest akurat jednym z koni Hringorla. Wyszukał chomąto i duży zwój cienkiej, mocnej liny. Następnie wyprowadził upatrzonogo konia – białą klacz – uspokajająco mrużąc jej do ucha. Koniuch tylko głośniej zachrapał.

Lekkie sanie ponownie przyciągnęły uwagę Fafhrda. Za podszeptem demona ryzyka odwiązał smołowany sztywny brezent, okrywający bagażnik na tyłach pary siedzisk. Pod brezentem wśród przeróżnych tobołów znalazł zapas rac dla Występów. Wybrał trzy największe – z grubym jesionowym drążkiem statecznika miały długość kijków do nart – po czym niespiesznie od nowa zasnuł brezent. Nadal nie odstępowała go niszczycielska furia, ale już jakoś trzymał ją na wodzy.

Przy stajni założył klaczy chomąto i mocno dociągnął do niego jeden koniec liny. Na drugim zrobił obszerną pętlę. Zwinął resztę liny i z racami pod lewą pachą lekko wskoczył na koński grzbiet, i podjechał stępa do namiotu Essedineksa. Dwie postacie wciąż tkwiły naprzeciw siebie, rozdzielone stołem. Fafhrd zakręcił lassem ponad głową i rzucił. Niemal bezgłośnie opasało szczyt namiotu, gdyż wybrał luz błyskawicznie, nim lina zagrzechotała o skórzaną ścianę. Zaciągnął pętlę na czubku głównego masztu. Pozornie spokojny, pchnął wierzchowca stępa w kierunku lasu, popuszczając liny w czasie jazdy po śniegu roziskrzonym od blasku księżyca. Kiedy zostały mu z niej tylko cztery pierścienie, poderwał konia do galopu. Pochylony, trzymając się kurczowo chomąta, ścisnął piętami końskie boki. Lina naprężyła się. Klacz szarpnęła co sił. Z tyłu dobiegł stłumiony trzask, jakże miły dla ucha. Fafhrd parsknął tryumfalnym śmiechem. Klacz parła naprzód, pokonując targnięcia liny. Fafhrd obejrzał się na wleczony za sobą namiot. Ujrzał też ogień i usłyszał okrzyki zdumienia i wściekłości. Ponownie parsknął śmiechem.

Przed skrajem lasu dobył noża i odciął linę. Podparłszy się dłońmi, zeskoczył na ziemię, wymruczał pochwałę w ucho klaczy i klepieniem po zadzie pogonił ją cwałem ku stajni. Miał ochotę opłomienić zwałony namiot racami, lecz w końcu uznał, że byłoby to dysonansem. Wciąż ściskając je pod lewą pachą, wkroczył między drzewa.

Pod osłoną lasu ruszył do domu. Stąpał lekko, aby ślady zostawiać jak najlżejsze, gdzie mógł, stawiał stopy na kamieniach, a natknąwszy się na sosnową gałąź, powlókł ją za sobą. Jego niebosiężny humor wyparował, tak jak i furia, a ich miejsce zajęła czarna rozpacz. Nie żywił już nienawiści do Veliksa ani nawet do Vlany, jedynie cywilizacja jawiła mu się jako jarmarczna tandeta, niegodna jego zainteresowania. Był rad z wywalenia Hringorla i Essedineksa, ale to przecież pluskwy. Podczas gdy on,

Fafhrd, jest duchem samotnikiem, skazanym na tułaczkę po Zimnych Pustkowiach. Przychodziło mu na myśl, by skręcić na północ i wędrować przez las dopóty, dopóki nie znajdzie sobie nowego życia albo zimnej śmierci, by wydostać swoje narty, przypiąć i zaryzykować skok przez zakazaną otchłań, która zabiła Skifa, by porwać miecz i wydać bój wszystkim zabijakom Hringorla naraz, tudzież by zrobić ze sto innych kroków ku zgubie.

Namioty Śnieżnego Klanu wyglądały jak zjawy grzybów w blasku wariacko jaśniejącego miesiąca. Jedne w kształcie stożków na grubych pieńkach, inne kopulaste, podobne wzdętym rzepom. Tak jak grzyby nie dotykały bezpośrednio gruntu swymi obrzeżami. Ich podłogi z warstwy futrzanych skór na podściółce z gałęzi i pokładzie grubych konarów sterczały ponad i poza przysadziste bale cokołów, na których je położono, aby ciepło namiotowe nie roztopiło zmarzliny podłoża na papkę.

Olbrzymi, wysrebrzony dąb śnieżny, obumarły, uwieńczony czymś na kształt rozszczepionych paznokci giganta tam, gdzie dawny piorun strzaskał pień od wierzchołka do połowy, znaczył kwaterę namiotu Mor i Fafhrda, jak również grobu jego ojca pochowanego w samym środku pod podłogą. Dokładnie tu właśnie stawiano namiot co roku. Ognie płonęły w kilku namiotach mieszkalnych i w ogromnym Namiocie Niewiast dalej w stronę Bożychramu, lecz na dworze nie było widać nikogo. Z ciężkim westchnieniem Fafhrd skierował się pod swój dach, gdy nagle przypomniał sobie o racach i zawrócił pod uschnięty dąb. Drzewo miało pień gładki, dawno pozbawiony kory. Pozostało mu kilka konarów tak samo nagich i obłamanych przy pniu, wysoko poza zasięgiem ręki. Fafhrd przystanął parę kroków od dębu, aby raz jeszcze rozejrzeć się wokół. Nabrawszy przekonania, że nie zdradzi swej tajemnicy, wziął rozbieg na dąb i w lamparcim wyskoku chwycił wolną ręką za najniższy konar, i wywindował się na górę, zanim niosący go impet wygasł całkowicie. Zwinnie stanął na martwym konarze i wsparty palcem o pień po raz ostatni poszukał oczyma podglądaczy lub spóźnionych przechodniów, po czym wcisnął palce i wczepił paznokcie w szarą, z pozoru nieskazitelną gładź, uchylając szczelinę jak on sam wysoką, choć jakby skromniejszej szerokości. Zapuścił w głąb rękę i za swymi nartami i kijkami narciarskimi wymacał długi wąski pakunek, trzykrotnie owinięty lekko natłuszczoną skórą foki. Odwinął potężny łuk i kołczan długich strzał. Dołożył do tego wszystkiego race, omotał foczą skórą, zatrzasnął osobliwe drzwi swego drzewnego sezamu, zeskoczył na śnieg i pozacierał ślady pod drzewem.

Wchodząc do namiotu znowu czuł się jak duch i nie sprawiał więcej hałasu od ducha. Wonie domowego ogniska uspokoiły go niepokojąco i wbrew woli – zapach mięsiwa, gotowania, zestarzałego dymu, skór, potu, nocnika, nieuchwytny, kwaśnośłodkawy zapach Mor. Przystąpił sprężystą podłogę i w ubraniu wyciągnął się na stercie futer. Zmęczenie spłynęło nań jak śmierć.

Cisza była niesamowita. Nie słyszał oddechu Mor. Pomyślał o ojcu takim, jakiego widział po raz ostatni – siny i z zamkniętymi powiekami, połamane członki miał naprostowane, u boku swój najlepszy miecz, na którego rękojeści zaciśnięto mu spopieliałe palce. Pomyślał o Nalgronie, który do szkieletu stoczony przez robaki z mieczem czarnym od rdzy, z powiekami już otwartymi, leży teraz w ziemi pod namiotem, topiąc puste oczodoły w zbitej warstwie piachu. Przypomniał sobie ojca, jakim widział go po raz ostatni przy życiu – wysoki, w wilczej szubie uchodził wielkimi krokami w dal, pod gradem ostrzeżeń i gróźb Mor. Znowu przyszedł mu na myśl szkielet. To była noc duchów.

–Fafhrd? – zawołała cichutko Mor z kąta namiotu.

Zesztywniał i wstrzymał oddech. Kiedy nie mógł wytrzymać dłużej, zaczął łapać i wypuszczać powietrze bezgłośnym tchnieniem przez otwarte usta.

–Fafhrd? – powtórzyło się nieco głośniejsze wołanie, choć nadal brzmiało jak zew ducha. – Słyszałam, jak wchodziłeś. Wiem, że nie śpisz.

Nic po milczeniu.

–Ty także nie śpisz, matko?

–Starym niewiele trzeba snu.

To nieprawda, pomyślał. Mor nie jest stara, nawet wedle bezlitosnej rachuby Zimnych Pustkowi. Jednocześnie była to prawda. Mor jest stara jak plemię, jak same Pustkowie, stara jał śmierć.

–Nie mam nic przeciwko temu, żebyś wziął Marę za żonę – powiedziała spokojnie Mor (wiedział, że matka musi leżeć na wznak, z oczami utkwionymi w suficie). – Nie cieszę się, ale nie mam nic przeciw temu. Przydadzą się tu silne ręce, dopóki ty bujasz w obłokach, siejesz myśli niczym strzały wypuszczone wysoko i gdzie popadnie, wałkonisz się i włóczysz za aktorkami i im podobnym gównem z pozłotą. Poza tym, zrobiłeś Marze dziecko, a jej rodzinie nie brak tak całkiem pozycji.

–Mara rozmawiała z tobą dziś wieczorem? – zapytał. Starał się zachować obojętny ton, lecz słowa rosły mu w ustach.

–Jak powinna każda Śnieżna Dziewczyna. Tylko że powinna porozmawiać ze mną wcześniej. A ty jeszcze wcześniej. Ale ty odziedziczyłeś po trzykroć skrytość swego ojca wraz z jego skłonnością do zaniedbywania własnej rodziny i głupiego kuszenia losu. Z tym, że u ciebie ta słabość przybiera ohydniejszą postać. Zimne szczyty gór były mu za kochanki, podczas gdy ciebie wabi cywilizacja, ów ropiejący wrzód gorącego Południa, gdzie nie ma naturalnego surowego Zimna, które karze głupich i rozpustnych i stoi na straży czystości obyczajów. Przekonasz się jednak, że istnieje

zimno magiczne, które potrafi za tobą podążyć jak Nehwon długi i szeroki. Kiedyś lód zszedł z gór i okrył wszystkie gorące ziemie, jako kara za wcześniejsze życie w grzechu rozpusty. A gdziekolwiek lód raz doszedł, tam magia może go znów posłać. Z czasem przekonasz się o tym i otrząśniesz ze swojej słabości, albo też dostaniesz nauczkę, jaką dostał twój ojciec.

Fafhrd spróbował wysunąć oskarżenie o mężobójstwo, co z taką łatwością zarzucił jej rankiem, lecz teraz słowa więzły mu i to nie dopiero w gardle, a już w samej głowie, jak gdyby został nawiedzony. Mor dawno temu zmroziła mu serce. Teraz w głębi umysłu Fafhrda, w najskrytszych zakamarkach jego świadomości, budowała kryształy lodu, które wypaczały wszystko jak krzywe zwierciadło i czyniły bezużytecznymi środki samoobrony przed matką – zimne wywiązywanie się z synowskich obowiązków i zimną logikę pozwalającą mu zachować własną jaźń. Miał wrażenie, że już na zawsze osaczają go wszelkie zimna świata, gdzie surowość lodu, surowość obyczajów i surowość myśli tworzą jedną całość. A Mor, chyba wietrząc swoje zwycięstwo i z góry się nim upajając, ciągnęła tym samym głuchym, zadumany tonem:

–Oj tak, gorzko teraz twój ojciec żałuje Gran Hanacka, Białego Kła, Królowej Lodu i całej tej swojej gromady górskich kochanek. Już mu nie pomogą. Już zapomniały o nim. Pustymi oczodołami bez końca spogląda w górę na dom, którym wzgardził, a do którego teraz wzdycha, dom jakże blisko, i jak straszliwie daleko. Kościstymi paluchami bezsilnie drapie zmarzniętą ziemię, daremnie usiłując uwolnić się spod jej ciężaru...

Fafhrd posłyszał cichutkie skrobanie, zapewne oblodzonych gałązek po skórze namiotu, niemniej włos mu się zjeżył. Usiłował wstać, ale nie był w stanie poruszyć choćby palcem. Ciemność ze wszystkich stron przygniatała strasznym ciężarem. Łamał sobie głowę, czy to nie Mor czarami strąciła go pod ziemię, do boku ojca. Leżący mu na piersi ciężar był jednak większy niż ucisk ośmiu stóp wiecznej zmarzliny. Był to ciężar całych Zimnych Pustkowi z ich śmierciodajnością, wszystkich tabu, klątw i ciasnoty umysłowej Śnieżnego Klanu, pirackiej chciwości i prostackiej żądzy Hringorla, nawet radosnego samozadowolenia Mary Groblany jej pogodnej, na wpół ślepej duszy, a nad tym wszystkim Mor – prządka zakłęb z lodowych kryształów, formujących się na czubkach jej palców. I nagle przyszła mu na myśl Vlana.

Może nie dokonała tego myśl o Vlaniu. Może to jedna z gwiazd akurat przepełzła ponad maleńkim dymnikiem namiotu i wypuściła swoją maleńką srebrną strzałę w źrenicę oka Fafhrda. Może to wstrzymywany oddech uleciał nagle, a płuca odruchowo zassały nowy wdech pokazując mięśniom, że mogą się poruszać. Jakby nie było, Fafhrd zerwał się i skoczył do wyjścia. Nie chciał stracić ani chwili na sznurowanie, gdyż palce Mor sięgały ku niemu lodowymi szponami. Nie czekając, jednym zamachem pazurów prawej dłoni rozpruł kruchą, starą skórę poły z góry na

dół i wyskoczył jak oparzony, ponieważ szkielet Nalgrona wyciągał do niego ramiona z wąskiej czarnej szpary pomiędzy zamrożonym gruntem a podwyższonym progiem namiotu. A potem biegł tak, jak nie biegał jeszcze nigdy. Biegł, jakby wszystkie upiory Zimnych Pustkowi deptały mu po piętach – co było poniekąd prawdą.

Minął ostatnie, ciemne co do jednego, namioty Śnieżnego Klanu, minął cichutko rozdzwoniony Namiot Niewiast i wybiegł na osrebrzony księżycowym blaskiem łagodny stok, opadający ku zadartej krawędzi Kanionu Trollich Schodów. Owładnęło nim gwałtowne pragnienie, by z tej krawędzi rzucić się w zawody z wiatrem, który albo go dźwignie i poniesie na południe, albo ciśnie w natychmiastowe zapomnienie, i przez chwilę zdawało się Fafhrdowi, że nie ma innej doli na swej drodze życia. W następnej chwili uciekał już nie tyle przed zimnem i jego paraliżującymi, nadprzyrodzonymi strachami, co uciekał do cywilizacji, która ponownie była mu jasnym symbolem w umyśle, odpowiedzią na wszelką małostkowość duszy.

Zwolnił nieco i na tyle przejaśniło mu się w głowie, że na równi z demonami i pułapkami zaczął wypatrywać żywych spóźnionych przechodniów. Dostrzegł Szaddah mrugającą błękitem w wierzchołkach drzew na zachodzie. Do Bożychramu dochodził już normalnym krokiem. Minął Bożychram przy samej krawędzi kanionu, która już go nie nęciła. Zauważył, że namiot Essedineksa znów stoi i znów jest oświetlony. Żaden nowy wąż śnieżny nie pełznął po namiocie Vlany. Obrośnięty kryształami konar śnieżnego jawora połyskiwał nad nim w księżycowej poświacie.

Nie zapowiedziawszy się i zaszedłszy od tyłu, Fafhrd bezszelestnie wyciągnął poluzowane paliki i pod burtę i poły porozwieszanych sukni wsunął jednocześnie głowę oraz prawą pięść, w której ostatniej ścisnął obnażony nóż.

Vlana spała na wznak, z ramionami na cienkim czerwonym kocu podciągniętym pod gołe pachy. Lampka świeciła małym, żółtawym płomykiem, jednak wystarczająco jasnym, by zobaczyć, że poza dziewczyną w namiocie nie ma nikogo. Ciepło buchało od otwartego piecyka z niedawno przegarnianym żarem.

Fafhrd przepelznął na drugą stronę, wcisnął nóż do pochwy, wstał i spojrzał z góry na aktorkę. Miała bardzo szczupłe ręce, jakby odrobinę za duże dłonie i długie palce. Z zamkniętymi wielkimi oczyma jej twarz w aureoli rozrzuconych kasztanowych włosów wydała mu się jeszcze drobniejsza, ale szlachetna i rozumna, a wilgotne, szerokie, pełne wargi, świeżo i starannie wykarminowane, podniecały go i kusily. Namaszczona olejkami skóra lśniła w płomyku lampki, a całą dziewczynę spowijała woń pachnideł.

Vlana w pozycji na wznak, w pewnej chwili przypomniała Fafhrdowi zarówno Mor, jak i Nalgrona, lecz złe wspomnienia szybko uleciały pod wpływem żaru bijącego od piecyka niczym od maleńkiego słońca ze zgrzewnego żelaza, pod wpływem bogatych tkanin i wykwintnych sprzętów cywilizacji wokoło oraz pod wpływem urody

dziewczyny i jej wyrafinowanego wdzięku, którego była jakby świadoma nawet we śnie. Vlana jawiła mu się jako alegoria cywilizacji. Zawrócił pod wieszak i zaczął zdejmować z siebie ubranie, składając je porządnie na kupkę. Vlana wciąż spała, a przynajmniej nie otwierała oczu.

Jakiś czas później, wracając pod czerwony koc, spod którego wylazł za potrzebą, Fafhrd rzekł:

–A teraz opowiedz mi o sobie i o cywilizacji.

Vlana wychyliła do połowy szklankę wina, z którą Fafhrd wrócił pod koc, po czym rozkosznie wyciągnięta plotła dłonie nad głową.

–No cóż, przede wszystkim nie jestem księżniczką, chociaż nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie tytułowano – oznajmiła filuternie. – Muszę ci wyznać, najukochańszy chłopcze, że zadajesz się nawet nie z damą. A co do cywilizacji – ona śmierdzi.

–Nie z damą – zgodził się Fafhrd. – Zadaję się z najbieglejszą i najpiękniejszą aktorką w całym Nehwonie. Ale czemuż to cywilizacja pachnie ci niemiło?

–Chyba muszę cię rozczarować jeszcze bardziej, mój kochany – powiedziała Vlana, cokolwiek bezwiednie ocierając się bokiem o Fafhrda. – Inaczej sobie ubzdurasz o mnie coś głupiego, a potem coś jeszcze głupszego wy kombinujesz.

–Jeśli chcesz powiedzieć, że udawałaś ladacznicę, aby zdobyć wiedzę erotyczną i inne mądrości...

Popatrzyła nań z niemałym zaskoczeniem i przerwała mu dość ostro:

–Pod pewnymi względami jestem gorsza niż ladacznica. Jestem złodziejką. Tak, Rudoloki, rzezimieszkiem i doliniarką, rabusem pijaków, włamywaczką i uliczną rozbójniczką. Urodziłam się wieśniaczką, co – przypuszczam – stawia mnie jeszcze niżej od łowcy, który żyje z zabijania zwierząt i nie brudzi sobie rąk ziemią ani nie zbiera plonów, chyba że mieczem. Kiedy za pomocą prawnych kruczków moim rodzicom podstępem skonfiskowano kawałek ziemi i w rezultacie oboje pomarli z głodu, a ich poletko zostało częścią jednego z rozległych niewolniczych latyfundiów zbożowych należących do Lankhmaru, postanowiłam upomnieć się u kupców zbożowych o swoje. Postanowiłam, że Miasto Lankhmar będzie mnie karmić, tak, i to karmić dobrze, a w zapłacie otrzyma same guzy i może parę głębokich blizn! No i do Lankhmaru skierowałam swoje kroki. Tam spiknęłam się z bystrą dziewczyną o takich samych zapatrywaniach i z pewnym doświadczeniem, i razem szło nam nienajgorzej przez dwie lunacje księżycy i kawałek trzeciej. Zawsze działałyśmy w czarnych kostiumach, nazywając się między sobą Diablim Duo. Dla niepoznaki utworzyłyśmy duet taneczny, zwykle występując w godzinach przedwieczornych,

jako zapchajdziury przed programami gwiazd sceny.

Trochę później spróbowaliśmy również sztuki mimicznej, czego poduczył nas niejaki Hinerio, sławny aktor, który przez pociąg do wina stoczył się na dno, najukochańszy i najdworniejszy stary cykor, jaki kiedykolwiek zebrał o kielicha nad ranem czy kombinował, jak pomacać dziewczynę cztery razy młodszą od siebie. No więc wiodło mi się, powiadam, całkiem dobrze... dopóki nie weszłam w konflikt – tak jak moi rodzice – z prawem. Nie, nie z prawem sądów suzerena, drogi chłopcze, ani jego lochów i kół tortur, i pieńków do odrąbywania rąk i głów, chociaż są one hańbą wołającą o pomstę do nieba. Nie, ja weszłam w konflikt z prawem jeszcze starszym niż lankhmarskie i z sądem mniej litościwym. Krótko mówiąc, zdemaskowała nas Gildia Złodziejska, najstarsza organizacja cywilizowanego świata, posiadająca loże w każdym cywilizowanym mieście, organizacja, której kodeks zabrania członkostwa kobietom, i która pała nienawiścią do wszystkich wolnych strzelców w złodziejskim fachu. Jeszcze w rodzicielskiej zagrodzie słyszałam o Gildii i w swojej naiwności łądziłam się, że zostanę godną wstąpienia do niej, ale wkrótce usłyszałam też o złodziejskim porzekadle: „Lepiej daj kobrze całusa, niżli wiarę kobiecie”. Nawiasem mówiąc, słodki adeptcie arkanów cywilizacji, owe kobiety potrzebne złodziejom na wabia, dla odwrócenia uwagi i tym podobnie, zatrudniane są na godziny z Gildii Ladacznic.

Miałam szczęście. W chwili kiedy zupełnie gdzie indziej powinnam być duszona pomaleńku, potykałam się o ciało mojej przyjaciółki we własnym mieszkaniu, niespodziewanie wróciwszy po zapomniany klucz. W naszym pokoju z zapartymi okiennicami zapaliłam lampę i zobaczyłam długie konanie wypisane na twarzy Vilis i czerwony, jedwabny sznur wrzynający się głęboko w jej szyję. Lecz co mnie przepęłniło najgorętszym szalem i najzimniejszą nienawiścią, nie wspominając o drugiej fali zmiękczającego kolana strachu, to zaduszenie również starego Hineria. Vilis i ja ostatecznie stanowiłyśmy konkurencje, więc i zagrano z nami poniekąd uczciwie wedle śmierdzących reguł cywilizacji, ale jemu nigdy nie wpadło nawet do głowy podejrzewać nas o złodziejstwo. Po prostu uznawał, że mamy innych kochanków lub też – albo i także – erotycznych klientów.

No więc dałam z Lankhmaru drapaka tak szybko jak spłoszony krab, wypatrując za sobą pościgu, a w Ilthmarze spotkałam trupę Essedineksa, która w martwym sezonie wyjeżdżała na północ. Szczęśliwym trafem potrzebowali głównego mima, a moje umiejętności jakoś zadowolili starego Essika.

Ale poprzysięgłam jednocześnie na jutrzeńkę, że pomszczę śmierć Vilis i Hineria. I pewnego dnia pomszczę. Zręcznymi intrygami, z czyjąś pomocą i pod nową przykrywką. Niejeden z wielkich możnych Gildii Złodziejskiej pozna jak to smakuje, kiedy człowiekowi zaciskają tchawicę powolutku, milimetr po milimetrze, o tak, i gorsze rzeczy! Lecz to parszywy temat na miły poranek, ukochany, i poruszyłam go tylko po to, aby pokazać, dlaczego nie wolno ci wiązać się zbyt z kimś tak

występnym i zepsutym jak ja.

Tu Vlana obróciła się na boku przykrywając Fafhrda swoim ciałem i wycalowała go od kącika ust po płatek ucha, ale gdy przystąpił do odwzajemniania tych pieszczot w pełni i z nawiązką, dziewczyna zdjęła z siebie jego błędzące po omacku dłonie, unieruchomiła mu ramiona wspierając się na nich i unosząc, i patrząc nań swoim enigmatycznym spojrzeniem, powiedziała:

–Najdroższy chłopcze, świt już szary, a niebawem będzie różowy, musisz więc opuścić mnie natychmiast lub co najwyżej po jeszcze jednej pożegnalnej potyczce. Wracaj do domu, ożeń się z ową gibką drzewołazką – teraz jestem pewna, że to nie był chłopak – i żyj swoim własnym życiem prostym jak strzała, z dala od smrodów i sideł cywilizacji. Pojutrze zwijamy występy i odjeżdżamy wczesnym rankiem, a ja muszę podążyć za moim krętym przeznaczeniem. Gdy ostygnie w tobie krew, poczujesz do mnie jedynie pogardę. Nie, nie zaprzeczaj mi – znam mężczyzn. Chociaż istnieje maleńka szansa, że będąc takim, jakim jesteś, wspomnisz mnie z odrobiną przyjemności. W którym to przypadku daję ci tylko jedną radę: nigdy nie napomknij o tym swojej żonie!

Fafhrd zmierzył ją nie mniej enigmatycznym spojrzeniem.

–Księżniczko – rzekł – ja byłem piratem, a przecież pirat to nikt inny tylko złodziej morski, który często grabi ludzi równie biednych jak twoi rodzice. Barbarzyństwo potrafi odpowiedzieć smrodem na każdy smród cywilizacji. W naszych przemarzniętych istnieniach nie ma kroku, którego by nie pętały przykazania obłąkanego boga, zwane przez nas zwyczajami, oraz czarne macki zabobonów, przed którymi nie ma ucieczki. Mój ojciec został skazany na śmierć przez zgruchotanie kości z wyroku sądu, którego nazwać się nie ośmielę. Zbrodnia ojca – wspinaczka na szczyt górski. I mamy tutaj mordy i kradzieże i rajfurstwo, i... Och, mógłbym ci opowiedzieć niejedną historię, gdyby... – Urwał, podnosząc ręce i ujmując ją delikatnie pod pachy, i to raczej on trzymał jej ciało od pasa nad sobą, a nie ona wspierała się na ramionach. – Pozwól mi iść z tobą na południe, Vlano – powiedział z ogniem w głosie – czy to w składzie twojej trupy, czy w pojedynkę. Jakby nie było, jestem śpiewającym skaldem, umiem tańczyć wśród mieczy, żongluję czterema wirującymi sztyletami i na dziesięć kroków trafiam każdym z nich w cel wielkości paznokcia mojego kciuka. A gdy dotrzemy do Miasta Lankhmar – może przebrani za parę Mieszkańców Północy, jako że jesteś wysoka – będę twym prawym ramieniem zemsty. Zapewniam cię, że umiem kraść również na lądzie i podejść ofiarę zaułkami równie – jak sądzę – niepostrzeżenie, jak w lesie. Umieję...

Spoczywając na jego ramionach, Vlana położyła mu dłoń na ustach, podczas gdy jej druga dłoń leniwie błędziła pod długimi włosami na karku Fafhrda.

–Kochanie – powiedziała – nie wątpię, że jesteś dzielny, wierny i zręczny jak na

osiemnastoletniego chłopca. I kochasz nieźle jak na młokosa – wcale nieźle, żeby dogodzić swej białofutrej dziewczynie, a pewnie i paru jeszcze panienkom, gdy ci przyjdzie ochota. Lecz mimo twych okrutnych słów – wybaczone, że będę szczerą – wyczuwam w tobie prawość, szlachetność nawet, zamiłowanie do uczciwej gry i nienawiść do tortur. Pomocnik, jakiego poszukuję do mej zemsty, musi być okrutny i podstępny, musi kęsać jak wąż, a przy tym orientować się przynajmniej tak jak ja w fantastycznie powikłanych ścieżkach wielkich miast i starożytnych gildii. I, mówiąc bez osłonek, musi mieć tyle lat co ja, tobie zaś brakuje ich prawie tyle, ile masz palców u obu rąk. Więc chodź i pocałuj mnie, drogi chłopcze, i raz jeszcze spraw mi rozkosz, i...

Fafhrd dźwignął się raptownie wraz z nią i podniósłszy nieco dziewczynę, posadził ją sobie w poprzek ud i chwycił za ramiona.

–Nie – rzekł stanowczo. – Nic nie da poddanie cię raz jeszcze moim niedoświadczonym pieścizom. Ale...

–Obawiałam się, że tak to przyjmiesz – przerwała mu markotnie. – Nie miałam na myśli...

–Ale – ciągnął z chłodnym opanowaniem – o jedno chcę cię zapytać. Czy już wybrałaś sobie pomocnika?

–Na to nie odpowiem – odrzekła spoglądając na niego równie chłodno i spokojnie.

–Czy został nim...? – zaczął i gwałtownie zacisnął wargi, przechwytyjąc imię „Veliks”, nim zostało wypowiedziane.

Przypatrywała mu się z nie ukrywaną ciekawością, jaki będzie jego następny krok.

–No dobrze – powiedział w końcu i opuściwszy dłonie z jej ramion, sam się nimi podparł. – W twoim mniemaniu starałaś się – jak myślę – działać dla mojego największe go dobra, więc odpłacę ci pięknym za nadobne. To, co muszę ujawnić, powstało z barbarzyństwa i cywilizacji w równej mierze.

I opowiedział Vlanie o zamiarach Essedineksa i Hringorla wobec niej. Uśmiechnęła się serdecznie, gdy skończył, chociaż odniósł wrażenie, że jak gdyby pobladła nieco.

–Muszę wychodzić z wprawy – zauważyła. – Więc to dlatego moje raczej wyrafinowane sztuki mimiczne tak łatwo zadowolili prymitywne i prostackie gusta Essika, i dla tego znalazło się dla mnie wolne miejsce w trupie, i dlatego nie byłam zmuszona do prostytuowania się po Występach jak pozostałe dziewczyny. – Rzuciła Fafhrdowi bystre spojrzenie. – Dziś w środku nocy jacyś kawalarze wyrócili namiot Essika. Czy to był...?

Kiwnął głową.

–Byłem w dziwnym nastroju dzisiejszej nocy, wesół a wściekły.

Odpowiedział mu jej szczery, pełen zachwytu śmiech, a potem kolejne bystre spojrzenie.

–Zatem nie poszedłeś do domu, kiedy odprawiłam cię po Występach?

–Nie, dopiero potem – rzekł. – Nie poszedłem, zostałem na czatach.

Czułe, kpiące i zdumione oczy kochanki spoglądały nań z całkiem oczywistym pytaniem: „I co widziałeś?” Fafhrd stwierdził, że tym razem może bez najmniejszego trudu nie wymieniać imienia Veliksa.

–Widzę, że rycerski z ciebie kawaler – zażartowała. – Ale dlaczego od razu mi nie powiedziałeś o niegodziwym spisku Hringorla? Czy myślałeś, że się wystraszę i przejdzie mi chęć na kochanie?

–To też, trochę – przyznał – ale przede wszystkim dlatego, że aż do tej chwili nie byłem zdecydowany, czy mam cię ostrzec. Prawdę mówiąc, wróciłem do ciebie w nocy jedynie ze strachu przed upiorami, jakkolwiek później odkryłem inne dobre powody. Co więcej, strach i samotność, tak, i trochę chyba zazdrość doprowadziły mnie do tego, że tuż przed wizytą w twoim namiocie miałem ochotę rzucić się w Kanion Trollich Schodów albo przypiąć narty i pokusić się na prawie niemożliwy skok, który już od lat judził mą odwagę...

Jej palce wpiły mu się w przedramię.

–Nie zrób tego nigdy – powiedziała z wielką powagą. – Trzymaj się życia. Myśl tylko o sobie. Najgorsze zawsze idzie ku lepszemu albo w niepamięć.

–Tak, tak właśnie myślałem, zamierzając zdać się na łaskę bryzy nad kanionem. Ukołysz mnie, czy ciśnie w dół? Jednak egoizm, którego – co byś nie mówiła – mam pod dostatkiem, no więc ten egoizm oraz pewna podejrzliwość wobec wszelkich cudów wybiły mi ten pomysł z głowy. Przedtem byłem też o krok od stratowania twojego namiotu, przed zwaleniem budy Mistrza Występów. A zatem jest we mnie – jak widzisz – zło. O tak, i milcząca, podstępna natura.

Nie roześmiała się, tylko w głębokiej zadumie utkwiała w nim oczy. Wtem zagadkowy wyraz ponownie zasnuł je na jakiś czas. W pewnej chwili Fafhrd miał wrażenie, że sięga wzrokiem poza ową zasłonę i ogarnął go niepokój, bowiem to, co mu się przywidziało na dnie tych wielkich źrenic w piwnych tęczęwkach, to nie była wieszczka patrząca na świat z wyżyn górskiego szczytu, lecz handlarka, która na szalkach swej wagi nader skrupulatnie odważa towary, w maleńkiej książeczce co i

rusz zapisując stare długi i nowe łapówki oraz dalsze przewidywane zyski. Ale było to jedynie przelotne, niemiłe wrażenie, toteż radość załapała Fafhrdowi serce, gdy pochyłona nad nim Vlana, której wciąż nie wypuszczał z uścisku, uśmiechnęła mu się z góry prosto w oczy i powiedziała:

–Teraz odpowiem na twoje pytanie, na które nie chciałam i nie mogłam odpowiedzieć wcześniej. Albowiem dopiero w tym oto momencie zdecydowałam się wybrać na swego pomocnika... ciebie. Uściskaj mnie z tej okazji!

Pochwyił ją z ochoczym zapalem i taką siłą, że zapiszczała, lecz kiedy żar w jego ciele już, już był nie do wytrzymania, odepchnęła się nagle i uniosła nad nim, wołając bez tchu:

–Zaczekaj! Zaczekaj! Najpierw musimy ułożyć plan działania.

–Później, ukochana. Później – błagał przyciągając ją do siebie.

–Nie! – postawiła się ostro. – Później przegrywa zbyt wiele bitew z Za Późno. Wprawdzie zostałeś adiutantem, ale to ja jestem dowódcą i wydaję rozkazy.

–Słucham posłusznie – ustąpił. – Tylko się pospiesz.

–Przed godziną porwania musimy już być kawał drogi od Zimnego Zakątka – rzekła. Muszę dziś spakować manatki, załatwić sanie, ręce konie i zapas żywności. To pozostaw mnie. Ty zachowuj się dzisiaj jakby nigdy nic i omijaj mnie z daleka na wypadek, gdyby nasi wrogowie nasłali na ciebie szpiegów, co zarówno Essik, jak i Hringorl najpewniej uczynią...

–Ma się rozumieć, ma się rozumieć – pośpiesznie zapewnił Fafhrd. – A teraz najśłodsza moja...

–Żeby ich zwieść do końca, wdrapiasz się na dach Bożychramu na długo przed Występami, tak jak ubiegłej nocy. Jak nic mogą pokusić się o porwanie mnie w trakcie Występów – Hringorl lub jego ludzie z nadgorliwości albo Hringorl z chęci wyrolowania Essika z jego złota – i będę się czuła bezpieczniej z tobą na straży. A kiedy po przeparanowaniu w todze i srebrnych dzwoneczkach zejdem ze sceny, ty zejdziesz na dół i spotkasz mnie w stajni. Uciekniemy w czasie przerwy między pierwszym a drugim aktem, gdy w taki czy inny sposób wszyscy będą tak bardzo zaprzątnięci oczekiwaniem na dalszy ciąg, że nie zwrócą na nas uwagi. Wszystko jasne? Trzymać się dziś na odległość? Ukryć na dachu? Spotkać ze mną w przerwie? Doskonale! No to teraz, adiutancie najukochańszy, zapomnij o wszelkiej dyscyplinie. Do ostatniej drobiny pozbądź się szacunku należnego dowódcy i...

Lecz teraz marudził z kolei Fafhrd. Przemowa Vlany dała czas na wybudzenie jego własnych trosk i teraz przytrzymał dziewczynę w górze, chociaż zaplótłszy mu

ręce na karku, wyteżala wszystkie siły, by zewrzeć ich ciała.

–Będę ci posłuszny co do joty – rzekł. – Jeszcze tylko jedna przestroga, ale potraktuj to jako sprawę życia lub śmierci. Na ile tylko potrafisz, myśl dzisiaj jak najmniej o naszych planach, nawet w trakcie przygotowań do ucieczki. Przesłoń je panoramą myśli o czymś innym. Tak samo ja postąpię z moimi myślami, możesz być pewna. Bo matka moja, Mor, jest mistrzynią czytania w myślach.

–Twoja matka! Doprawdy, zastraszyła cię niepomiernie, kochany, do tego stopnia, że aż mnie świerzbi, aby wyzwolić cię całkowicie... och, nie powstrzymuj mnie! Toż ty mówisz o niej, jakby była Królową Czarownic.

–Bo też nią jest, nie miej wątpliwości – zapewnił ponuro Fafhrd. – Ona jest olbrzymim białym pająkiem, zaś całe Zimne Pustkowie to jej sieci, wśród których my muchy musimy poruszać się na paluszkach, stawiając kroki ponad lepkiemi nićmi. Usłuchasz mnie?

–Tak, tak, tak po trzykroć! A teraz...

Opuścił ją na siebie powoli, jak ktoś grający sobie na nerwach mógłby przykładać bukłak wina do ust. Ich wargi zawisły w powietrzu. Fafhrd zdał sobie sprawę z głębokiej ciszy w górze, wokoło, w dole, jak gdyby to sama ziemia wstrzymywała oddech. Cisza przepełniła go lękiem. Pocałował dziewczynę i oboje zatonęli w sobie, i Fafhrd utopił swój lęk.

Rozdzielili się dla złapania tchu. Fafhrd sięgnął do lampy i zacisnął palce na knocie, którego płomień skonał, i pod namiotem zapadła ciemność, jeśli nie liczyć zimnego srebra brzasku, jakie sączyło się przez szpary i pęknięcia. Zapiekł go palce. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił – przedtem kochali się w blasku lampy. Znów poczuł lęk. Opasał Vlanę mocnym uściskiem usuwającym precz wszelkie lęki. I oto nagle – chyba nie potrafiłby powiedzieć dlaczego – turlał się wraz z nią i turlał w koniec namiotu. Trzymając jej ramiona w swych ramionach, nogami ściskając jej nogi, rzucał ją w bok przez siebie i zaraz siebie przez nią w najszybszej przetaczance.

Rozległ się trzask niczym gromu i pięść olbrzyma jak piorun huknęła w zamarznąętą na granit ziemię tuż za nimi, gdzie środek namiotu zapadł się w nicość, ku której ostro przygięte pałaki ściągnęły za sobą skórzany dach nad ich głowami.

Wturlali się w lecące z wieszaka fatalaszki. Usłyszeli drugi potworny trzask, a po nim łomot i chrzęst, jakby jakaś wielgachna bestia chapnęła i schrupała behemota w paszczy. Ziemia jeszcze przez chwilę dygotała. Wreszcie umilkły wszelkie echa po owym grzmocie i trzęsieniu ziemi, z wyjątkiem osłupienia i lęku, i dzwonienia w uszach. Fafhrd pierwszy doszedł do siebie.

–Ubieraj się! – nakazał Vlanie, a sam wyśliznąwszy się pod tylną burta, stanął goły

na mrozie, pod różowiejącym niebem.

W poprzek i przez sam środek namiotu, wgniatając dach i posłanie Vlany w wieczną zmarzlinę, legł ogromny konar śnieżnego jaworu w olbrzymiej stercie opadłych z niego kryształów. Cały jawor pozbawiony przeciwwagi wielkiej gałęzi runął na drugą stronę i spoczywał w osypisku własnych kryształów. Czarne, włochate, rozerwane korzenie obnażały swą nagość. Wszystkie kryształy lśniły w słońcu bladą, cielistą różowością. Nic się nigdzie nie poruszało, nawet ani jedna wstążka dymu nie zwiastowała śniadania. Magia uderzyła jak potężny młot i nikt oprócz wybranych ofiar nie zwrócił na to uwagi. Czując, że zaczyna dygotać, Fafhrd wpelznął z powrotem pod dach.

Vlana posłusznie ubierała się w scenicznym tempie. Fafhrd wlaźł pośpiesznie we własny przyodziewek jakże opatrnościowo złożony na kupkę w tym końcu namiotu. Zastanawiał się, czy to nie za sprawą wyroków boskich złożył tu ubranie i zgasił palcami lampę, od której zmiażdżony namiot w przeciwnym razie stałby już w płomieniach.

Dotyk ubrania był zimniejszy od lodowatego powietrza, jednak Fafhrd wiedział, że to minie. Ponownie wyczołgał się razem z Vlaną na zewnątrz. Gdy powstali, obrócił ją twarzą w stronę odłamanego konaru z olbrzymią kupą kryształów wokół i rzekł:

–Teraz pośmiej się z czarnoksięskich mocy mojej matki, jej sabatu i wszystkich Śnieżnych Kobiet.

–Widzę jedynie przeciążoną lodem gałąź – odparła Vlana z powątpiewaniem.

–Porównaj masę śniegu i kryształów opadłych z tej twojej gałęzi z ich masą gdziekolwiek indziej – rzekł. – Pamiętaj: kryj myśli!

Od namiotów kupieckich biegła ku nim czarna postać. Pędziła groteskowymi susami, rosnąc w oczach. Z tupotem zatrzymał się przed nimi zziąjany Veliks Rzykant i chwycił Vlanę za ramiona.

–Śniło mi się – powiedział uspokowszy oddech – że ciebie coś powaliło i przywaliło. Następnie obudził mnie huk gromu.

–Wyśniłeś sobie prolog tej historii, lecz w tego rodzaju zdarzeniach początek to tyle, co zupełnie nic – rzekła Vlana.

Veliks nareszcie zauważył Fafhrda. Wściekła zazdrość poryła mu twarz bruzdami, a jego dłoń sięgnęła po sztylet u pasa.

–Stój! – rzuciła ostro Vlana. – Istotnie zostałabym starta na miazgę, gdyby nie zmysły tego tu młodzieńca, które choć winny być zaprzątnięte bez reszty czymś

innym, wychwyciły pierwsze sygnały upadku gałęzi, i gdyby on sam w porę nie sprzątnął mnie śmierci spod kosy. Fafhrd mu na imię.

Veliks przemienił ruch swej dłoni w gest niskiego ukłonu, szeroko odrzucając drugą rękę.

–Wielce ci jestem zobowiązany, młody człowieku – powiedział serdecznie. – Za ocalenie życia wybitnej artystki – dodał po chwili.

Pokazywały się już inne postacie, jedne śpiesząc do nich z pobliskich namiotów aktorów, inne w wejściach odległych namiotów Śnieżnego Plemienia i nie poruszające się wcale. Przyciskając policzek do policzka Fafhrda jak gdyby w konwencjonalnym podziękowaniu, Vlana wyszeptała co tchu:

–Pamiętaj o mych planach na tę noc i na całe nasze przyszłe siódme niebo. Nie odstęp od nich ani na jotę. Zniknij z oczu.

–Strzeż się śniegu i lodu – zdążył odszepnąć Fafhrd. – Działaj i nie myśl.

Do Veliksa Vlana przemówiła z większej odległości, jakkolwiek grzecznie i uprzejmie:

–Dziękuję ci, panie, za twą troskę o mnie, zarówno w twoich snach, jak i przebudzeniach.

–To była feralna noc dla namiotów – ze zgryźliwym humorem Essedineks ozwał się z głębi futrzanej szuby, której kołnierz sięgał mu wyżej uszu.

Vlana wzruszyła ramionami. Wokół niej zebrały się dziewczyny z trupy, zasypując ją pełnymi niepokoju pytaniami i tak pogrążona w poufnej rozmowie odeszła z nimi do namiotu aktorów, gdzie wszystkie zniknęły w wejściu dla kobiet.

Veliks z marsem na czole odprowadził ją spojrzeniem i szarpał swe czarne wąsy. Męscy przedstawiciele trupy gapili się na rozwalony namiot, kręcąc głowami. Veliks przyjaźnie zagadnął Fafhrda:

–Proponowałem ci już gorzałkę, a idę o zakład, że teraz potrzebujesz kielicha. Poza tym, od wczorajszego ranka bardzo chciałbym z tobą pogadać.

–Daruj, ale tak morzy mnie sen, że gdy tylko przysiądę, to nie dotrwam ani do pierwszych słów, choćby mądrych jak samej sowy, ani nawet do pierwszego łyku gorzałki – uprzejmie odparł Fafhrd, zasłaniając szerokie ziewniecie, w połowie jedynie udawane. – Tym niemniej dziękuje ci.

–Widać pisane mi zapraszać zawsze w nieodpowiedniej chwili – zauważył Veliks ze wzruszeniem ramion. – To może w południe? Albo po południu? – dodał prędko.

–Po, jeśli łaska – odrzekł Fafhrd i pośpiesznie oddalił się wielkimi krokami w stronę kupieckich namiotów.

Veliks nie próbował dotrzymać mu kroku...

W całym swoim życiu Fafhrd nigdy nie przeżył tak wielkiego zadowolenia. Na myśl, że tej nocy na zawsze pozostawi za sobą nedorzeczny śnieżny świat i kobiety trzymające mężczyzn na łańcuchu,omalże ogarniała go nostalgia za Zimnym Zakątkiem. Strzeż myśli! – powtarzał sobie. Pod wpływem przeczucia nieuchwytniej groźby czy też łaknienia snu, znajome mu kąty przybrały widmowy charakter jak odwiedzane po raz wtóry miejsca dzieciństwa.

Osuszył biały porcelanowy kufel wina, którym poczęstowali go mingolscy przyjaciele Zaks i Effendrit, dał się im powieść ku rozkoszom posłania za stosami futer i natychmiast zapadł w kamienny sen.

Po wiekach absolutnej, puchowej ciemności zapłonęły łagodne światła. U boku swego ojca Nalgrona zasiadł Fafhrd za wielkim stołem biesiadnym uginającym się od wszelakich potraw smakowicie parujących i od wzmocnionych win wszelakich w dzbanach glinianych, w dzbanach kamiennych, w dzbanach srebrnych, w dzbanach kryształowych i w dzbanach złotych. Wokół stołu widział ciemne sylwetki innych współbiesiadników, zbyt ciemne, by je rozpoznać, i słyszał nieustanny, usypiający szum ich rozmów, zbyt cichych, by je zrozumieć, jak szemranie niezliczonych strumieni, niekiedy ozywające kaskadami cichego śmiechu podobnymi pluskowi fal, które toczą się i powracają żwirem plaży. A głuche stuknięcia sztućców o talerze i noża o łyżkę przypominały grzechotanie kamyków w owym przyboju.

Nalgron odział się w najlepsze futra niedźwiedzia lodowego i przystroił w zapinki, łańcuchy, bransolety i pierścienie z najszczerzego srebra, i nawet we włosach miał srebro, co niepokoiło Fafhrda. W lewicy trzymał srebrny puchar, który podnosił do ust raz na jakiś czas, ale drugą dłoń chował pod futrem, nie sięgając nią do potraw ani razu. Pobłażliwie, niemal łagodnie rozprawiał o wielu rzeczach, dużo i mądrze. Spojrzeniem błędził wokół stołu, to tu, to tam, jednak mówił nazbyt cicho, by Fafhrd nie wiedział, że słowa ojca są przeznaczone wyłącznie dla syna. Fafhrd wiedział i to, że powinien wsłuchiwać się pilnie w każde słowo i nie uronić żadnej myśli, bowiem Nalgron prawił o odwadze i honorze, o prawości, o rozumnym czynieniu i solennym dotrzymywaniu ślubów, o słuchaniu głosu serca, o wyznaczaniu i niezbaczeniu z drogi ku szlachetnym, romantycznym ideałom, o uczciwości przed samym sobą w tych wszystkich sprawach, a zwłaszcza w przyznawaniu się do własnych nienawiści i miłości, o tym, że trzeba przymykać oczy na kobiece bojaźnie i swarliwość, a wielkodusznie wybaczać kobietom ich wszelką zazdrość, próby rzucania kłód pod nogi i nawet najcięższe łotrostwa, jako że wszystko to bierze się z ich niepohamowanej miłości do nas lub kogoś innego, i o wielu najróżniejszych sprawach, których znajomość jest nader przydatna dla młodzieńca wkraczającego w

wiek męski.

Lecz nawet wiedząc o tym, Fafhrd słuchał ojca wrywkowo, bardzo strapiiony widokiem wynędzniałego lica Nalgrona i chudością silnych palców delikatnie ujmujących srebrny puchar, i siwizną we włosach, i nikłym nalotem siności na czerwonych wargach, i mimo że pewność, a i wyraźna żwawość biła z każdego ojcowskiego ruchu, gestu, i słowa, Fafhrd ciągle wyszukiwał najsmakowitsze kąski na dymiących półmiskach i w misach wokół siebie, i nie mogąc się powstrzymać nakładał je na szeroki srebrny talerz Nalgronowi, aby go czymś uraczyć. Ilekroć to uczynił, ojciec spoglądał w stronę syna z uśmiechem i z miłością w oczach i uprzejmie skłaniał głowę, a następnie przykładał swój puchar do warg i zaraz podejmował rozmowę, ale nigdy nie odstąpił swojej prawej dłoni.

Biesiada ciągnęła się w najlepsze i Nalgron przystąpił do omawiania jeszcze ważniejszych spraw, jednak teraz troska o zdrowie ojca tak bardzo pochłaniała Fafhrda, że prawie nie słyszał ani słowa z tej skarbnicy mądrości. Miał wrażenie, że kość policzkowa Nalgrona jakby bardziej sterczy, grożąc przebicciem naciągniętej skóry, że bystre ojcowskie oczy są jakby jeszcze bardziej zapadnięte i ciemniej podkrążone, a sine żyły jakby bardziej nabrzmiwały na grubych ścięgnach dłoni delikatnie ujmującej srebrny puchar, i zaczynał właśnie podejrzewać, że chociaż Nalgron często macza wargi w winie, to nie wypił ani jednej kropelki.

–Jedz, ojcie – poprosił ściszym, pełnym troski głosem. – Pij chociaż.

I znów to samo spojrzenie, ten sam uśmiech, ten sam skłon głowy, bystre oczy jeszcze cieplejsze od miłości, szybkie przechylenie pucharu do nie rozdzielonych warg, ucieczka wzrokiem, i znów ta cicha, jednostronna spowiedź.

Ale teraz Fafhrda chwycił strach, bowiem światła siniały coraz bardziej i dotarło do niego, że przez cały ten czas nikt z czarnych, nierozpoznanych biesiadników nawet nie podniósł i nie podnosi choćby ręki, nie mówiąc już o podniesieniu brzegu pucharu do ust, jakkolwiek wszyscy czynią nieprzerwany głuchy szczeł swymi sztucami. Troska o ojca stała mu się udręką nie do zniesienia i zanim dobrze zdał sobie sprawę, co robi, odgarnął połę ojcowskiej szuby, chwycił za nadgarstek ukrytą pod futrem prawicę i popchnął ją w stronę pełnego talerza.

Tym razem Nalgron nie kiwał głową, lecz wysuwał ją ku Fafhrdowi, i nie uśmiechał się, a szczyrzył w uśmiechu, jakby chciał zademonstrować swoje wszystkie zęby barwy starej kości słoniowej, zaś jego oczy były zimne... zimne... zimne... Dłoń i uchwycone przez Fafhrda przedramię przypominały w dotyku, przypominały na oko, były nagą, poczerniałą kością. Nagle trzęsąc się na całym ciele, a najsilniej w ramionach, Fafhrd szybko jak wąż odbił w drugi koniec ławy.

A potem już nie trzął się, tylko nim trzęsły za ramiona silne ręce z krwi i kości,

ciemność ustąpiła lekko prześwitującej skórze dachu mingolskiego namiotu, a miejsce twarzy ojca zajęło żółtołice, czarnowąse i posępne, lecz zatroskane oblicze Veliksa Ryzykanta.

Fafhrd zagapił się nieprzytomnie, po czym wstrząsnął ramionami i głową, aby przywrócić zwawsze tempo życia w swym ciele i strącić zaciśnięte na nim dłonie. Ale Veliks puścił go już i zdążył usadowić się na pobliskiej stercie futer.

–Daruj, młody wojowniku – rzekł z powagą. – Miałem wrażenie że śniesz sen, jakiego nikt nie życzyłby sobie kontynuować.

Obejście i ton głosu upodabniały go do zjawy Nalgrona. Fafhrd podparł się na łokciu, ziewnął i zdjęty dreszczem, otrząsnął się ponownie.

–Czujesz ziąb w ciele lub w duszy albo też w jednym i w drugim – powiedział Veliks. – Mamy więc dobry pretekst do obiecannej gorzałki.

Nie wiadomo skąd wydobył parę srebrnych kubków i brązowy dzban gorzałki, który natychmiast odkorkował palcem wskazującym i kciukiem jednej ręki. Fafhrd wzdrygnął się w duchu na widok ciemnej patyny kubków i na myśl o tym, co też mogło przyschnąć czy przyprószyć ich dna, a może dno tylko jednego z nich. Z niepokojem przypomniał sobie, że ten mężczyzna jest jego rywalem do uczuć Vlany.

–Zaczekaj – przerwał Veliksowi, który właśnie zabierał się do nalewania. – Srebrny puchar odegrał nieprzyjemną rolę w moim śnie. Zaks! – krzyknął na Mingola stojącego w otwartym wejściu namiotu. Porcelanowy kubek, jeśli łaska!

–Uważasz swój sen za ostrzeżenie przed piciem ze sreber? – cicho zapytał Veliks, uśmiechając się domyślnie.

–Nie – odparł Fafhrd – ale przepełnił mnie wstrętem, którego jeszcze się nie wyzbyłem.

Był trochę zdziwiony, że Mingole tak bez ceregieli wpuścili do niego Veliksa. Może wszystkich trzech łączyła stara znajomość z kupieckich karawan. A może wchodziła w grę łapówka.

Veliks rozluźnił się i parsknął śmiechem.

–Do tego wszystkiego nabrałem niechlujnych nawyków, żyjąc sam jak palec, bez baby czy służebnej dziewczki. Effendrit! Daj dwa porcelanowe kubki, czyste jak świeżo okorowana witka!

Rzeczywiście, to ten drugi Mingol stał przy wejściu – Veliks rozróżniał ich lepiej niż Fafhrd. Ryzykant migiem wręczył mu jeden z pary lśniących bielą porcelanowych

kubków. Odrobinę drażniącego nozdrza trunku wlał we własny, potem szczerze chlusnął Fafhrdowi i znów dolał sobie – jakby chciał pokazać, że nie ma tu żadnej trucizny czy narkotyku. I śledzący go orlim okiem Fafhrd nie miał nic do zarzucenia tej demonstracji. Stuknęli się lekko kubkami i Veliks pociągnął zdrowo, podczas gdy Fafhrd wziął wielki, aczkolwiek przezornie powolny łyk. Trunek palił łagodnie.

–Ostatni dzban – radośnie oznajmił Veliks. – Cały zapas przehandlowałem na bursztyny, śnieżne gemmy tudzież inne drobiazgi, poszedł też i mój namiot, i wóz, wszystko, z wyjątkiem pary koni, ich i mego oporządzenia i zimowych racji żywnościowych.

–Słyszałem, że masz najszybsze i najwytrwalsze konie w całych Stepach – zauważył Fafhrd.

–To za dużo powiedziane. Tutaj z pewnością są w czołówce.

–Tutaj! – rzucił z pogardą Fafhrd.

Veliks spojrział na niego spojrzeniem Nalgrona, jeśli pominąć końcówkę snu. Po chwili rzekł:

–Fafhrdzie – mogę cię tak nazywać? Mów mi Veliks. Czy mogę udzielić ci rady? Takiej, jaką dałbym rodzonemu synowi?

–Oczywiście – odparł Fafhrd, już nie tylko zakłopotany, ale i czujny jak żuraw.

–Najwyraźniej nie możesz sobie tutaj znaleźć miejsca. Tak jest wszędzie z każdym młodym i normalnym chłopakiem w twoim wieku. Młodych ciągnie w szeroki świat. Grunt pali im się pod stopami. Ale pozwól, że powiem ci jedno: trzeba czegoś więcej niż spryt i zdrowy rozsądek, tak, tak, i niż rozum nawet, aby stawić czoło cywilizacji i znaleźć w niej jakiś kąt dla siebie. Trzeba cwaniactwa i podłości, trzeba się zbrukać tak, jak zbrukana jest cywilizacja. Tam wspinaczka do sukcesu to nie wspinaczka na turnię, choćby nie wiem jak oblodzoną i zdradliwą. Ta druga wymaga wszystkiego, co w nas najlepsze. Pierwsza – wiele z tego, co w nas najgorsze, a ty jeszcze nie znasz i nie musisz poznać świadomie złej natury człowieka. Ja urodziłem się renegatem. Mój ojciec był rodem z Ośmiu Miast, lecz przystał do Mingoli. Sam teraz żałuję, że nie pozostałem wierny Stepom, mimo ich okrucieństwa, i że poszedłem za deprawującym głosem Lankhmaru i Krain Wschodu. Wiem, wiem, tutejszy ludek jest ograniczony i zniewolony pętami obyczaju. Lecz w porównaniu z wypaczonymi umysłami cywilizacji są oni prości jak sosny. Z twoimi zdolnościami bez trudu zostaniesz wodzem – więcej, zaiste – wielkim chanem kilkunastu połączonych klanów, czyniąc z Ludu Północy potęgę, której będą musiały kłaniać się inne kraje. Wtedy, jeśli zechcesz, rzucaj sobie wyzwanie cywilizacji. Na własnych warunkach, nie jej.

Myśli i uczucia Fafhrda były jak stłoczone fale, choć jego pozorny spokój wydawał się aż niesamowity. Przepływał w nich nawet prąd radości, że Veliks musi bardzo wysoko oceniać szansę młokosa u Vlany, skoro faszeruje rywala pochlebstwem na równi z gorzałką. Lecz w poprzek wszystkich pozostałych prądów, wzburzając i spieniając owe fale, legło nieodparte wrażenie, że Ryzykant niezupełnie udaje, że żywi ojcowskie uczucia do Fafhrda i naprawdę usiłuje go uchronić od zguby, a w tym, co mówił o cywilizacji, istotnie ma rację. Oczywiście nie można było wykluczyć i tego, że Veliks czuł się bardzo pewny Vlany, więc pozwolił sobie na uprzejmość wobec konkurenta. Niemniej...

Niemniej Fafhrd już po raz drugi był nade wszystko zakłopotany.

–Godna uwagi jest twoja rada, panie... Veliksie, chciałem powiedzieć. Przemyślę to.

Przeczącym ruchem głowy i uśmiechem wymówił się od drugiej kolejki, powstał, obciągnął na sobie ubranie.

–Liczyłem na dłuższą pogawędkę – nie podnosząc się powiedział Veliks.

–Mam pilną sprawę do załatwienia – odparł Fafhrd. – Dziękuję z całego serca.

Odprowadził go zadumany uśmiech Veliksa.

Na śnieżnym deptaku wijącym się pośród kupieckich namiotów rojno było i gwarno, i kipiało jak w ulu. Podczas snu Fafhrda przybyli mężczyźni Szczepu Lodowego i co najmniej połowa Kompanów Mrozu, z których wielu obstało teraz dwa słońca – ogniska zwane tak z racji ich ogromu, żaru i wysokości, na jaką strzelały jęzory ognia – gdzie ciągnęli parujący miód wśród nieustannych wybuchów śmiechu i wzajemnych poszturchiwań. Pobocza deptaka zajmowały oazy kupujących i targujących, opasane wiankami wesołków bądź starannie omijane, w zależności od społecznej pozycji tych, co ubijali interesy. Starzy kamraci rozpoznawali się wzajemnie i wznosili okrzyki, czasami przepychając się przez ciżbę i padając sobie w ramiona. Jedzenie i trunki leciały z rąk, rzucono i przyjmowano wyzwania, często gęsto obracając je w żarty. Skaldowie śpiewali i ryczeli.

Tumult drażnił Fafhrda, który łaknął ciszy i spokoju, aby rozdzielić Veliksa od Nalgrona w swych uczuciach oraz rozproszyć niejasne wątpliwości co do Vlany i odbrukać cywilizację. Z groźnym marszem na czole, ale nie zważając na potrącenia i szturchańce łokciami, kroczył zatopiony w niewesołych myślach, niczym lunatyk.

Wtem oprzytomniał, jakby siadł na żmiję, bo oto przelotnie ujrzał przebijających się ku niemu ukosem przez tłum Hora z Harraksem i w lot zrozumiał wymowę ich spojrzeń. Dając się obrócić z ludzkim wirami dookoła, wypatrzył tuż za sobą jeszcze Hreya, trzeciego zausznika Hringorla. Intencje tej trójki były jasne. Pod pozorem przyjacielskich kuksańców zamierzali spuścić mu solidne manto, a może gorzej niż

manto. Ciężko zafrasowany Veliksem zapomniał o mniej urojonym wrogu i rywalu, o mniej przebiegającym w środkach, acz podstępny Hringorlu.

Wnet ruszyli nań trójką. W ułamku sekundy Fafhrd dostrzegł, że Hor niesie krótką pałkę, a Harraks ma podejrzenie wielkie pięści, jak gdyby ścisnął w nich kamienie lub kawałki metalu dla zwiększenia siły ciosów.

Niby to zamierzając przemknąć pomiędzy ową parą a Hreyem, rzucił się w tył, po czym równie zniecka zawrócił i rycząc jak opętany, pognął wprost ku płomieniom słońca. Na ten ryk, głowy obróciły się w jego stronę i garstka zaskoczonych osób umknęła mu z drogi. Ale Bracia Lodowi i Kompani Mrozu już zdążyli się połapać, w czym rzecz – trzech osiłków ścigało rosnącego młodzika. Szykowała się zabawa. Doscoczyli z obu stron tworząc szpaler wiodący uciekiniera prosto w ognisko. Fafhrd odbił najpierw w lewo, potem w prawo. Naigrawając się, zwarli ciaśniej szeregi.

Fafhrd wstrzymał oddech, chroniąc oczy przesłonił je ramieniem i dał susa w ogień. Płomienie podwiały mu na plecach i wysoko uniosły futrzaną szubę. Poczł ukąszenie żaru na dłoni i szyi. Wyleciał z ognia w tłących się futrach i z błękitnymi ognikami pełgającymi we włosach. Znów miał przed sobą tłum, oprócz wymiecionej, zasłanej dywanami przestrzeni między dwoma namiotami, gdzie pod baldachimem wodzowie i kapłani siedzieli w skupieniu przy niskim stole, na którym kupiec za pomocą dwóch szalek odważał złoty piasek.

Za plecami usłyszał odgłos zderzenia i okrzyk, ktoś zawołał „Uciekaj, tchórze!”, ktoś inny „Biją się, biją się!”, przed sobą ujrzał twarz Mary, czerwoną i podekscytowaną. Po czym przyszły Wielki Chan Północy – gdyż tak mu się akurat zdarzyło pomyśleć o sobie w tym momencie – ni to skoczył, ni to dał szczupaka przez stół z baldachimem, nieuchronnie kosząc kupca i dwóch wodzów, przewracając wagę i siejąc złoty piasek na wiatr, by na koniec z sykiem pary wylądować w olbrzymiej, miękkiej zaspie po drugiej stronie. Czym prędzej przeturlał się w śniegu, a mając pewność, że zdusił na sobie wszystkie płomyki, wyskoczył z zasy i jak rączy jelen pomknął w las, ścigany stekiem przekleństw i salwami śmiechu.

Pięćdziesiąt wielkich drzew dalej zatrzymał się raptownie w śnieżnej pomroce i wstrzymał oddech nasłuchując. Przez stłumiony łomot serca nie dochodził go najlżejszy odgłos pogoni. Ponury, Fafhrd przyczesał palcami osmyczone ogniem, cuchnące włosy i z grubsza otrzepał swoje pstrokate teraz, równie cuchnące spalenizną futra. A potem czekał, aż uspokoi mu się oddech i świadomość rozwinię skrzydła. Właśnie podczas tej chwili zwłoki dokonał niepokojącego odkrycia. Po raz pierwszy w życiu ten las, będący mu zawsze schronieniem, namiotem rozpiętym ponad łądem, własnym wielkim pokojem Fafhrda o sklepieniu z igliwia, ten las wydał mu się wrogi, jak gdyby sama zimnoscóra, ciepłownętrzna matka ziemia i

zakorzenione w niej drzewa dowiedziały się o jego zaprzaństwie, wzdargdzie, odtrąceniu i zamierzonym rozwodzie z krajem ojców. Nie chodziło tu o niezwykłą ciszę ani o złowieszczą i podejrzaną barwę dźwięków, które wreszcie zaczęły docierać do jego uszu: drapnięcie maleńkiego pazurka po korze, tuptanie drobnych łapek, odległe pohukiwania sowy wieszczącej noc.

One stanowiły efekty lub co najwyżej towarzyszący akompaniament. Tu chodziło o coś nieokreślonego, coś nieuchwytnego, co wszechogarniało jak chmura na czole boga. Albo bogini.

Poczuł straszliwe przygnębienie. I jednocześnie taką twardość serca w piersi, jakiej nie zaznał nigdy przedtem.

Kiedy ponownie ruszył wreszcie w drogę, uczynił to jak tylko umiał najciszej, a jego niezwykle rozluźniona i szeroko otwarta świadomość bardziej przypominała wrażliwość obnażonych nerwów i gotowość napiętego łuku, niczym u zwiadowcy na terytorium wroga. I miał szczęście, że tak uczynił, bo inaczej nie uniknąłby pewnie spadającego sopła lodu, który był ostry, ciężki i długi, jak pocisk oblężniczej balisty, ani cepu olbrzymiej obładowanej śniegiem martwej gałęzi, która runęła z pojedynczym, ogłuszającym trzaskiem, ani sztychu jadowitego łba śnieżnej żmii, śmigającej białym biczem, a zwykle nie spotykanej na otwartych przestrzeniach, ani bocznego chłaśnięcia wąskich, morderczych pazurów śnieżnego lamparta, który jakby zmaterializował się z lodowatego podmuchu i tak samo dziwnie zniknął, gdy Fafhrd uskoczył w bok i z dobytym sztyletem stawiał mu czoło. Ani by pewnie nie wypatrzył w porę pętli wnyka, który jak nic zdusiłby nie tylko zajaca, lecz i niedźwiedzia, i który wbrew wszelkim zwyczajom założono w tym przydomowym rejonie lasu.

Zastanawiał się, gdzie przebywa Mor i co też mamrocze bądź intonuje. Czy jego winą jest to, że śnił o Nalgronie? Mimo wczorajszej klątwy – tudzież innych poprzednio – i jawnych gróźb zeszłej nocy, to tak bogiem a prawdą nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że matka zastawi nań sidła śmierci. Teraz lęk i złowróżbne przeczucia podnosiły mu włos na karku, jego czujne oczy rzucały błędne i gorączkowe błyski, a zapomniana strużka krwi spływała Fafhrdowi po policzku draśniętym przez lecący z góry wielki sople lodu.

Bez reszty pochłonięty wyglądaniem niebezpieczeństw, odkrył z niejakim zdziwieniem, że stoi na polanie, gdzie jeszcze wczoraj obściskiwali się z Marą, zaś pod stopami ma ścieżkę do pobliskich namiotów mieszkalnych. Wsunął sztylet do pochwy i przyłożył garść śniegu do krwawiącego policzka, rozprężając się trochę, ale tylko trochę, dzięki czemu zdał sobie sprawę, że ktoś idzie mu naprzeciw, jeszcze zanim uświadomił sobie, że słyszy stąpanie. Tak cicho i całkowicie wsiąknął wtedy w śniegowe otoczenie, że Mara spostrzegła go dopiero na trzy kroki przed sobą.

–Zranili cię! – zawołała.

–Nie – odparł krótko, ciągle skupiony na niebezpieczeństwach lasu.

–A czerwony śnieg na policzku? Biliście się?

–Zwykle zadrapanie. Nie dogonili mnie.

Znikła jej zatroskana mina.

–Pierwszy raz widziałam, jak uciekasz przed bijatyką.

–Nie miałem ochoty iść na trzech czy więcej – rzekł oschle.

–Co się tak oglądasz? Ścigają cię?

–Nie.

Twardszy wyraz zagościł na jej twarzy.

–Starszyzna jest oburzona. Młodzi mężczyźni nazwali cię strachajkiem. W tym i moi bracia. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

–Twoi bracia! – wykrzyknął Fafhrd. – Cały śmierdzący Śnieżny Klan niech sobie nazywa mnie, jak mu się podoba. Nic mnie to nie obchodzi.

Mara wsparła się pięściami pod boki.

–Coś ostatnio szafujesz obelgami. Nie będziesz urągał mojej rodzinie, słyszysz? Ani mnie obrażał, jeśli chodzi o ścisłość. – Z trudem łapała oddech. – Zeszłej nocy znowu polazłeś do tej starej, suchej kurwy tancerki. Siedziałeś w jej namiocie wiele godzin.

–Nieprawda! – zaprzeczył Fafhrd, myśląc: najwyżej półtorej godziny. Sprzeczka rozgrzewała w nim krew i tłu miła nadprzyrodzony lęk duszy.

–Kłamiesz! Cały obóz o tym gada. Każda inna dziewczyna już dawno napuściłaby na ciebie swoich braci.

Lisia natura Fafhrda doszła do głosu, jakby nim ktoś potrząsnął. W tę wigilię wszystkich wigilii nie wolno mu pakować się w niepotrzebną kabałę – narażać się na pokiereszowanie, a nawet, bo i tak mogło się to skończyć, na śmierć. Taktyki, chłopie, trochę taktyki – powtarzał sobie w duchu, podsuwając się ochoczo do Mary, wykrzykując tonem pełnym urażonej godności i słodyczy:

–Maro, królowo moja, jak możesz tak o mnie myśleć, tym, który kocha cię bardziej niżli...

–Precz z łapami, kłamco i oszuście!

–I to ty, która nosisz mojego syna – nie ustępował, wciąż próbując ją objąć. – Co porabia miluśkie maleństwo?

–Pluje na swego ojca. Precz z łapami, powiedziałam.

–Ale mnie ręce aż świerzbią, żeby pomacać twoją jakże wrażliwą skórę, nad którą nie ma dla mnie lepszego balsamu na tym padole po bramy Piekła, o najpiękniejszą, którą macierzyństwo czyni jeszcze piękniejszą.

–Więc idź do Piekła. I skończ z tą szopką, bo od niej tylko mdło się robi. Twoje pajacowanie nie zwiodłoby pijanej dziewczki kuchennej. Artysta z bożej łaski!

Do żywego ubodła tym Fafhrda, w którym aż krew zawrzała.

–A co powiesz o swoich własnych kłamstwach? – odpalił bez namysłu. – Wczoraj chełpiłaś się, jak to zastraszysz i porozstawiasz moją matkę po kątach. I poleciałaś do niej w dyrdy na skargę, becząc, że zrobiłem ci dziecko.

–Dopiero po tym, jak ci stanął na widok aktorki. A czy nie było to nic innego jak szczerą prawdą? Och, ty krętaczu!

Fafhrd cofnął się o krok i skrzyżował ramiona na piersi.

–Żona moja – oświadczył – musi być wobec mnie szczerą, musi mi wierzyć, musi pytać mnie, zanim coś zrobi, musi postępować tak, jak przystoi małżonce przyszłego wielkiego chana. Mam wrażenie, że tego wszystkiego ci nie staje.

–Szczerą wobec ciebie? Gadać to ty umiesz! – Jej piękna twarz poczerwieniała nieprzyjemnie i wykrzywiła się ze złości. – Wielki chan! Lepiej byś zadbał o to, aby w Śnieżnym Klanie nazwano cię mężczyzną, czego nikt jeszcze nie uczynił. Posłuchaj mnie teraz, krętaczu i obłudniku. Natychmiast poprosisz mnie na kolanach o przebaczenie, a potem pójdziesz ze mną i poprosisz moją matkę i ciotki o moją rękę, bo inaczej...

–Prędzej padnę na kolana przed żmiją! Albo ożenię się z niedźwiedzicą! – wykrzyknął Fafhrd, którego odeszły wszelkie myśli o taktyce.

–Napuszczę na ciebie braci – odkrzyknęła. – Tchórzliwy pastuchu!

Fafhrd wzniosł i opuścił pięść, złapał się oburącz za głowę i zakołysał nią w geście obłąkanej rozpacz, po czym nagle wyminąwszy Marę, popędził jak wariat w kierunku obozu.

–Napuszczę na ciebie całe plemię! Powiem wszystko w Namiocie Niewiast. Powiem twojej matce... – wrzeszczała za nim Mara, ale w konarach, śniegu i odległości dzielących ich coraz bardziej, głos jej cichł szybko.

Ledwo przystając dla stwierdzenia, że wśród namiotów nie widać nikogo ze Śnieżnego Klanu, czy to dlatego, że jeszcze przebywali wszyscy na jarmarku, czy pod namiotami zajęci przygotowaniami do kolacji, Fafhrd wskoczył na swoje drzewo skarbów i szarpnięciem otworzył drzwi skrytki. Klnąc złamany przy tej czynności paznokieć, wydobyl łuk ze strzałami i race owinięte w foczą skórę, dołożył do tego parę swoich najlepszych nart i kijki, nieco krótszy pakunek kryjący drugi pod względem jakości miecz ojca i sakiewkę pomniejszych drobiazgów. Opadłszy na śnieg, szybko związał dłuższe przedmioty w jeden toból, który przewiesił sobie przez ramię.

Po krótkiej chwili wahania wpadł do namiotu Mor, po drodze wyszarpując z sakiewki maleńki pumeksowy żarnik, napełnił go czerwonym żarem z paleniska, sypnął na wierzch popiołu, zamknął żarnik, mocno zasznurował i odłożył do sakiewki. Następnie w szalonym pośpiechu zawrócił do wyjścia i stanął jak wryty. Wyjście zagradzała Mor – wysoka, obrysowana bielą postać z twarzą w cieniu.

–Zatem porzucasz mnie i Pustkowie. Bezpowrotnie. Tak ci się wydaje.

Fafhrdowi odjęło mowę.

–Jeszcze tu powrócisz. Gdybyś wolał wracać pełzając na czworakach albo szczęśliwie na dwóch nogach, a nie bez życia, na noszach z włóczni, to co rychlej pomyśl o swoich obowiązkach i rodzinie.

Fafhrd miał ciętą odpowiedź na końcu języka, ale własne słowa uwięzły mu jak knebel w ustach. Sztywno zbliżył się do Mor.

–Zejdź z drogi, matko – zdołał szepnąć.

Ani drgnęła. Pod wpływem napięcia zacisnął szczęki w okropnym grymasie, wyciągnął ręce, schwycił ją pod pachy, czując mrowienie na ciele, i odstawił matkę na bok. Miał wrażenie, że jest tak twarda i zimna jak lód. Nie opierała się. Jednak nie śmiała spojrzeć w jej twarz.

Na dworze szparko ruszył w stronę Bożychramu, lecz zastąpiono mu drogę – z naprzeciwka szli czterej niedźwiedziowaci blondyni, oskrzydleni przez jeszcze kilkunastu mężczyzn. Mara sprowadziła z targu nie tylko swoich braci, ale i wszystkich krewniaków, jacy byli pod ręką. Wyglądało jednak na to, że teraz żałuje swego postępu, bowiem czepiała się łokcia najstarszego brata i sądząc po minie i ruchach warg, gorączkowo go od czegoś odwozila. Jej najstarszy brat maszerował przed siebie jakby siostry w ogóle przy nim nie było. Na widok Fafhrda wydał

radosny okrzyk, wyrwał się Marze i pomknął jak wiatr, pociągając za sobą resztę bandy. Każdy wymachiwał pałką lub mieczem w pochwie.

Mary rozziewając „Uciekaj, ukochany!” Fafhrd uprzedził o co najmniej dwa uderzenia serca. Zrobił w tył zwrot i już wyrwał do lasu, że aż długi i sztywny toból bębnił mu po krzyżu. Tak wpadł na swój niedawny trop wychodzący spomiędzy drzew i nie zwalniając sadził uważnie po własnych śladach. Za sobą usłyszał okrzyki:

–Tchórz!

Przyśpieszył jeszcze bardziej. Kawalek w głębi lasu dotarł do obnażonych wychodni granitu, raptownie skręcił w prawo i skacząc z nagiego kamienia na kamień, nie zostawiając najlżejszego śladu stopy, dobiegł pod niską granitową ścianę, zaledwie dwoma podciągnięciami na rękach osiągnął szczyt i skoczył za skalną krawędź, gdzie był niewidoczny z dołu. Usłyszał ścigających między drzewami, ich przekleństwa, gdy zderzali się przy okrążaniu pni, i zaraz władczy głos, który nakazywał ciszę.

Wysokim łukiem Fafhrd rzucił trzy kamienie mierząc dokładnie, żeby spadły na jego fałszywym tropie, spory kawałek przed człowieczymi ogarami Mary. Szelest potraconych gałęzi i głuche odgłosy upadku kamieni wznieciły wrzaski „Tam jest” i drugi nakaz ciszy. Fafhrd dźwignął większy głaz i oburącz cisnął nim w gruby pień sosny po swojej stronie tropu, aż zatrzęsło drzewem i sypnęło z gałęzi lawiną śniegu i lodu. Rozległy się zduszone okrzyki zaskoczenia, zamętu i wściekłości przysypanych po pierś mężczyzn. Fafhrd wyszczerzył zęby w uśmiechu, lecz szybko twarz mu spoważniała i już z czujnym błyskiem w oczach puścił się susami przez ciemniejący w zmierzchu las.

Tym razem nie wyczuwał jednak nieprzyjaznych mocy, a żywi i nieżywi, z kamienia czy z ducha, powstrzymali się od napaści. Być może Mor zaprzestała umacniania swych zaklęć, oczekując, że krewniacy Mary dadzą mu dostatecznie w kość. A może to Fafhrd przestał myśleć, cały oddając się bezgłósnemu pośpiechowi. Przed nim była Vlana i cywilizacja. Za nim barbarzyństwo i matka, o której usiłował zapomnieć.

Noc zapadała, kiedy Fafhrd wychynął z lasu. Zatoczył wśród drzew jak najpełniejsze koło, wychodząc przy zjeździe w Kanion Trollich Schodów. Rzemień długiego tobołka wpijał mu się w ramię.

Jasno, gwarno i wesoło było wśród namiotów kupieckich. Bożychram i namioty aktorów tonęły w mroku. Bliżej majaczył ciemny masyw namiotu stajni.

Fafhrd bezszelestnie przekroczył oblodzony, zryty koleinami żwir Nowego Gościńca wiodącego w głąb kanionu, na południe. Wtem spostrzegł, że stajenny namiot nie jest pogrążony w zupełnej ciemności. Wędrowała po nim widmowa luna.

Ostrożnie skradając się pod wejście, dojrzał sylwetkę Hora, który zaglądał do

środką. Ciągłe jak duch ciszy zaszedł Hora z tyłu i spojrzał ponad jego ramieniem.

Veliks zaprzęgał z Vlaną parę swoich koni do sań Essedineksa, lżejszych o trzy race skradzione przez Fafhrda. Hor zadał głowę i podniósł dłoń do ust, by wydać jakiś dźwięk naśladujący krzyk sowy lub wilka. Fafhrd w mgnieniu oka dobył noża i już, już miał poderżnąć mu gardło, lecz zmieniwszy nagle i zamiar, i położenie noża, ogłuszył Hora, uderzając gałką rękojeści w jego skroń. Hor padł, a Fafhrd odciągnął go z przejścia na bok.

Vlana z Veliksem wskoczyli do sań, Veliks trzepnął konie lejcamy i ze zgrzytem płóz i kopyt wypadli na dwór. Fafhrd z całej siły ścisnął swój nóż... po czym wsuwając go do pochwy odstąpił i zniknął wśród cieni. Sanie poszusowały Nowym Gościńcem w dół. Fafhrd odprowadzał je wzrokiem, stojąc wyprostowany jak struna, z rękami wyprostowanymi po bokach jak ręce nieboszczyka ułożone do trumny, tylko palce i kciuki zwinęły mu się w najciaśniejsze pięści. Nagle zawrócił pędem w stronę Bożychramu.

Za stajni doleciało pohukiwanie sowy. Fafhrd wyhamował poślizgiem na śniegu i obrócił się do tyłu, nie rozwierając pięści. Dwie sylwetki – jedna piastując płomień – wybiegły z ciemności nad Kanion Trollich Schodów. Wyższą był niewątpliwie Hringorl. Obie przystanęły na krawędzi. Hringorl zatoczył wielki ognisty krąg pochodnią. Jej blask padł na twarz stojącego przy nim Harraksa. Jeden krąg, drugi, trzeci – jakby znak dla kogoś daleko na południu, na dnie kanionu. Po czym pognali w kierunku stajni.

Fafhrd puścił się biegiem w stronę Bożychramu. Za plecami usłyszał chrapliwy okrzyk. Ponownie zatrzymał się i obejrzał. Ze stajni wyskoczył galopem ogromny koń. Dosiadał go Hringorl. Na linie ciągnął narciarza – Harraksa. Tandem runął Nowym Gościńcem, wzbijając kurzawę śniegu.

Fafhrd minął Bożychram i wbiegł na ćwierć wysokości stoku pnącego się do Namiotu Niewiast. Zrzucił swój tobół, rozpakował, wyciągnął ze środka narty, przypiął je do nóg. Odwinięty miecz ojca przypasał u lewego boku, a sakiewkę u prawego, dla równowagi. Wreszcie stanął twarzą do Kanionu Trollich Schodów, w którym przepadł Stary Gościniec. Podniósł parę kijków, pochylił się i wbił je w śnieg. Twarz miał jak trupią czaszkę, maskę hazardzisty rzucającego kości w grze ze Śmiercią.

W owej chwili, gdzieś za Bożychramem, od strony, z której przybył, zatrzaskała złota iskierka. Fafhrd wpatrzył się w ognik, nie wiedząc czemu odliczając uderzenia serca. Dziewięć... dziesięć... jedenaście... – i ogromny snop ognia. Wzleciała raca otwierająca wieczorne Występy. Dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... – zniknął snop ognia, a na niebie rozprysło się dziewięć białych gwiazd.

Fafhrd odrzucił kije, podniósł jedną z trzech wykradzionych rac i jak najdelikatniej wyciągnął z ogona calutki zapalnik, rozrywając jedynie dziegciowe spoiwo jego obsady. Lekko ścisnąwszy smukły, na palec długi cylinder smołowy w zębach, wyjął żarnik z sakiewki. Pumeksowe ścianki ledwo były ciepłe. Odsznurował pokrywkę i odgarnął popiół, aż ukazał się – i ukłuł go – czerwony żar. Wyjął spomiędzy zębów zapalnik, przytknął jednym końcem do czerwonego żaru, drugim oparł o brzeg naczynia. Zatrzeszczała iskierka. Siedem... osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście... – trzaskająca iskra plunęła strumieniem ognia i po chwili zgasła.

Odstawił żarnik na śnieg, podniósł dwie pozostałe race, wetknął opasłe korpusy pod pachy i zaparł się żerdziami stateczników w śnieg, próbując ich wytrzymałości. Żerdzie istotnie były sztywne i mocne jak narciarskie kije.

Ułożył race na ramieniu, zapalnik przy zapalniku, drugą ręką podniósł ku nim żarnik i z całej siły dmuchnął w ogniste oko na dnie naczynia.

Z mroku wybiegła Mara wołając:

–Kochany, tak się cieszę, że nie złapali cię moi krewniacy!

W łunie żarnika zajaśniała jej piękna buzia. Wlepił w nią spojrzenie skroś tej łuny.

–Opuszczam Zimny Zakątek – rzekł. – Opuszczam Śnieżne Plemię. Opuszczam ciebie.

–Nie możesz – odparła Mara. Wyciągnęła do niego ręce.

Odstawił żarnik i race. Zdjął z przegubów srebrne bransolety i położył je na wyciągniętych dłoniach dziewczyny. Mara zacisnęła palce; szlochała.

–Nie proszę o nie. O nic nie proszę. Jesteś ojcem mojego dziecka. Mój jesteś!

Zdarł z szyi i zawiesił na jej nadgarstkach masywny srebrny łańcuch.

–Tak! Twój jestem, a ty moja na zawsze. Twój syn jest moim synem. Nigdy nie będę miał innej żony w Śnieżnym Klanie. Jesteśmy sobie poślubieni.

Tymczasem podniósł obie race i przystawił je zapalnikami do żarnika. Iskry zatrzeszczały równocześnie. Odłożył race, zasznurował ciasno żarnik i wepchnął go do sakiewki. Trzy... cztery...

Mor wyrzała znad ramienia Mary.

–Jestem świadkiem twoich słów – rzekła. – Stój, mój synu!

Porwał race, każdą za sypiący iskrami korpus, wbił je statecznikami w śnieg i potężnie się odepchnąwszy, ruszył w dół stoku. Sześć... siedem...

Mara krzyknęła:

–Fafhrd! Mężu!

Wtórował jej okrzyk Mor:

–Nie jesteś moim synem!

Ponownie odepchnął się iskrzącymi z sykiem racami. Zimny pęd powietrza uderzył go w twarz. Prawie tego nie poczuł. Skąpany w księżycowym blasku próg rozbiegu wylaniał się tuż przed nim. Wyczuł jego zadartą krzywiznę. Dalej ciemność. Osiem... dziewięć... Zapamiętałe przyciskając race łokciami do boków, szybował przez ciemność. Jedenaście... dwanaście...

Race nie odpaliły. Światło księżycy ukazało przeciwległą ścianę kanionu, pędzącą na spotkanie. Nosy nart celowały w punkt tuż pod jej krawędzią, a punkt ów obniżał się nieustannie. Zadarłszy dzioby rac, Fafhrd ścisnął je jeszcze zajadlej.

Odpaliły. Było to tak, jakby wisiał uczepiony dwóch ogromnych ramion, które windowały go w górę. Przygrzało mu łokcie i żebra. W nagłej jasności skalna ściana ukazała się blisko, ale już poniżej. Szesnaście... siedemnaście...

Gładko wylądował na dziewiczej śnieżnej pokrywie Starego Gościńca, odrzucając race na obie strony. Nastąpił bliźniaczy grzmot i białe gwiazdy rozprysły się wszędzie dokoła. Jedna razila i przypiekła, a potem konając poddawała katuszom policzek Fafhrda. Miał czas na jedną wielką, radosną myśl: odchodzę w blasku chwały...

Wnet nie miał w ogóle ani chwili na żadne większe myśli, gdyż całą uwagę poświęcił szusowaniu pomiędzy turniami po prawej ręce, a przepaścią po lewej, w dół stromego spadu Starym Gościńcem, który wił się to rozjaśniony w poświacie księżycy, to jak smoła czarny za zakrętem. Fafhrd, pochylony prowadził narty dociśnięte do siebie krawędziami, kierując balansowaniem bioder. Zdrętwiała mu twarz i dłonie. Świat realny skurczył się do Starego Gościńca i pędził na niego jak szalony. Drobne wyboje urosły w ogromne progi. Zwężyły się obrzeża bieli. Podpełzły pobocza zdradliwej czerni. Głęboko, głęboko na dnie duszy kielkowały mimo to myśli. Nie mógł ich wyplewić, mimo wysiłków, aby skupić się tylko na jeździe.

Ty idioto, trzeba ci było z racami chwycić parę kijów. Ale jak byś je utrzymał, odrzucając na bok race? W tobole na plecach? – to teraz miałbyś z nich tyle pożytku, co nic. Czy żarnik w sakwie przyda się bardziej niż kije? Trzeba było zostać z Marą. Już nigdy nie zobaczysz tak pięknej dziewczyny. Ale pragniesz Vlany. Czy aby na pewno? A co z Veliksem? Za zimne i za dobre masz serce, inaczej zabiłbyś

Veliksa w stajni, miał pędzić ku... Czy naprawdę zamierzałeś się zabić? Co zamierzasz teraz? A czary Mor, czy są w stanie prześcignąć twoje narty? Czy race w rzeczywistości były ramionami Nalgrona sięgającymi z Piekła? Co to takiego przed tobą?

„To” było granią górskiej odnogi. Położył się z nartami w prawo na kurczącym się z lewa progu bieli. Grani starczyło. Po drugiej stronie coraz szerszego kanionu dostrzegł maleńką wstążkę płomienia. Pochodnia Hringorla, który konno galopował Nowym Gościńcem, ciągnąc Harraksa? Znowu położył się w prawo, gdyż Stary Gościniec nadal skręcał w tę stronę coraz ostrzej. Niebo zatańczyło. Życie przyzywało, aby położył się jeszcze bardziej i wyhamował. Lecz Śmierć wciąż była równorzędnym graczem w tej grze.

W przodzie leżały rozstaje, gdzie Stary Gościniec spotykał się z Nowym. Fafhrd musi tam dotrzeć równocześnie z saniami Vlany i Veliksa. Sedno tkwiło w szybkości. Dlaczego? Tego nie wiedział.

Nowe zakręty w przodzie. Spadek zmniejszał się stopniowo, nieskończenie powoli. Obładowane śniegiem wierzchołki drzew wychynęły ze złowrogich czeluści, najpierw z lewej strony, po chwili wystrzeliły po obu stronach. Fafhrd sunął w niskim czarnym tunelu. Jego zjazd stał się bezgłośny jak przejście ducha. Siła rozpędu doniosła go do wylotu tunelu i tam zostawiła. Zdrętwiałymi palcami sięgnął do policzka, muskając opuchlinę zrodzonego z gwiazdy pęcherza. W jej wnętrzu bardzo cichutko zatrzeszczały igielki lodu. Był to jedyny dźwięk poza delikatnym dzwonieniem kryształów rosnących dokoła w nieruchomym, wilgotnym powietrzu.

W dole pięć kroków przed nim na stromym stoku tkwiła przywalona śniegiem, rozłożysta róża wiatrów. Za nią przycupnęła Hrey, pierwszy zauszniak Hringorla – nie można było pomylić jego spiczastej brody, choć z rudej zrobiła się szara w księżycowej poświacie. W lewej ręce trzymał łuk z nałożoną cięciwą.

Za nim, dwa tuziny kroków w dół zbocza, było rozwidlenie Nowego Gościńca ze Starym. Dwa krzaki róży wiatrów, wyższe od człowieka, tarasowały leśny tunel biegnący dalej na południe. Pod zawadą stały sanie Veliksa i Vlany i dwa konie jak wielkie zjawy nie z tego świata. Blask księżyca srebrzył końskie grzywy i krzaki. Vlana siedziała w saniach zgarbiona, jakby ciążył jej futrzany kaptur na głowie. Veliks wysiadł i szarpał się z różami na drodze.

Świetlista smuga pochodni nadleciała jak błyskawica Nowym Gościńcem od Zimnego Zakątka. Veliks porzucił swą robotę, dobywając miecza. Vlana obejrzała się przez ramię.

Hringorl wgalopował na rozstaje z radosnym okrzykiem triumfu i cisnąwszy pochodnię wysoko nad głowę, ściągnął cugle, osadzając wierzchowca za saniami.

Holowany przez niego narciarz – Harraks – wyprysnął obok sań w górę do połowy zbocza. Tam wyhamował do końca i pochylił się nad nartami, odpinając wiązania. Pochodnia spadła i zgasła z sykiem.

Hringorl zeskoczył z konia, ściskając bojowy topór w prawicy. Veliks ruszył na niego biegiem. W lot pojął, że musi rozprawić się z olbrzymim piratem, zanim Harraks odepnie narty, inaczej przyjdzie mu walczyć z obydwoma naraz. W świetle księżyca twarz Vlany wyglądała jak maleńka biała maska, gdy dziewczyna na wpół wstając w saniach, patrzyła za Veliksem. Zsunięty z głowy kaptur opadł jej na plecy.

Fafhrd mógł pospieszyć Veliksowi na pomoc, ale wciąż stał bez ruchu, nawet nie odwiązując nart. Z rozpaczą – bo chyba nie była to ulga? – przypomniał sobie pozostawiony łuk i strzały. W duchu powtarzał, że powinien przyjść Veliksowi z odsieczą. Czyż cały ten ryzykowny, karkołomny zjazd do rozdroża nie był właśnie po to, aby ocalić Ryzykanta i Vlanę, a przynajmniej ostrzec ich przed zasadzką, której spodziewał się od chwili, gdy zobaczył, jak Hringorl wymachuje pochodnią na skraju przepaści? I czyż Veliks w tej swojej próbie męstwa jeszcze bardziej nie przypominał teraz Nalgrona? U boku Fafhrda wciąż jednak stało widmo Śmierci, paraliżując wszelkie działanie.

Poza tym Fafhrd wyczuwał, że wszelkie działanie byłoby w tym miejscu daremne, gdyż czar legł na całym rozstaju. Jak gdyby wielki pająk w białym futrze już zasnuł swą siecią ten kawałek przestrzeni świata i wypisał na opakowaniu: „To miejsce należy do Białego Pajaka Śmierci.” I nie miało żadnego znaczenia, że ów wielki pająk prządl kryształy miast nitek – skutek był ten sam.

Z potężnym zamachem Hringorl ciął Veliksa toporem. Ryzykant uchylił się i pchnął go mieczem w przedramię. Hringorl ryknął wściekle, przerzucił topór do lewej ręki i z błyskawicznym wypadem ponowił uderzenie. Zaskoczony Veliks ledwie zrejterował przed świszczącym, migotliwym półksiężycem stali. W mgnieniu oka wrócił do postawy, podczas gdy Hringorl następował ostrożniej, z żeleźcem topora uniesionym i nieco wysuniętym w przód, gotów do zadawania niesygnalizowanych zamachem, bezpośrednich cięć z łokcia.

Vlana stanęła w saniach. W jej dłoni błysnął sztylet. Złożywszy się jak gdyby do rzutu, zastygła w rozterce.

Zza krzaka podniósł się Hrey ze strzałą nałożoną na cięciwę. Fafhrd mógł go zabić, jeśli nie inaczej, to ciskając swoim mieczem jak włócznią. Jednak paraliżowało go wciąż neodparte wrażenie, że przebywa w ogromnej macicznej pułapce Białego Pajaka Lodu i że Śmierć wciąż stoi u jego boku. A w dodatku, co on właściwie za uczucie żywił do Veliksa, a nawet do Nalgrona?

Brzęknęła cięciwa. Veliks zastygł w trakcie swej parady. Grot trafił go w plecy przy

kręgosłupie i wyszedł z piersi tuż pod mostkiem. Uderzeniem topora Hringorl wytrącił miecz z dłoni padającego w agonii przeciwnika. Raz jeszcze zaśmiał się po swojemu, chrapliwie i donośnie. I zawrócił do sań.

Vlana krzyknęła.

Zanim w pełni zdał sobie z tego sprawę, Fafhrd bezgłośnie wyciągnął miecz z dobrze naoliwionej pochwy i odepchnąwszy się nim jak kijem ruszył po białym zboczach w dół. Narty pośpiewywały na skorupie śniegu bardzo cichutko, za to bardzo wysokim tonem. Śmierć już nie stała przy nim. Śmierć wstąpiła w niego. To stopy Śmierci były dowiązane do nart. To Śmierć w matni Białego Pajaka czuła się jak w domu.

Hrey obrócił się akurat w stosownej chwili, aby ostrze miecza otworzyło mu z boku szyję długim krojącym cięciem, które rozplątało przelyk z żyłą szyjną pospołu. Głównia wyszła bez mała, zanim została zboczona bluźnięciem krwi, czarnej w księżycowej poświacie, a na pewno zanim Hrey podniósł olbrzymie dłonie w daremnej próbie zatrzymania wielkiej dławiącej strugi. Wszystko dokonało się z niezmierną łatwością. To narty – mówił sobie Fafhrd – zadały cięcie, nie ja. Narty, które żyły własnym życiem, życiem Śmierci, i które niosły go w najostateczniejszą z podróży.

Harraks również – niczym bezwolna marionetka w rękach bogów – skończył odwiązywanie nart, wyprostował się i odwrócił w sam raz na wyprowadzony z przysiadu w górę sztych, który wszedł mu w trzewia nie inaczej niż jego strzała w Veliksa, tyle że z przeciwnej strony. Miecz zgrzytnął o kręgosłup, ale wyszedł bez oporu. Prawie bez straty szybkości Fafhrd szusował już w dół zbocza. Harraks wytrzeszczał za nim szeroko otwarte oczy. Usta brutalnego osiłka również były szeroko otwarte, ale nie wydały żadnego dźwięku. Zapewne sztych rozkroił mu płuco wraz z sercem, a przynajmniej z główną tętnicą.

I teraz miecz Fafhrda mierzył prosto w plecy Hringorla, sposobiącego się do wejścia na sanie, narty zaś popędzały krwawe ostrze coraz szybciej i szybciej. Vlana ponad ramieniem Hringorla wlepiła wzrok w Fafhrda, jakby oglądała nadejście Śmierci we własnej osobie, i krzyknęła. Hringorl obrócił się, w mig wznosząc topór do zasłony. Szerokie oblicze Hringorla wyrażało ospałą czujność kogoś, kto niejedną raz zaglądał Śmierci w oczy i nigdy nie bywa zaskoczony niespodziewaną wizytą Żeńca Życia.

Fafhrd hamował i skręcał, tracąc pęd i wymijając sanie od tyłu. I przez cały czas sięgał mieczem, nie dosięgając Hringorla. Sam uniknął ciosu jego topora.

Wtem tuż przed sobą ujrzał rozciągnięte zwłoki Veliksa. Skręcił pod kątem prostym i zahamował w miejscu, podpierając się nawet mieczem i krzesając nim skry na ukrytych pod śniegiem kamieniach, byle tylko nie wywinąć kozła przez trupa.

Gwałtownym szarpnięciem okręcił się, na ile pozwoliły mu przypięte narty, i na tyle szybko, że zobaczył jak Hringorl wylatuje z tumanu wyrzuconego nartami śniegu i bierze potężny zamach toporem, mierząc w szyję przeciwnika. Fafhrd sparował uderzenie mieczem. Gdyby przyjął topór prostopadle na głownię, zapewne by się rozpadła, lecz zasłona była pod odpowiednio dobranym kątem i żeleźce zgrzytnąwszy na zastawie, jedynie świsnęło mu nad głową. Rozpędzony Hringorl przedrałował dalej.

Fafhrd szarpnął się i okręcił ponownie, klnąc narty przygważdżające mu teraz stopy do ziemi. Jego spóźniona odpowiedź nie doszła Hringorla. Tęższy mężczyzna zawrócił i w pędzie sposobił się do uderzenia toporem po raz drugi.

Tego ciosu Fafhrd nie mógł uniknąć inaczej, jak tylko padając na wznak.

Nad nim zamigotały dwie błyskawice lśniącej w promieniach księżyca stali. Z pomocą miecza poderwał się gotów do kolejnego natarcia lub uniku przed następnym ciosem, jeśli zdąży.

Topór leżał w śniegu, a wielki mężczyzna darł paznokciami własną twarz. Z wypadem, a właściwie niezdarnym wy krokiem na nartie – nie miejsce to na styl! – Fafhrd przeszył serce Hringorlowi. Ten przegiął się do tyłu, opuszczając ręce. W jego prawym oczodole tkwiła czarna rękojeść sztyletu ze srebrną głowicą. Fafhrd wyrwał miecz. Hringorl gruchnął z potężnym, głuchym łąpnięciem w pryskający spod niego dokoła śnieżny puch, rzucił się dwa razy i znieruchomiał.

Nie opuszczając miecza, Fafhrd strzygł oczyma na wszystkie strony. Przygotowany był na jakiś następny atak, w ogóle jakikolwiek i czyjkolwiek. Lecz ani jedno z pięciu ciał nie drgnęło – dwa u jego stóp, dwa rozrzucone na stoku, ani ciało Vlany wyprostowanej w saniach. Z pewnym zdziwieniem uprzytomnił sobie, że głośne sapanie to jego własny oddech. Poza tym dźwiękiem słyszał jedynie nikłe, cienkie dzwonienie, które na razie ignorował. Nawet oba konie Veliksa zaprzęgnięte do sań i wielki wierzchowiec Hringorla, stojący kawałek dalej na Starym Gościńcu, też dziwnie zamarły.

Stanął oparty plecami o sanie, z lewą ręką na lodowatym brezencie, okrywającym race i resztę bagaży. W prawej dłoni nadal trzymał miecz, już trochę niedbale, lecz w pogotowiu. Jeszcze raz dokonał przeglądu ciał, kończąc na ciele Vlany. Nadal żadne z nich nie drgnęło. Każde z pierwszych czterech spoczywało we własnej plamie poczerńiałego od krwi śniegu, rozległej wokół Hreya, Harraksa i Hringorla, maleńkiej wokół ubitego strzałą Veliksa. Utkwił spojrzenie w okolonych bladością, szeroko rozwartych oczach Vlany.

–Winieniem ci podziękowanie za zabicie Hringorla – odezwał się, uspokoiwszy oddech. – Zapewne. Wątpię, żebym go pokonał – on na nogach, ja na plecach. Ale

czy twój nóż był wymierzony w Hringorla, czy w moje plecy? I czy nie uszedłem śmierci po prostu padając, a przelatujący nade mną nóż powalił innego człowieka?

Nic nie odrzekła, ani słowa. Tylko jej dłonie uniosły się i przypadły do warg i policzków. W dalszym ciągu gapiała się na Fafhrda, teraz przez palce.

–Przedłożyłaś Veliksa nade mnie – podjął jeszcze bardziej zdawkowym tonem – po danej mi obietnicy. Dlaczego zatem nie Hringorla nad Veliksa – i nade mnie – skoro wszystko wskazywało, że Hringorl zwycięży? Dlaczego nie pomogłaś tym swoim nożem Veliksowi, gdy tak mężnie starł się z Hringorlem? Dlaczego krzyknęłaś na mój widok, niwecząc szansę zabicia Hringorla bez hałasu, jednym pchnięciem?

Każde pytanie akcentował, leniwie bodąc mieczem w jej kierunku. Oddychał już swobodnie, zmęczenie uchodziło z jego ciała, za to czarna rozpacz wypełniała mu duszę. Vlana powolutku odjęła dłonie od ust i dwukrotnie przełknęła ślinę. Po chwili przemówiła ochryplym głosem, cicho, lecz wyraźnie:

–Kobieta zawsze musi zostawić sobie wszystkie furtki, chyba to rozumiesz? Tylko wtedy, gdy jest gotowa związać się z każdym mężczyzną i porzucić jednego dla drugiego z obrotem koła fortuny, tylko wtedy może myśleć o wyzwoleniu się spod ogromnej męskiej przewagi. Przedłożyłam Veliksa nad ciebie, ponieważ on miał większe doświadczenie, i ponieważ – możesz mi wierzyć albo nie, jak sobie chcesz – sądziłam, że mój wspólnik ma niewielkie szansę na długie życie, a pragnęłam, abys ty żył. Nie pomogłam Veliksowi pod barykadą na drodze, bo sądziłam wtedy, że oboje jesteśmy zgubieni. Zastraszyla mnie ta barykada, a z nią świadomość, że wokoło muszą siedzieć ludzie w zasadzce, chociaż Veliks chyba w to nie wierzył albo się nie przejmował. A krzyknęłam na twój widok, bo cię nie poznałam. Myślałam, że to jest Śmierć we własnej osobie.

–Cóż, zdaje się, że to była Śmierć w mojej osobie – zauważył łagodnie Fafhrd, po raz trzeci spoglądając na rozrzucone dokoła zwłoki.

Odwiązał narty. Chwilę przytupywał, po czym uklęknął przy Hringorlu, wyszarpnął sztylet z jego oka i wytarł ostrze w futro trupa.

–A ja – ciągnęła Vlana – boję się śmierci nawet bardziej, niż nienawidziłam Hringorla. Tak, poleciałabym za Hringorlem jak na skrzydłach, byle uciec od śmierci.

–Tym razem Hringorl uciekał w złą stronę – nadmienił Fafhrd, balansując sztylet na dłoni. Był doskonale wyważony do pchnięcia i rzutu.

Vlana mówiła:

–Teraz oczywiście jestem twoja, z radością i ochotą – znowu wierz w to lub nie. Jeśli mnie zechcesz. Pewnie ciągle uważasz, że próbowałam cię zabić.

Fafhrd obrócił się i rzucił jej sztylet.

–Łap – rzekł.

Złapała.

–Nie – zaśmiał się – aktorka i złodziejka ma wszelkie dane, by osiągnąć biegłość w rzucaniu nożem. Ja zresztą wątpię, żeby Hringorl dostał przez oko w mózg za sprawą przypadku. Czy nadal marzy ci się zemsta na Gildii Złodziejskiej?

–Marzy – odparła.

–Kobiety są straszne – rzekł Fafhrd. – To znaczy, tak samo straszne jak mężczyźni. Och, czy na tym świecie jest ktokolwiek, w czyich – jej czy jego – żyłach płynie coś innego niż lodowata woda?

I znowu się zaśmiał, już głośniejszym głosem, jakby wiedząc, że nie ma odpowiedzi na takie pytania. Otarł w futro Hringorla i wsunął do pochwy miecz, nie patrząc na Vlanę przeszedł obok niej i obok zamarych koni prosto do róz wiatrów i zaczął odrzucać ich resztki z drogi. Były przymarznięte do siebie, więc musiał wykręcać i wrywać kłęby ze sterty, przypominając sobie, że Veliksa kosztowało to mniej wysiłku.

Vlana nie patrzyła na niego, nawet gdy mijał sanie. Spoglądała przed siebie ku stokowi z krętym śladem nart wiodącym do czarnej gardzieli tunelu Starego Gościńca. Szklane spojrzenie dziewczyny nie interesowało się Harraksem ani Hreyem, ani wylotem tunelu. Błądziło wyżej.

Delikatne dzwoneczki nie milkły ani na chwilę. Wtem zachrząściły kryształami, a Fafhrd cisnął na pobocze ostatni oblodzony kłęb wyrwanej róży wiatrów. Obrócił oczy ku drodze na południe. Ku cywilizacji, cokolwiek była jeszcze warta. I tutaj droga przypominała tunel wśród ośnieżonych sosen. I cały był zasnuty pajęczyną kryształów, która zdawała się nie mieć końca – światło księżyca ukazywało nici lodu rozpięte od gałązki do gałązki i od konaru do konaru, w dal za lodową dalą.

Fafhrd wspomniał słowa matki: „...Istnieje zimno magiczne, które potrafi za tobą podążyć jak Nehwon długi i szeroki. A gdziekolwiek lód raz doszedł, tam magia może go znowu posłać. Gorzko teraz twój ojciec żałuje...”

Pomyślał o wielkim białym pająku snującym swój lodowy gościniec w tym pustkowiu. Przed oczyma stanęła mu twarz Mor obok Mary, na urwisku po drugiej stronie wielkiej przepaści. Był ciekawy, co też się teraz zawodzi w Namiocie Niewiast, i czy Mara też zawodzi. Coś mu szeptało, że nie. Usłyszał cichy okrzyk Vlany.

–Kobiety, doprawdy, są straszne. Patrz. Patrz. Patrz!

Odpowiedziało jej donośne rzenie konia Hringorla. Zadudniły kopyta wierzchowca, uciekającego Starym Gościńcem. W chwilę później konie Veliksa z chrapaniem zaczęły stawać dęba. Fafhrd trzepnął bliższego w kark na odlew. A potem jego wzrok przyciągnęła twarz Vlany, drobna, wielkooka i trójkątna jak biała maska, i Fafhrd spojrział tam, gdzie wskazywała.

Ze stoku nad Starym Gościńcem wyrastało pół tuzina mglistych zjaw, wysokich jak drzewa. Były podobne do zakapturzonych kobiet. Ich kształty tężały i krzepły w oczach. Fafhrd kucnął z przerażenia.

Skurczony, przyciskał udem sakiewkę do brzucha. Poczł nikłe ciepło. Skoczył na równe nogi i pędem wrócił na tyły sań. Zdarł z nich brezent. Kolejno powbił pozostałe osiem rac żerdziami w śnieg, wszystkie nosy wymierzywszy w zestalające się lodowe olbrzymki. Po czym sięgnął do sakiewki, wyjął żarnik, odsznurował pokrywkę, wytrząsnął siwe popioły, czerwony żar strząsnął na jedną stronę naczynia i z gorączkowym pośpiechem zapalił od niego lonty rac. Nasłuchując zośmiokrotnionego skwierczenia, wskoczył do sań.

Vlana nawet nie drgnęła, kiedy ją trącił. Za to zadzwoniła. Otulona w przezroczysty płaszcz tkany z lodowych kryształów, musiała stać wyprostowana jak struna. Promienie księżyca załamywały się i płonęły zimnym ogniem w sercach kryształów. Fafhrd miał uczucie, że nie ruszy stąd bez ruszenia księżyca z miejsca.

Ujął lejce. Sparzyły mu palce jak zimne żelazo. Nie mógł ich ściągnąć. Z przodu lodowa pajęczyna obrośla konie. Wchłonęła je – wielkie posągi końskie uwięzione w jeszcze większym kryształ. Jeden koń stał czterema kopytami na ziemi, drugi dęba na zadnich nogach. Lodowa macica zwierła ściany. „Istnieje zimno magiczne, które potrafi za tobą podążyć...”

Zahuczała pierwsza rasa, za nią następne. Popłynęła od nich fala ciepła. Potężne dzwonienie szło od trafionych celów na szczycie stoku. Lejce puściły, spadły na grzbiety koni. Wśród brzęku tłuczonego szkła zaprzęg wyrwał z kopyta. Fafhrd schylił głowę, lejce przełożył do lewej ręki, prawą ściągając Vlanę na siedzenie sań. Jej lodowy płaszcz rozprysnął się przy wtórze opętańczego dzwonienia. Cztery... pięć...

W nieustannym brzęku konie i sanie parły przez lodową pajęczynę. Grad kryształów leciał Fafhrdowi na głowę. Brzęczenie słabło. Siedem... osiem...

Pękły wszelkie lodowe więzy. Dudniły kopyta. Zerwał się potężny wiatr północny, kładąc kres wielodniowej ciszy. Niebo w przedzie delikatnie różowiało od świtu. W tyle było delikatnie krwawe od łuny pożaru sosnowych igieł, podpalonych racami. Fafhrd miał wrażenie, że wiatr północny niesie ryk płomieni. Zawołał:

–Gnamph Nar, Mlurg Nar, wspaniałe Kvarch Nar – ujrzymy wszystkie! Wszystkie miasta Leśnej Krainy. Wszystkie krainy Ośmiu Miast!

Rozgrzana uściskiem jego ramienia dziewczyna drgnęła przy nim, podejmując okrzyk:

–Sarheenmar, Ilthmar, Lankhmar! Wszystkie miasta Południa! Quar mall, Harboriksen! Strzelistodache Tisilini lit! Wstający Łąd!

Oczyrna wyobraźni Fafhrd zobaczył, jak miraże tych wszystkich nieznanymi miejsc i miast wypełniają jaśniejący horyzont. Przygarnął do siebie Vlanę, drugą ręką zacinając lejcami konie.

–Wojażę, miłość, przygoda, świat! – krzyknął.

I tylko nie wiedział czemu, choć jego wyobraźnia stanęła jak kanion za saniami w huczących płomieniach, serce pozostało w nim zimniejsze niż lód.

CZĘŚĆ III

Czarny Graal

Trzy znaki napelniły ucznia czarodzieja złym przecuciem: nasamprzód głęboko odcisnięte ślady żelazem podkutych kopyt, które podszwami butów rozpoznał na leśnej przecince, jeszcze zanim się schylił, aby palcami wymacać je w mroku; dalej niesamowite bzykanie pszczoły wbrew naturze zbierającej miód po nocy, i wreszcie nikły, aromatyczny swąd spalenizny.

Mysz puścił się biegiem, na pamięć i dzięki nietoperzowej wrażliwości na odbite szmery wymijając pnie drzew i przeskakując skłębione korzenie. Szare sztylpy, szara bluza, szary spiczasty kaptur i szara luźna opończa nadawały ascetycznie wychudłemu, drobnemu młodzieńcowi wygląd przemykającego ducha.

Uniesienie wzbierające w Myszy na myśl o szczęśliwym zakończeniu długiej wyprawy i triumfalnym powrocie do takiego mistrza czarów jak Glawas Rho, zniknęło z jego serca, ustąpiwszy miejsca obawie, jaką ledwie śmiał wyrazić w myślach. Krzywda wielkiemu czarodziejowi, którego on sam jest lichym uczniem? „Moja Szara Myszo, ciągle rozdarła wpół drogi między białą magią a czarną”, wyraził się kiedyś Glawas Rho – nie, to było nie do pomyślenia, żeby mistrza tak wielkiej mądrości i tak wielkiej mocy duchowej spotkała krzywda. Tak wielkiego czarodzieja... (Było coś z histerii w tym obstawaniu Myszy przy słowie „wielki”, bowiem dla świata Glawas Rho był sobie trzeciorzędnym magikiem, nie lepszym niż mingolski nekromanta z jego jasnowidzącym kundlem w łąty albo żebrak zaklinacz z Quarmallu)... tak wielkiego czarodzieja pospołu z siedzibą chroniły potężne czary, jakich nie złamałby żaden świętokradczy intruz, nawet (serce Myszy opuściło jedno uderzenie) pan i udzielny władca tych lasów, książę Janarri, nienawidzący wszelkiej magii, a białej bardziej niż czarnej.

Swąd spalenizny jednak przybierał na sile, a niziutka chata Glawasa Rho była zbudowana z żywicznych bali.

Sprzed oczu Myszy zniknął nawet wizerunek dziewczęcej buzi, wiecznie spłoszonej, lecz słodkiej twarzyczki Iwriany, córki księcia Janarri, przychodzącej potajemnie pobierać nauki u Glawasa Rho i na jednej ławie z Myszą sączyć metaforyczne mleko z krynicy białej mądrości. I oboje doszli już do tego, że w cztery oczy mówili sobie Myszo i Myszko, zaś Mysz ruszył w drogę z wyłudzoną od niej skromną zieloną rękawiczką pod bluzą na piersi, niczym zbrojny, zakuty w stal rycerz księżniczki, a nie bezorężne czarodziejątko.

Na porębę u szczytu wzgórza wybiegł ciężko zdyszany, bynajmniej nie z wysiłku. Tu w rodzącej się jasności jednym rzutem oka ogarnął zryty podkownikami ogród

magicznych ziół, wyrócony słomiany ul i chmurę sadzy omiatających wielką bryłę granitu, pod którą przycupnęła chatynka czarodzieja. Lecz nawet bez światła szarówki dojrzałyby skurczone w ogniu bale zrębów, nadjedzone w płomieniu węgary oblazłe przez czerwone robaki żaru oraz upiornie zielonkawy język ognia jeszcze dotrawiający jakąś oporną magiczną maść w pogorzeli. Wyczułby burzę drogocennych woni z wypalonych leków i balsamów oraz obrzydliwie smakowity zapach przypieczonego mięsa. Zadygotał na całym wychudłym ciele. Po czym jak ogar, który chwycił świeży trop, rzucił się naprzód.

Czarodziej leżał tuż za zgliszczami drzwi. I leżał tam w takim samym stanie jak jego domostwo: zręby i węgary ciała obnażone i szerniałe, drogocenne soki i lotne substancje wygotowane i wypalone, uległy zniszczeniu na wieki bądź wyparowały ku niebu, do jakichś zimnych piekieł ponad księżycem. Ze wszystkich stron cichutko dobiegało basowe, żalosne brzęczenie lamentujących pszczoł płaczek bez dachu nad głową.

Gnane grozą wspomnienia przemknęły przez głowę Myszy: te spopielone wargi jeszcze wczoraj recytowały śpiewne zaklęcia, owe zwęglone palce jeszcze wczoraj pokazywały gwiazdy albo pieściły jakieś leśne zwierzątko.

Ze skórzanej sakiewki u pasa Mysz dygocąc wydobyl płytkę nefrytu, na której z jednej strony widniały głęboko ryte, zagadkowe hieroglify, z drugiej podobna olbrzymiej mrówce poczwara w wielosegmentowym pancerzu, jak krocząca wśród pierzchających na boki maluszków ludzików. Po ten zielony kamyk Gławas Rho wyprawił Mysz. Dla tego kamyka Mysz przepłynął tratwą Jeziora Skaarg, przemierzył pogórze Gór Głodowych, uszedł plądrującej bandzie rudowłosych piratów, wystrychnął tępawych kmieciorybaków na dudków, uwodził i zwiódł podstarzałą i podśmiardującą wiedźmę, okradł plemienny tum i wymknął się spuszczonej za nim sforcie. Zdobywając bez rozlewu krwi ten kawałek nefrytu, wstępował na wyższy szczebel uczniowskiego terminu. Teraz wlepił martwy wzrok w antyczne ryty i po chwili, opanowując drżenie, delikatnie złożył amulet w zagłębieniu zwęglonej dłoni swego mistrza. Jeszcze schylony zorientował się, że dotkliwie parzą go stopy i kopcą mu brzegi zelówek, jednak odchodząc nie przyspieszył kroku.

Było już widniej i dostrzegał drobne szczegóły, jak chociażby mrowisko przed progiem. Mistrz studiował czarnozbrojne stworzonka na równi z ich pszczelimi siostrami. Dziś miejsce mrowiska zajął głęboki odcisk wielkiego obcasa z wyraźnym półkolem jamek od ćwieków – mimo to ruch nie zamarł. Z bliskiej odległości Mysz podglądał, jak okaleczony żarem maleńki mrówczy żołnierz przedziera się przez ziarenka piasku. Przypominał poczwarę z nefrytu i Mysz wzruszeniem ramion skwitował prowadzące donikąd skojarzenie.

Wśród pszczelich płaczek przeszedł na drugi skraj poręby, gdzie blada jasność przeświecała spomiędzy drzew, i gdzie niebawem oparty dłonią o sękaty pień stanął

nad stromą pochyłością zbrocza. Lesistą doliną snuł się wąż mlecznobiałych mgieł, znacząc kręty bieg płynącego dołem strumienia. W powietrzu rzedniały dymy ciemności. Horyzont z prawej strony poczerwieniał, zapowiadając wschód słońca. Mysz wiedział, że za tym czerwonym horyzontem jest jeszcze szmat lasu, potem bezkresne pola zbożowe i trzęsawiska Lankhmaru, zaś jeszcze dalej za nimi leży starożytna kolebka świata – miasto Lankhmar, którego nigdy nie widział, a którego suzeren wedle prawa panował nawet nad tą porębą.

Za to tuż, tuż, na czerwieni nieboskłonu rysował się pęk iglic wieńczących wieże warowni księcia Janarrla. Rozbudzona czujność ożywiła zastygłą jak maska twarz Myszy. Rozpamiętywał odcisk podkutego buta, stratowaną darrń, ślady kopyt prowadzące w dół zbrocza. Wszystko wiodło do wrogiego czarodziejom Janarrla jako sprawcy dokonanej tu zbrodni, tylko że pełen ślepej wiary w niezrównany kunszt swego mistrza Mysz wciąż nie pojmował, jakim cudem książę przerwał zaklęty krąg tak silnych czarów, broniący siedziby Gławasa Rho i przez długie lata kołujący najbystrzejszych leśnych ludzi.

Zwiesił głowę... i wzrok jego padł na skromną zieloną rękawiczkę lekko jak owad zawieszoną na mocnych źdźbłach trawy. Podniósłszy ją, wygrzebał spod bluzy drugą, całą w ciemnych plamach i białawych smugach od potu, i obie przyłożył do siebie. Stanowiły parę.

Wargi mu się ściągnęły odsłaniając zęby, a spojrzenie znowu pobiegło ku odpychającej warowni. Po chwili obluzował gruby płat chropawej kory z pnia, o który opierał dłoń i po bark zapuścił ramię w odsłoniętą czarną dziuplę.

W trakcie tych niespiesznych, machinalnych czynności wróciły do Myszy słowa przemowy, jaką do niego skierował Gławas Rho, uśmiechając się znad miski owsianki na wodzie. „Myszo”, rzekł był mag, zaś blask ognia w palenisku płaśał mu po krótkiej siwej brodzie, „gdy tak wlepiasz oczy i rozdymasz nozdrza, zanadto przypominasz mi kota abym wierzył, że kiedykolwiek zostaniesz psim stróżem prawdy. Jesteś wcale sumiennym adeptem, lecz potajemnie przedkładasz miecze nad różdżki. Bardziej jesteś łasy na gorące wargi czarnej magii aniżeli na niewinne smukłe paluszki białej, bez względu na to, do jak ślicznej myszki należą te drugie – nie, nie zaprzeczaj temu! Bardziej kuszą cię zwodnicze manowce ścieżki po lewej ręce aniżeli proste zejście po prawej. Obawiam się, że w końcu nigdy nie będziesz myszą, lecz kocurem. I nigdy białym, tylko szarym... och, cóż – to lepiej niż czarnym. A teraz wymyj te miski i, jako że noc mamy chłodną, idź, pooddychaj z godzinkę wonią świeżej latorośli zimnicy, a nie omieszkać mile pogawędzić z głogiem”.

Słowa ścichły w pamięci, ale wciąż je słyszał, wyciągając z dziupli pozieleniały od nalotu pleśni skórzany pas i przypiętą do niego zbutwiałą pochwę. Ujawszy rękojeść w skórzanym oplocie, dobył z pochwy wąski brązowy rapier, na którym było widać więcej patyny niż metalu. Oczy mu się rozszerzyły, lecz źrenice ich przypominały

główki szpilek, a twarz do złudzenia maskę, gdy na tle czerwonego garbu wschodzącego słońca wzniosł bladozieloną dwusieczną głównię z brązu.

Z drugiego krańca doliny dobiegła ledwie uchwytna, wysoka, czysta, dźwięczna nuta myśliwskiego rogu, wzywająca łowców do pościgu.

Mysz nagle ruszył w dół stoku, na przełaj ku śladom kopyt, stawiając długie pośpieszne kroki na nieco sztywnych nogach, jakby był pijany, w marszu zapinając na brzuchu okryty pleśnią pas z rapierem.

Przez usianą plamami światła leśną polanę przemknął ciemny czworonogi cień, szeroką pierś kładąc poszycie i tratując je wąskimi racicami. Za nim goniły chrapliwe wrzaski ludzi i głos rogu. Na przeciwległym skraju polany odyniec zawrócił. Ślaniał się i ze świstem wypuszczał oddech z nozdrzy. Raptem jego na wpół zamglone ślepa przykuła postać człowieka na koniu. Skręcił w kierunku jeźdźca, a szczecina za sprawą jakiejś gry słonecznego światła i cieni poczerniała mu jeszcze bardziej. Nagle zaszarżował. Lecz nim potworne zakrzywione szable sięgnęły żywego ciała, oszczep z szerokim grotem wygiął się niczym łuk na kłębie odyńca, który odrzucony prawie na wznak, runął z łomotem, zraszając trawy posoką.

Na polanę wypadli odziani w brąz i zieleń łowcy, jedni otaczając powalonego odyńca najeżonymi grotami kołem, inni śpiesząc do człowieka w siodle. Jeździec ze śmiechem cisnął któremuś ze swych ludzi skrwawiony oszczep, od kogoś innego przyjmując oplatana srebrem skórzaną manierkę z winem.

Drugi jeździec wychynął z gęstwiny i złośliwe oczka księcia spochmurniały pod zmierzwionymi brwiami. Chciwie pociągnawszy z manierki, otarł usta rękawem. Łowcy przezornie zacieśniali krąg oszczepów wokół odyńca, który leżał jak martwy z łbem wprawdzie uniesionym na grubość palca od darni, ale bez najmniejszego ruchu, jeśli nie liczyć rozbieganych ślepi i rzygania jaskrawej posoki z łopatki. Właśnie miał go skłuć jeź oszczepów, gdy Janarrl wstrzymał łowców gestem.

–Iwriana! – krzyknął ostro na konnego przybysza. – Dwakroć mogłaś położyć tego bydlaka i dwakroć stchórzyłaś. Twoja przeklęta matka nieboszczka już dawno skroiłaby serce bestii na plasterki i raczyła się nim na surowo.

Córka utkwiała w nim żalosne spojrzenie. Siedziała na koniu okrakiem, w stroju myśliwskim, z mieczem u pasa i oszczepem w dłoni, co tylko podkreślało jeszcze bardziej jej wygląd małej dziewczynki o szczupłej twarzyczce i wiotkich ramionach.

–Ty niedojdo, ty zakochany w czarodziejach mały tchórz – ciągnął Janarrl. – Twoja okropna matka pieszo chadzała na odyńca i jeszcze zanosila się śmiechem, gdy posoka chlusnęła jej w twarz. Słuchaj no, ten odyniec już ledwo zipie. Nic ci nie może zrobić. Dobijesz go teraz oszczepem. Rozkazuję ci!

Zoderwawszy pierścień grotów, łowcy utworzyli szpaler, otwierając dziewczynie dostęp do odyńca. Jawnie sobie z niej dworowali, zachęteni przyzwalającym uśmiechem księcia. Dziewczyna w rozterce ssała dolną wargę, bojaźliwie, lecz i z fascynacją zerkając na dzika, na jego łeb nadal tuż ponad ziemią i ślepie, które w nią wlepił.

–Skłuj zwierza oszczepem! – powtórzył Janarrl, pociągając szybki łyk z manierki. – Zrobisz to albo cię spiorę tu przy wszystkich.

Wówczas piętami spiąwszy konia, ruszyła cwałem przez polanę, nisko pochylona składając się oszczepem. Jednak grot zszedł w ostatniej chwili z celu i przeorał ziemię. Odyniec ani drgnął. Łowcy gruchnęli śmiechem. Janarrl poczerwieniał ze złości na szerokim obliczu i machnąwszy ręką jak batem, chwycił córkę za nadgarstek, ściskając z całej siły.

–Twoja z piekła rodem matka bez mrugnięcia okiem podrzynała ludziom gardła. Jeśli mi natychmiast nie wypatroszysz tego ścierwa oszczepem, to ci tu zaraz tak zagram do tańca jak dzisiejszej nocy, gdy wyśpiewałaś zaklęcia czarodzieja i drogę do jego chaty. – Nachylił się niżej i głos opadł mu do szeptu. – Słuchaj no, dziecisko, zawsze podejrzewałem, że przy całym jej okrucieństwie, twoją matkę – być może pod wpływem rzuconego na nią uroku – też pociągali czarodzieje, jak ciebie... i że ty jesteś pomiotem tego puszczanego z dymem drania zaklinacza.

Oczy jej zrobiły się okrągłe i próbowała wyrwać rękę, lecz przyciągnął ją do siebie.

–Spokojnie, dziecisko, tak czy inaczej wymażę tę plamę z twojej natury. Na początek skłujesz dzika!

Zastygła w bezruchu. Przerazenie zmieniło jej twarz w kredowy odlew. Zamierzył się na nią. Ale w tym momencie zszedł nieprzewidziany wypadek. Na skraj polany, gdzie odyniec zawrócił do przedśmiertnej szarży, wyszedł jakiś człowiek. Był to szczupły młokos odziany w szarość od stóp do głów. Maszerował prosto do Janarrla jak gdyby w narkotycznym oszołomieniu albo w transie. Trzej przyboczni łowcy książęcy dobyli mieczy i pomalutku ruszyli naprzeciw intruza.

Młokos miał twarz zbiełałą i ściągniętą, z kroplami potu na czole pod na pół zsuniętym do tyłu kapturem. Mięśnie żuchwy nabrzmiały mu niczym guzy z kości słoniowej. Mrużył utkwione w księciu oczy, jakby oślepiało je słońce. Szeroko rozchylił wargi, prawie wyszczerzając zęby.

–Morderco Gławasa Rho! Czarodziejóbójco!

Wyrwał swój brązowy rapier z omszałej pochwy. Dwaj łowcy zastąpili mu drogę.

–Uwaga, trucizna! – krzyknął pierwszy, wskazując na zielonkawą głownię z brązu.

Otrzymał straszliwy cios rapierem, ale zadany niby obuchem. Sparował bez trudu, odbity rapier świsnął w powietrzu, a młokos cudem nie padł od własnego zamachu. Aby go rozbroić, łowca z wykrokiem trzepnął błyskawicznym cięciem w zastawę rapiera tuż nad jelcem i walka zanim się rozpoczęła, już się skończyła... niemalże. Bo oto szklistość spojrzenia zniknęła nagle chłopakowi z oczu, rysy jego twarzy zadrgały jak u kota, dłoń odzyskała chwyt na rękojeści, a zielonkawa głownia prowadzona z wypadem i okrężnym ruchem nadgarstka, związawszy żelazo, wydarła zdumionemu łowcy miecz z garści. Po czym młokos rzutem przedłużył pchnięcie, mierząc prościutko w serce drugiego łowcy, który uszedł cało tylko dzięki temu, że padł na wznak w trawę.

–Szczęnię ma kły – mruknął Janarrl, w napięciu pochylając się nad końskim karkiem, ale w tejże chwili trzeci łowca zachodząc od tyłu, walnął chłopaka głowicą rękojeści w kark.

Młodzieniec wypuścił rapier i chwiejnie osuwał się już ku ziemi, gdy pierwszy łowca chwycił go za kołnierz i pchnął na swych kompanów. We własnej krotoczwilnej odmianie poklepywań i przyjacielskich kuksańców wspólnie obili mu głowę i żebra sztyletami w pochwach, a kiedy wreszcie runął na ziemię, przeszli do kopania, pastwiąc się nad nim jak sfera psów.

Janarrl nieruchomo siedział w siodle i obserwował córkę. Nie przeoczył, jak drgnęła, z przerażeniem rozpoznając młodzieńca, gdy wszedł na polanę. Teraz patrzył, jak wyciąga szyję i jak drżą jej wargi. Już dwukrotnie powściągnął język. Jej koń dreptał niespokojnie i rżał cichutko. Wreszcie ze zwieszoną głową opadła na łęk, a zdławione spazmatyczne łkanie wstrząsało piersią dziewczyny. Wówczas Janarrl wydał pomruk zadowolenia.

–Starczy na teraz! Dajcie go tutaj! – zawołał.

Dwaj łowcy wzięli pod pachy i przywlekli na wpół omdlałego młodzieńca w szarym stroju, zbryzganym teraz czerwienią.

–Tchórze – powiedział książe. – Nie umrzesz od tych figli. Zrobili ci maleńką rozgrzewkę przed dalszymi igraszkami. Jednak zapominam, żeś sam figlarz czarodziejasek, zniewieściała ptaszyna, co po nocy gęga zaklęcia człowiekowi za plecami, tchórze, co pieści zwierzęta i chciałby zamienić knieje w zielone gaiki. Tfu! Flaki się we mnie przewracają. A w dodatku zachciało ci się przekabacić moją córkę... Do ciebie mówię, czarodziejaszku!

I wychyliwszy się z siodła, chwycił zwieszoną głowę za włosy, okręcając nimi palce. Chłopak zatoczył nieprzytomnie oczyma i szarpnął się konwulsyjnie, czym zaskoczył łowców i niemal wysadził Janarrla z siodła. W tej samej chwili złowrogo zatrzeszczało podszybie i usłyszeli prędkie tętent racic. Ktoś krzyknął:

–Uważaj, panie! O bogowie, miejcie w opiece księcia!

Ranny odyniec ożył i szarżował na grupkę przy koniu Janarrla. Łowcy co tchu skoczyli po odłożone oszczepy. Bryknięcie spłoszonego konia do reszty pozbawiło księcia równowagi. Dzik przeleciał z łomotem jak umazany krwią demon nocy. Janarrl spadł muomalże na łeb. Dzik zarzucił w ostrym nawrocie, uniknąwszy trzech ciśniętych oszczepów, które głucho stuknęły w ziemię tuż przy nim. Janarrl usiłował wstać, jednak zawisł jedną stopą na strzemieniu i koń obalił go ponownie, uwalniając się od jeźdźca. Odyniec szedł na księcia, ale już inne dudniły kopyta. Inny koń galopem minął Janarrla, a prowadzony pewną dłonią oszczep głęboko wszedł odyńcowi pod łopatkę. Osadzony na zadzie czarny zwierz raz chlasnął drzewce szablami, legł ciężko na boku i znieruchomiał.

Iwriana puściła oszczep. Władająca nim ręka zwisała jej nienaturalnie. Dziewczyna też zwisała w siodle, drugą ręką przytrzymując się kuli.

Janarrl powstał z ziemi, łypnął okiem na córkę i na dzika. Następnie powiódł z wolna spojrzeniem wokół polany, zataczając pełny krąg. Uczeń Gławasa Rho zniknął.

–W świata strony sypię mak. Jar, gdzie grań, a bór, gdzie krzak. Wszystkie ścieżki wiodą wspak. Kamień w wodę, w trawę ślad.

Mysz wymamrotał magiczną formułę opuchniętymi wargami, prawie tak, jakby ją szeptał do ucha ziemi, na której leżał. Palcami ułożonymi w kabalistyczne znaki wygrzebał z maleńkiego kapciucha szczyptę zielonego proszku i cisnął na wiatr, krzywiąc się z bólu przy wymachu nadgarstka.

–Niech psa wiedzie wilczy brat, gdzie nie dojdzie róg, ni bał. Niech koń niczym wolny ptak, jednorożca widzi szlak. W imię Norn, stawiam znak!

Po dopełnieniu zaklęcia leżał nieruchomo, bo wtedy ból był znośniejszy. Słuchał, jak odgłosy pogoni cichną w dali. Spoczywał twarzą w kępie traw. Patrzył, jak mrówka z mozołem włazi na źdźbło trawy, spada na ziemię i znów podejmuje tę swoją wspinaczkę. Przez chwilę czuł bratnią więź z malusieńkim owadem. Wspomniał czarnego odyńca, który swoją niespodziewaną szarżą dał mu okazję do ucieczki i na ową dziwną chwilę Mysz przyjął go do mrówczego braterstwa krwi.

Również na chwilę wrócił myślami do piratów, z których rękiomal nie zginął na zachodzie. Jednak ich brutalność miała w sobie coś ze swawoli, była inna niż wyrachowane, wysmakowane okrucieństwo żołdaków Janarrla. Pomalutku Mysz tonął w wirze gniewu i nienawiści. Widział bogów Gławasa Rho, oblicza dotychczas pogodne, teraz pobladłe i szydercze. Słyszał słowa starych zaklęć, w których dźwięczały nowe treści. Niebawem jak na karuzeli widział już tylko okrutne dłonie i twarze szczerzące zęby w uśmiechu. Gdzieś w tym wszystkim wirowała blada, pełna

winy dziewczęca buzia. Miecze, kije, knuty. W jednym wielkim wirowaniu. A w samym środku masywna, potężna figura księcia, niczym oś koła do łamania ludzi.

Czym były nauki Gławasa Rho wobec tego koła? Przetoczyło się po nim i starło go na proch. Czym była biała magia wobec Janarri i księżących siepaczy? To tylko bezcenne pergaminy, w sam raz do powalania. Magiczne kamienie do wdeptywania w błoto. Myśli głębokiej mądrości, którą można zetrzeć na miazgę wraz z kryjącym je mózgiem.

Ale istnieje też inna magia. Magia, którą Gławas Rho odrzucał, czasami z uśmiechem, lecz zawsze z podskórną powagą. Magia, jaką Mysz poznawał wyłącznie z aluzji i przestroóg. Magia zrodzona ze śmierci i nienawiści, i bólu, i rozkładu, magia, która sączyła się z czarnych międzygwiazdnych czeluści i – jak rzekł sam Janarri – przeklinała po nocach za plecami.

I było to tak, jak gdyby cała dotychczasowa wiedza Myszy – o drobnych stworzeniach i gwiazdach, o dobroczynnych czarach i łaskawych prawach Natury – spłonęła w jednym szybkim i gwałtownym całopaleniu. Zaś czarne popioły drgnęły i ożyły, i wypełzały z nich gromadą nocne zjawy podobne do strawionych przez ogień, lecz jakże wynaturzone. Pełzające, skradające się i przemykające widziadła. Bezlitosne, nic tylko nienawiść i groza, a przecież tak cudowne dla oka jak czarne pająki paradujące po swych sieciach. Zagrać na rogu myśliwskim sygnał dla tej sfory! Poszczuć ją tropem Janarri!

Diabelski głos jął mu szeptać w głębi mózgu: „Książę musi umrzeć. Książę musi umrzeć”. I Mysz wiedział, że będzie słyszał ten głos, dopóki nie dopnie on swego. Podźwignął się z mozołem, czując klucie w boku, świadczące o połamanych żebrach; nie rozumiał, jak zdołał uciec aż tak daleko. Zacisnąwszy zęby, pokuśtykał przez polanę. Już pod osłoną drzew ból ponownie rzucił go na kolana. Mysz przeczołgał się jeszcze trochę na czworakach i stracił przytomność.

Pod wieczór trzeciego dnia po łowach Iwriana ukradkiem wymknęła się ze swej komnaty na wieży, głupkowato uśmiechniętemu koniuchowi kazała osiodłać sobie konia i pojechała doliną na przełaj, w bród przez strumień i na szczyt pochyłości po drugiej stronie, pod ukryte za skałą domostwo Gławasa Rho. Widok zniszczenia napiętnował jej bladą udręczoną twarz nowym cierpieniem. Zsiadłszy z konia, podeszła do wypalonych zgliszczy, drżąc na myśl, że zobaczy wśród nich trupa Gławasa Rho. Lecz zwłok nie było. Tylko popioły były ruszone, jakby ktoś w nich grzebał i przesiewał je, szukając tego, co ocalało z pożogi. I cicho było, jak makiem zasiał.

Kątem oka wychwyciła jakąś nierówność gruntu na skraju poręby i poszła w tym kierunku. Stała nad świeżo usypaną mogiłą, wpatrując się w wianuszek szarych otoczków, gdzie miast kamienia nagrobnego spoczywał zielonkawy kamyk, mały i

płaski, o dziwnie rzeźbionej powierzchni.

Niespodziewany szelest w lesie przyprawił ją o drżenie, uświadamiając dziewczynie, jak bardzo jest przerażona, tyle że ból górował w niej dotąd nad strachem. Podniosła oczy i z okrzykiem zamarłym na ustach gapiała się na prześwit wśród liści, skąd wychynęła czyjaś twarz. Twarz dzika, powalana błotem i sokami traw, cała w zastarzałych plamach skrzeplej krwi, ocieniona kilkudniowym zarostem. Rozpoznała ją po chwili.

–Myszo – bąknęła niepewnie.

Odpowiedział jej niemal obcym głosem.

–A więc wróciłaś napawać się ruiną, w której wszystko legło dzięki twojej zdradzie.

–Nie, Myszo, nie! – krzyknęła. – Ja tego nie chciałam. Musisz mi uwierzyć.

–Kłamiesz! To twój ojciec ze swymi ludźmi zabił go i spalił mu dom.

–Ale ja myślałam, że im się nie uda!

–„Myślałam, że im się nie uda!” Też mi usprawiedliwienie. Tak boisz się ojca, że wszystko byś mu ze strachu wygadała. Ty żyjesz ze strachu.

–Nie zawsze, Myszo. W końcu zabiłam odyńca.

–Tym gorzej dla ciebie – zabić zwierzę, które Bóg zesłał, by zabiło twego ojca.

–Kiedy tak naprawdę wcale nie zabiłam. Chęłpiłam się przed tobą... myśląc, że pochwalisz mnie za odwagę. Nie pamiętam żadnego zabijania. Nic nie pamiętam. Na pewno moja zmarła matka wstąpiła we mnie i pokierowała oszczepem.

–Kłamstwo siedzi na kłamstwie i kłamstwem pogania! Ale wniosę małą poprawkę: ty żyjesz ze strachu, o ile tatuś nie doda ci pasem odwagi. Dawno powinienem to zauważyć i ostrzec Gławasa Rho przed twoją osobą. A ja oddawałem się marzeniom o tobie.

–Nazywałeś mnie Myszka – powiedziała cichutko.

–Aha, bawiliśmy się w myszki, zapominając, że koty są prawdziwe. A kiedy przebywałem poza domem, postraszo cię zwyczajnie laniem i musiałaś wydać Gławasa Rho tatusiowi w łapki!

–Nie potępiaj mnie, Myszo – zaszlochała dziewczyna. – Ja wiem, że moje życie to jedno pasmo strachu. Od małości ojciec na siłę wbija mi do głowy, że okrucieństwo i nienawiść są podstawowymi prawami wszechświata. Dręczy mnie i

torturuje. Znikąd nie miałam pomocy, dopóki nie przybył Glawas Rho i nie nauczył mnie, że wszechświatem rządzą prawa miłosierdzia i miłości, które nadają kształt nawet śmierci i pozornym nienawiścią. Lecz Glawas Rho już nie żyje, a ja jestem samotna jak nigdy przedtem. Potrzebuję cię Myszo. Studiowałeś pod kierunkiem Glawasa Rho. Znasz jego nauki. Przyjdź mi z pomocą.

Wybuchnął szyderczym śmiechem.

–Przyjdź, to cię zdradzę? – przedrzeźniał. – Przyjdź, to cię obiją, a ja sobie popatrzę? Przyjdź posłuchać załganego słodkiego głosiku, a żołdacy tatuńcia zajdą cię od tyłu? Dziękuję, ale mam inne plany.

–Plany? – spytała. Jej głos był pełen lęku. – Myszo, twoje życie jest w niebezpieczeństwie, dopóki tu siedzisz. Ludzie ojca poprzysięgli zabić cię bez ceregieli. Umrę, mówię ci, jeśli dasz się złapać. Uchodź niezwłocznie. Tylko najpierw powiedz, że nie czujesz do mnie nienawiści.

I zrobiła krok w jego kierunku. Usłyszała ten sam szyderczy śmiech.

–Nie zasługujesz nawet na moją nienawiść – dotarły do niej piekące słowa. – Wszystko, co czuję do ciebie, to pogarda dla twojej tchórzliwej natury. Glawas Rho za dużo pisał o miłości. Istnieją we wszechświecie prawa nienawiści, nadające kształt nawet miłości, i czas najwyższy, żebym zrobił z nich wreszcie użytek. Nie zbliżaj się! Nie zamierzam ci zdradzić moich planów ani moich nowych kryjówek. Ale jedno ci powiem – a słuchaj uważnie. Za siedem dni rozpoczną się męczarnie twojego ojca.

–Męczarnie mojego ojca?... Myszo, Myszo, posłuchaj mnie chwilę. Mnie nie chodzi tylko o nauki czarodzieja. Chcę porozmawiać o nim samym. Ojciec napomknął mi, że Glawas Rho znał moją matkę, że pewnie był moim prawdziwym ojcem.

Szyderczy śmiech zabrzmiał tym razem po krótkiej ciszy, za to w dwójnasób.

–Brawo, brawo, brawo! Miło pomyśleć, że staruszek Siwobrody użył trochę życia, nim zrobił się taki mądry, mądry, mądry. Mam błogą nadzieję, że on rzeczywiście wyobrażał twą mamuszkę. To wyjaśnia tę całą jego szlachetność. Gdzie tak wiele miłości – miłości do wszystkiego, co żywe – tam najpierw jest chuć i występek. Z owych schadzek – i z grzesznej natury twojej matki – wyrosła biała magia Glawasa Rho. Tak było! Grzech obok białej magii – więc bogowie wcale nie kłamali! Co czyni z ciebie córeczkę, która rodzonemu tatusiowi zgotowała śmierć w kopciu.

Po czym twarz Myszy zniknęła i liście obrzeżały już tylko ciemne okienko w gęstwinie. Iwriana pobiegła za uchodzącym w las śmiechem i usiłowała go dogonić, potykając się i nawołując:

–Myszo! Myszo!

Lecz głos Myszy ucichł gdzieś w dali, zaś opuszczona w mrocznej kotlinie dziewczyna zaczęła sobie zdawać sprawę, że dziwnie nieludzko brzmiał ten jego śmiech, jak gdyby chłopak szydził ze śmierci wszystkiej miłości, a nawet z jej nienarodzenia. Strach obleciał Iwrianę i przez chaszczce, przez jeżyny chwytające za suknię i gałęzie siekące po policzkach uciekła, jakby ją kto gonił, na porębę i odjechała galopem w zmierzch, szarpana tysiącem lęków, z rozpaczą w sercu, myśląc, że na całym świecie nie pozostał już nikt, kto nie darzy jej nienawiścią i pogardą.

Dotarła pod warownię, która przycupnęła na górze jak straszny potwór z grzebieniem iglic i wydawało się przejeżdżającej wielką bramę dziewczynie, że ten potwór połykają na zawsze.

O zmierzchu dnia siódmego, kiedy wśród gwaru licznych rozmów, chrzęstu wyplatanych krzesel i szczęku srebrnych półmisków akurat podawano obiad w wielkiej sali biesiadnej, Janarrl ze stłumionym okrzykiem bólu złapał się za serce.

–Nic mi nie jest – rzekł chwile później do siedzącego przy nim giermka o wąskiej twarzy. – Nalej mi wina. To najlepsze lekarstwo na kolkę.

Nadal jednak wyglądał blado i nieswojo, i niewiele jadł z mięsiwa, które podawano na stół w wielkich parujących płatach. Spojrzenie księcia nieustannie błędziło po współbiesiadnikach, by wreszcie spocząć na córce.

–Przestań gapić się na mnie tak ponuro, moja panno! – zawołał. – Można by pomyśleć, że zatrulaś wino i tylko czekasz, kiedy te zielone plamy wyskoczą mi na gębie. Albo czarne w czerwonych obwódkach, też piękne.

Ogólny wybuch rubasznej wesołości jakby go udobruchał, bo księżę urwał skrzydełko jakiegoś łownego ptaka i łakomie wbił w nie zęby, ale już w następnej chwili wydał nagle drugi okrzyk bóleści, głośniejszy niż pierwszy, chwiejnie wstał z krzesła, konwulsyjnie wpił palce w pierś, po czym jak długi runął na stół, jęcząc i wijąc się w męczarniach. Giermek o wąskiej twarzy pochylił się nad księciem.

–Księżę ma atak – obwieścił całkiem zbytecznie, a przecież bardziej niż złowieszczo. – Zanieście go do łóżka. Niech któryś rozepnie księciu koszulę. Brak mu tchu.

Fala szeptów wezbrała w obu końcach stołu. Po otwarciu przed księciem ogromnych drzwi od jego mieszkalnych komnat wionął silny, zimny prąd powietrza i płomienie pochodni skurczyły się i zsiniały, wpuszczając cienie do sali. Wtem jedna pochodnia rozbłysła jasno jak biała gwiazda i dobyła z mroku twarz dziewczyny. Iwriana siedziała wśród podejrzliwych spojrzeń i poszeptów, czując, że wszyscy stronią od niej, jakby kpiny księcia wyjaśniły już całą prawdę. Nie podnosiła oczu. Niebawem przybył sługa z wiadomością, że księżę wzywa ją przed swoje oblicze.

Wstała i bez słowa podążyła za posłańcem.

Księżę panował nad sobą, ale twarz miał szarą i wykrzywioną bólem, a przy każdym oddechu tak kurczowo ścisnął krawędź łóżka, że aż kłykcie zaczynały wyglądać jak kamienne gałki. W zarzuconym na ramiona futrze pólleżał wsparty na poduszkach, obstawiony buzującymi piecykami na wysokich nóżkach. Wśród tego wszystkiego dygotał jak w febrze.

–Zbliź się, panno – nakazał cichym głosem, który przechodził w syk na jego ściągniętych wargach. – Widzisz, co się dzieje. Serce mnie boli, jakby podłożono pod nie ogień, za to miast skóry mam powłokę lodu. Stawy przeszywa mi ból, jakby ktoś przewłócił przez nie długie szpile, przez szpik na wylot. To robota czarownika.

–Robota czarownika, bez wątpienia – przytaknął stojący u wezglowia Giskorl, ów giermek o wąskiej twarzy. – I nie trzeba go szukać daleko. To ten węzowy pomiot, panie, którego nie zabiłeś dość prędko dziewięć dni temu! Doniesiono mi, że kryje się po lasach, i owszem, i że rozmawiała z nim... pewne osoby – dorzucił mierząc lwrianę bacznym, nieufnym spojrzeniem.

Skurcz bólu targnął księciem.

–Winieniem był rozdeptać szczenię razem z basiorem – jęknął. Ponownie utkwiał oczy w lwrianie. – Posłuchaj, panno, widzieli cię, jak myszkowałeś po lesie, tam gdzie zginął stary czarownik. Sądzą, że gadałaś z jego szczenięciem.

lwriana zwilżyła językiem wargi, lecz nie mogąc wydobyć głosu, pokręciła tylko głową. Miała uczucie, że wzrok ojca przenika ją na wskroś. Księżę wyciągnął rękę i nagle ucapił córkę za włosy.

–Ja sędzę, żeś z nim w znowie! – Szept księcia przywoził na myśl zardzewiały nóż. – Że to wasza wspólna robota. Przyznaj się! Przyznaj!

I ściągnął ją twarzą na najbliższy piecyk, aż z włosów dziewczyny poszedł dym, a jej „Nie!” zginęło we wrzasku przerażenia. Giskorl podparł niebezpiecznie przechylony piecyk i ustawił go z powrotem na nóżkach.

–Twoja matka ścisnęła kiedyś rozżarzone węgle na dowód swej niewinności – warknął księżę wśród krzyków lwriany.

Upiorny niebieskawy płomień liznął włosy dziewczyny. Księżę odepchnął ją od piecyka i opadł na poduszki.

–Odprawić ją – szepnął w końcu słabym głosem, z wysiłkiem przy każdym słowie. – Ta tchórzliwa suka nawet mnie nie miałaby odwagi ugryźć. Tymczasem, Giskorl, wyślij więcej ludzi do przeczesywania lasu. Przed świtem muszą znaleźć jego norę,

bo inaczej serce mi pęknie od tego bólu.

Szorstkim gestem Giskorl wskazał Iwriana drzwi. Zwiesiła głowę i potulnie opuściła komnatę, łykając łzy. Policzek palił ją nieznośnie. Była nieświadoma dziwnie zamyślonemu uśmiechowi, z jakim krogulczorysy giermek odprowadzał ją spojrzeniem.

Z wąskiego okna sypialni Iwriana obserwowała wymarsze i powroty małych grupki jeźdźców, których pochodnie migotały w lesie jak błędne ogniki. Zamek kipiał ukrytą krzątaniną. Zdawało się, że nawet kamienie ożyły w gorączce, cierpiąc ze swoim panem.

Dziewczynę przyciągał jakiś punkt w ciemnej dali za oknem. Uporczywie wracało wspomnienie pewnego dnia, kiedy to wskazawszy niewielką grootę, Gławas Rho ostrzegał przed złym miejscem, gdzie w przeszłości nagminnie uprawiano zgubne praktyki czarnoksięskie. Opuszkami palców Iwriana muskała sierpowaty pęcherz na policzku i pasmo szorstkich włosów. Wreszcie niepokój ducha i zew z głębi nocy wzięły w niej górę. Przebrała się po ciemku i pomalutku uchyliła drzwi sypialni. Korytarz chwilowo wyglądał na opustoszały. Szybko i tuż przy ścianie przemknęła nim do schodów i zbiegła po krągłych, wytartych jak progi, kamiennych stopniach. Usłyszawszy ciężkie kroki, ledwo zdążyła przycupnąć we wnęce, gdy dwaj łowcy z ponurymi minami przechodzili do książęcych komnat, okryci kurzem i zeszywniali od konnej jazdy.

– Sam diabeł go nie znajdzie w tej cholernej ćmie – burknął jeden z nich. – To jak szukanie mrówki w ciemnym lochu.

Drugi mu przytaknął.

– Czarownicy potrafią też odmienić punkty orientacyjne w terenie i tak poplątać w kółko wszystkie leśne dukty, że najlepszy tropiciel dostanie kręćka.

Po przejściu łowców Iwriana pośpieszyła do sali biesiadnej, teraz mrocznej i opuszczonej, i dalej przez kuchnie wśród wysokich ceglanych palenisk i ogromnych miedzianych kotłów połyskujących z ciemnych kątów.

Na dziedzińcu płonęły pochodnie i panował ożywiony ruch, gdyż koniuchowie podwodzili tędy świeże konie i odprowadzali zjeżdżone. Iwriana liczyła, że jednak nie rozpoznają jej w stroju myśliwskim. Od cienia do cienia, krok po kroku dotarła pod stajnie. Wśliznęła się do przegrody swego konia, który zarżał i dreptał niespokojnie, dopóki nie usłyszał szeptu dziewczyny. W kilka chwil był już osiodłany i kroczył za nią na tyły stajni, ku otwartym polom. Nie widząc nigdzie oddziałów oblawy, Iwriana wskoczyła na siodło i ruszyła z kopyta w stronę lasu.

W duszy dziewczyny szalały żywioły lęku. Nie mogła pojąć, skąd znalazła w sobie dość odwagi do takiej eskapady, ale ów punkt w głębi nocy, ta grota, przed którą

ostrzegał ją Gławas Rho, musiała mieć jakąś magiczną moc przyciągania, nie do odparcia.

W objęciach lasu nagle poczuła, że oto zdaje się na łaskę ciemności i na zawsze opuszcza posępne mury i okrutnych mieszkańców warowni. Liściaste sklepienie przesłoniło większość gwiazd. Popuściła cugli, ufając w końskie wyczucie kierunku jazdy. I pewnie dzięki temu już za pół godziny była u wylotu płytkiego parowu, który przebiegał w sąsiedztwie poszukiwanej groty.

Tu koń po raz pierwszy zaczął zdradzać niepokój. Popędzany w głąb parowu wyłamywał się z krótkim trwożliwym kwikiem i co rusz usiłował zboczyć. Zwolnił do stępa. Wreszcie odmówił zrobienia choćby kroku dalej. Iwriana zsiadła i poszła piechotą.

Dokoła legła złowroga cisza, jakby wszystkie zwierzęta i ptaki, i nawet owady odeszły z lasu. Ciemność stanęła na drodze niby mur z czarnych cegieł, tuż, tuż na wyciągnięcie ręki, prawie namacalna. Niebawem przed oczyma dziewczyny zamajaczyła zielonkawa poświata, nieuchwytna z początku i blada jak upiory świtu. Błyszczała coraz jaśniej i coraz migotliwiej, w miarę jak rzedniały kryjące ją zasłony liści. Raptem Iwriana odgadła, że na wprost przed sobą widzi serce tej poświaty – gęsty, ciężki, oblepiony kopciem płomień, który pełza zamiast tańczyć. Gdyby zielony śluz dało się przeistoczyć w ogień, zapewne wyglądałby jak to ognisko. Płonęło u wejścia do niewielkiej groty.

Rychło zobaczyła twarz ucznia Gławasa Rho przy ognisku i w tejże chwili śmiertelna udręka trwogi i litości rozdarła duszę dziewczyny. Bo nie była to ludzka twarz, ani w ogóle jakiejś żywej istoty, lecz zielonkawa maska cierpienia. Zapadłe policzki, nienaturalnie błędne oczy, trupia bladość i zraszający ją zimny pot zrodzony z potwornego wysiłku ducha, wszystko w tej twarzy wyrażało wielkie cierpienie, ale i wielką zarazem siłę – siłę, która ujarzmiła nieprzeniknione wijące się cienie, jakby gromadzące się wokół zielonkawego płomienia, siłę, która rozkazuje przyzywanym tu mocom nienawiści. Spękane wargi mamrotały coś w regularnych odstępach czasu, ramiona i dłonie czyniły rytualne gesty.

Jak żywy usłyszała nagle Iwriana łagodny głos Gławasa Rho powtarzający słowa wypowiedziane niegdyś do niej i do Myszy. „Każdy, kto posługuje się czarną magią, musi do ostatnich granic wytężyć ducha – i pokalać go na dodatek. Każdy, kto zadaje cierpienie, musi tak samo cierpieć. Każdy, kto za pomocą zaklęć i czarów sprowadza śmierć, również musi przebyć otchłań własnej śmierci, tak, tak, i własnej utoczyć tam krwi. Moce wezwane przez czarną magię są jak obosieczne zatrute miecze o rękojeściach nabijanych żądłami skorpionów. Jedynie silny człowiek, którego nienawiść i nikczemność są przepotężne, zaś dłonie z żelaza, jedynie taki człowiek może nimi władać, a i to tylko przez jakiś czas”.

W twarzy Myszy zobaczyła żywą ilustrację owych słów. Kroczek po kroczku podchodziła do niego bezwiednie i bezwolnie, niczym w sennym koszmarze. Zaczęła wyczuwać obecność mrocznych jaźni, jak gdyby po drodze rwała pajęczę sieci. Była już tak blisko, że mogłaby go dotknąć wyciągniętą ręką, a wciąż jej nie dostrzegał, wciąż duchem bujał gdzieś ponad gwiazdami, pasując się z ciemnością.

Pod stopą dziewczyny niespodziewanie trzasnęła gałązka i Mysz zerwał się z przeraźliwą szybkością, niby nagle zwolniona cięciwa. Chwycił rapier i skoczył na intruza. Z wysiłkiem pohamował jednak zaśnieżone sztych o szerokość dłoni od gardła lwriany. Oczy zionęły mu nienawiścią i szczyrzył zęby. Wprawdzie zatrzymał rapier, ale jeszcze jej nie rozpoznawał. Wtem uderzył w lwrianę porywisty wiatr, który buchnął z jaskini, dziwny wiatr poganiający cienie. Zielony ogień przypadł do ziemi, pobieżnie liznął patyki, którymi był karmiony i niemal przygasł. Po czym wiatr zamarł, ustąpiły głębokie ciemności, a ich miejsce zajęła blada szarówka – zwiastun świtu. Ogień zmienił barwę z zielonej na złotą. Uczeń czarodzieja zachwiał się i wypuścił rapier z dłoni.

–Po coś tu przyszła – zapytał głucho.

Spostrzegła, że jego twarz jest wyniszczona głodem i nienawiścią, a odzież nosi ślady wielu nocy spędzonych w lesie pod gołym niebem, niczym zwierzę. I niespodziewanie dla samej siebie odkryła, że przecież zna odpowiedź na jego pytanie.

–Och, Myszo – szepnęła – uciekajmy stąd. Tu nie ma nic prócz grozy. – Podtrzymała go, bo słał się na nogach. – Weź mnie z sobą, Myszo – rzekła.

Surowym wzrokiem spojrzał jej w oczy.

–Więc nie żywisz do mnie nienawiści za to, co zrobiłem twojemu ojcu? Ani za to, co zrobiłem z naukami Gławasa Rho? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie boisz się mnie?

–Boję się wszystkiego – szepnęła, przywierając do Myszy. – Boję się ciebie, tak, bardzo boję. Ale ten strach szybko minie. Och, Myszo, zabierzesz mnie? Do Lankhmaru albo na koniec świata?

Wziął ją w ramiona.

–Śniłem o tym – powiedział z wolna. – A ty...?

–Uczniu Gławasa Rho! – zagrzmiał groźny tryumfalny głos. – W imieniu księcia Janarrla aresztuję cię za czarnoksiężskie praktyki na osobie księcia!

Z gąszczu pędzili nań czterej łowcy z mieczami w dłoniach i Giskorl o trzy kroki za nimi. Mysz spotkał ich w pół drogi. Szybko zmiarkowali, że tym razem nie mają do

czynienia z zaślepieniem od gniewu młokosem, lecz z opanowanym i zręcznym szermierzem. Jakby jakiś czar tkwił w jego prymitywnej klindze. Świetnie wyprowadzonym pchnięciem Mysz rozplątał ramię jednemu napastnikowi, rozbroił drugiego zaskakującym wiązaniem z nagłą dźwignią, i powoli cofając się, z zimną krwią parował ciosy dwóch pozostałych. Lecz za pierwszymi szli inni łowcy i otoczyli go kołem. Walcząc do ostatka ze straszliwą furią i odpowiadając ciosem na cios, Mysz legł przygnieciony samą siłą fizyczną nacierających. Po skrępowaniu mu rąk, postawili chłopaka na nogi. Krwawił z ciętej rany na policzku, ale zarośniętą jak u dzikiego zwierza głowę trzymał wysoko. Nabiegłymi krwią oczyma wyszukał lwrianę.

–Powinienem był wiedzieć – rzekł bezbarwnym głosem – że wydawszy Gławasa Rho, nie spocznesz, dopóki i mnie nie wydasz. Dobrześ się spisała, panienczko. Mam nadzieję, że moja śmierć sprawi ci dużo radości.

Giskorl parsknął śmiechem. Ale słowa te zapiekły lwrianę jak smagnięcie biczem. Unikała wzroku Myszy. A wtem dotarło do niej, że za Griskolem siedzi ktoś na koniu, więc podniosła spojrzenie i zobaczyła ojca. Szerokie plecy zgięły mu się z bólu we dwoje. Zamiast oblicza miał pośmiertny grymas. Zakrawało na cud, że potrafi jeszcze usiedzieć w siodle.

–Szybciej, Giskorl! – syknął.

Lecz giermek o wąskiej twarzy już niuchał przed progiem jaskini niby dobrze ułożona fretka. Z okrzykiem zadowolenia zdjął maleńką figurkę ze skalnej półki nad ogniskiem, które następnie zdeptał. Wyniósł figurkę tak delikatnie, jak gdyby była utkana z pajęczych nici. Dziewczynie przelotnie mignęła przystrojona w brązowe i zielone liście i tyleż szeroka, co wysoka, gliniana lalka, której gliniane rysy karykaturalnie naśladowały twarz księcia. Długie kościane szydła przechodziły przez lalkę w kilku miejscach.

–To właśnie to, panie – rzekł Giskorl, podnosząc ją do góry, ale księżę powtórzył tylko:

–Szybciej, Giskorl!

Giermek zaczął wyciągać największą z igieł przeszywającą środek lalki, a księżę w paroksyzmie bólu aż zachłysnął się powietrzem.

–Pamiętaj o balsamie! – krzyknął.

Giskorl wyciągnął zębami korek z pękatej flaszki i polał figurkę lepkim płynem, co księżę przyjął z westchnieniem ulgi. Następnie giermek po kolei i bardzo delikatnie wyciągnął igły i za każdym razem księżę ze świstem chwycił powietrze, łapiąc się to za ramię, to za udo, jak gdyby owe szpile wyszarpywano mu z ciała. Po usunięciu ostatniej siedział przez dłuższy czas pochylony w siodle. Kiedy wreszcie podniósł

głowę, zaszła w nim zdumiewająca przemiana. Rumieniec zagościł na twarzy, grymas bólu zniknął, głos zabrzmiał dźwięcznie i donośnie.

–Odprowadzić więźnia na sąd do warowni – zarządził. – Niechaj to będzie przestrogą dla wszystkich, którzy zechcą uprawiać czary w naszej domenie. Okazałeś mi prawdziwe oddanie, Giskorl. – Jego wzrok spoczął na Iwrianie. – Zanadto igrasz z gusłami, panno, a trzeba ci innych lekcji. Na pierwszej obejrzysz sobie kaźń tego podłego szamanika.

–Małej łaski, o książę! – zawołał wsadzony na siodło Mysz z nogami związanymi pod końskim brzuchem. – Zabierzcie mi tę podłą donosicielkę, waszą córkę, sprzed oczu. I nie pozwólcie jej patrzeć na moje męki.

–Dajcie no mu który w gębę – rzucił książę. – Pojedziesz za nim, Iwriano – to rozkaz.

W bielejącym świetle niewielka kawalkada powoli ruszyła ku warowni. Sprowadzono konia Iwriany i dziewczyna zajęła nakazane miejsce w kolumnie, przygnieciona koszmarem tego padoułu łez i rozpacz. Cała droga życia – od przeszłości przez terażniejszość po przyszłość – jawiła się Iwrianie jak jedno pasmo strachu, samotności i cierpienia. Była dzieckiem, gdy zmarła jej matka, a wciąż jeszcze odczuwała trwożliwe kołatanie serca na samo wspomnienie zmarłej – pięknej, zuchwałej kobiety, która nie zrobiła kroku bez ulubionego bicia w dłoń i której bał się nawet książę. A kiedy służba doniosła małej Iwrianie, że matka skręciła kark, spadając z konia, to jedynym w owej chwili uczuciem córki był strach, że ją okłamują, że to jakiś nowy podstęp matki szykującej już jakąś nową karę.

Z kolei ojciec od dnia śmierci matki nie okazał córce innego uczucia, jak tylko osobliwie perwersyjne okrucieństwo. Być może rozgoryczony brakiem syna uznał smarkatą za tchórzliwego chłopca, ośmielając do maltretowania małej najpodlejszych z czeladzi – od pokojówek straszących dziewczynkę duchami w sypialni, po dziewczki kuchenne podrzucające jej żaby do mleka i pokrzywę między liście sałaty.

Czasami przychodziło Iwrianie do głowy, że złość z powodu braku syna to zbyt słabe usprawiedliwienie takiego okrucieństwa i że ojciec gnębiąc ją, bierze odwet na zmarłej żonie, która budziła w nim wyraźny lęk nie tylko za życia, ale i po śmierci, gdyż nigdy nie poślubił innej kobiety, ani jawnie nie brał sobie konkubiny. A może prawdę mówił o matce i Gławasie Rho – nie, na pewno w złości palnął, co mu ślina na język przyniosła. Przecież sam niekiedy przyznawał, że chce ją zmusić do życia na modłę występnej i chciwej krwi matki, aby w osobie córki odrodzić znieawidzoną i zarazem ubóstwianą żonę, znajdując przy tym chorobliwą przyjemność w pokonywaniu oporu obrabianego materiału jak i w groteskowości tej całej zabawy.

I oto Iwriana znalazła azyl u Gławasa Rho. Podczas jednej ze swych samotnych wędrówek po lesie spotkała siwobrodego starca, który nastawiał jelonkowi złamaną

nogę i prawil o więzach dobroci i braterstwa wszystkiego, co żyje, ludzi i zwierząt. I już dzień w dzień przychodziła na spotkanie, aby w objawieniu głębokich prawd znajdować potwierdzenie własnych niejasnych przeczuć i chronić się pod skrzydła niezmiernego miłosierdzia czarodzieja... i aby pogłębiać nieśmiałą przyjaźń z jego pojętnym niedużym uczniem. A teraz Glawas Rho był martwy, zaś Mysz wstąpił na drogę pająka, szlak węża czy też trop kota, jak stary czarodziej niekiedy określał tę najczarniejszą z magii.

Zerknęła w stronę Myszy, który z rękami związanymi na plecach, nisko pochylony, zwiesiwszy głowę jechał przodem i trochę skrajem duktu. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że przecież sama jak gdyby wydała Mysz w ręce wroga. Lecz o ileż gorsza od wyrzutów sumienia była czarna rozpacz po utraconej okazji, bo oto tuż przed nią jechał na śmierć jedyny człowiek zdolny odmienić jej życie. Na zwężeniu ścieżki zrównali się i zbliżyli do siebie.

–Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić, abys mi wybaczył choć odrobinę... – zagadnęła pośpiesznie, z bijącym sercem.

Mysz rzucił dziewczynie spode łba taksujące spojrzenie, bystre i nadspodziewanie żywe.

–Właściwie mogłabyś – odparł cichutko, żeby łowcy na czele nie dosłyszeli. – Twój ojciec każe zamęczyć mnie na śmierć. A tobie każe patrzeć. I to właśnie musisz zrobić. Musisz patrzeć mi prosto w oczy przez całą kaźń. Siądź tuż przy ojcu. Połóż mu dłoń na ramieniu. Tak, tak – pocałuj też ojca na powitanie. Nade wszystko nie wolno ci niczym okazać lęku ani odrazy. Masz być niby posąg z marmuru. Patrz do końca. I jeszcze coś, gdybyś mogła, załóż suknię matki, a jeśli nie suknię, to chociaż cokolwiek z jej garderoby. – Przesłał bladý uśmiech. – Zrób tak, a będę przynajmniej miał tę pociechę, że zobaczą jak wzdrygasz się... i wzdrygasz... i wzdrygasz!

–Bez mamrotania zaklęć! – krzyknął łowca, gwałtownie podciągając konia Myszy do przodu.

Iwriana skuliła się, jakby dostała w twarz. Przed chwilą myślała, że stoi na dnie otchłani niedoli, a tu słowa Myszy strąciły ją jeszcze niżej. Akurat wyjeżdżali z lasu i przed kawalkadą wyrosła warownia – wielki, rogaty i kolczasty cień na wschodzącym słońcu. Nigdy dotąd nie była tak bardzo podobna do ohydnej poczwary, a wysoka brama do żelaznej paszczy śmierci.

Do izby tortur na samym spodzie swej warowni Janarrl wkraczał ogarnięty falą gorączkowego uniesienia, jak wtedy, gdy z łowcami przystępował do ubicia osaczonej zwierzyny. Lecz na szczycie tej fali nadciągała nikła piana lęku. Tak pewnie czułby się przybyły na wystawną ucztę, zgłodniały człowiek, gdyby wieszczka w progu wywróżyła mu śmierć od podanej w potrawie trucizny. Prześladowała

księcia nieprzytomnie wystraszona twarz łowcy, którego szczeniak czarodziejasek zranił w ramię tym swoim skorodowanym brązowym rapierem. Uczucie lęku wzmagало się w księciu, ilekroć krzyżował spojrzenie z uczniem Gławasa Rho, obnażonym do pasa i rozciągniętym – jeszcze bezboleśnie – na ławie tortur. Nadto przenikliwe miał te swoje oczy, nadto zimne i złowieszcze, nadto pełne jakichś czarnoksięskich mocy.

Janarrl ze złością powiedział sobie, że odrobina bólu przywróci oczom ofiary odpowiedni wyraz zaszczutej trwogi. I powiedział sobie, że jego rozstrojone nerwy są rzeczą normalną po wczorajszych okropnościach, kiedy nikczemnymi czaramiomal nie wydarło mu życia. Ale w głębi duszy wiedział, że strach towarzyszy mu zawsze i wszędzie, strach przed czymś lub przed kimś, kto pewnego dnia będzie silniejszy i zada mu ból, tak jak on zadawał ból innym, strach przed zmarłymi, których zranił i już więcej nie mógł ranić, strach przed zmarłą żoną, rzeczywiście silniejszą i okrutniejszą niż on sam i poniżającą małżonka na tysiące sposobów, o których wszyscy zapomnieli, prócz księcia.

Ale wiedział też, że wkrótce będzie tu przy nim córka, a wtedy przerzuci na nią swój strach i zmuszając dziewczynę do bojaźni, zaleczy własną odwagę, jak to czynił niezliczoną ilość razy w przeszłości. Toteż zasiadł z pewnością siebie i dał znak, by rozpocząć tortury.

Gdy skrzypnęło ogromne koło i skórzane obroże na kostkach nóg i przegubach rąk zaczęły się leciutko rozsuwać, Mysz poczuł, jak mrówki bezsilnej paniki rozbiegają mu się po ciele. Gromadziły się w stawach, tych maleńkich, głęboko osadzonych zawiasach kostnych, zazwyczaj wolnych od zagrożenia. Bólu jeszcze nie było. Po prostu ciało poluzowano mu troszeczkę, jakby przeciągnął się przy ziewaniu.

Niski strop wisiał tuż nad twarzą Myszy. Migotliwe światło pochodni odkrywało w kamieniu przed jego oczyma gniazda na wilcze łapy i zakurzone pajęczyny. Patrząc w kierunku stóp, widział górną część kołowrotu i dwie wielkie dłonie zaciśnięte na szprychach koła, ściągające je w dół bez wysiłku, bardzo powoli, z przerwami na dwadzieścia uderzeń serca co szprychę. Obróciwszy oczy i głowę w bok, dostrzegł szeroką w barach – może nie aż tak szeroką, jak ją ulepił z gliny, ale barczystą – figurę księcia siedzącego w rzeźbionym, drewnianym fotelu, a za nim dwóch zbrojnych strażników. Janarrl obejmował gałki poręczy palcami opalonych dłoni, na których tańczyły ognie rzucane przez szlachetne kamienie pierścieni. Stopy miał pewnie rozstawione na podłodze. Szczęki zaciśnięte. Jedynie oczy zdradzały książęcy niepokój czy słabość. Biegały z lewa na prawo i z prawa na lewo, szybko, regularnie, jak ruchome oczy nakręcanej lalki.

–Moja córka powinna być tutaj. – Nagle Mysz usłyszał bezbarwny głos księcia. – Trzeba ją popędzić. Nie wolno zezwalać pannie na spóźnienie.

Jeden ze strażników odszedł pośpiesznie.

Niebawem sypnęły się iskierki bólu krzesane gdzie popadło, w przedramieniu, na plecach, w kolanie, w barku. Mysz z wysiłkiem zachował maskę spokoju. Poświęcił uwagę zebranych wokół siebie twarzom, podziwiając w tym osobliwym fresku grę światła na policzkach, brodach i w oczach oraz ludzkie cienie wraz z płomieniami pochodni falujące na niskich ścianach.

Wtem owe niskie ściany rozstały się i jakby odległość już przestała istnieć, zobaczył za nimi cały szeroki świat, jakiego nigdy nie oglądał: bezkresne leśne rozłogi, roziskrzona bursztynowa pustynia i turkusowe morze, Jezioro Potworów, Miasto Ghulów, przewspaniałe Lankhmar, Kraina Ośmiu Miast, Góry Trollich Schodów, sławetne Zimne Pustkowia i za jakimś zrzędzeniem losu przemierzający je długim krokiem młody wielkolud o szczerzej twarzy i rudej czuprynie, który przelotnie mignął Myszy w gronie piratów i z którym później zamienili parę słów – miejsca i osoby, wszystko, co na zawsze miał utracić, ukazane w zadziwiająco drobnych szczegółach, jak gdyby wycyzelował to i pokolorował jakiś mistrz miniaturzysta.

Z nagle powrócił i raptownie wzmógł się ból. Po jego iskierkach przyszyły dźgnięcia igieł... podstępne dziobanie w trzewiach... paluchy przemocy pełzające w górę ramion i nóg, do kręgosłupa... rozchwianie w biodrach. Mysz naprężył mięśnie, stawiając rozpaczliwy opór.

–Nie tak szybko. Stójcie na chwilę. – Mysz ponownie usłyszał głos księcia.

Miał wrażenie, że chwyta nutkę paniki pobrzmiewającą w tym głosie. Przysparzając sobie katuszy, przekręcił jednak głowę i śledził niespokojne oczy. Biegały tam i z powrotem niby maleńkie wahadełka.

I nagle ujrzał inną scenę w tej izbie, jak gdyby i czas również przestał istnieć. Książę pozostał na swym miejscu i oczy podobnie latały mu tam i z powrotem, jednak był młodszy, a na książęcym obliczu malowała się nietajona zgroza i przerażenie. Tuż przy nim zasiadła olśniewającej urody kobieta w ciemnoczerwonej sukni z dekoltem wyciętym głęboko na piersiach i oblamowanym złotym jedwabiem po brzegach. Na ławie tortur legła rozciągnięta w miejsce Myszy, śliczna, a teraz żałośnie lamentująca dworka, którą czerwona dama nader spokojnie i wnikając w najintymniejsze szczegóły, wypytywała o miłosne igraszki z księciem i próbę otrucia księżnej pani i inkwizytorki w jednej osobie.

Głośnie kroki przywróciły teraźniejszość, rozwiewając ową scenę, tak jak rzucony kamień niweczy odbicie w wodzie. A po nich słowa:

–Wasza córka przybywa, o książę.

Mysz zebrał się w sobie. Podświadomie bardziej bał się widoku lwriany niż tortur.

Nabrał gorzkiej pewności, że dziewczyna nie spełni jego próśb. Nie była zła i nie posądzał jej o zdradę, lecz nie miała za grosz odwagi, co wychodziło na jedno. Przyjdzie pochlipując i rozpaczając, nie panując nad sobą chociażby na tyle, na ile ją w ogóle stać, i tym samym odbierając mu nadzieję na ostatnią, szaloną próbę ratunku.

Już zbliżały się lżejsze kroki – jej kroki. Była w nich jakaś dziwna miarowość. Zadawszy sobie dodatkowy ból, obrócił głowę i nie odrywając od drzwi spojrzenia patrzył, jak postać dziewczyny wyłania się i nabiera kształtów w krwawej łunie pochodni.

Ujrzał oczy. Szeroko otwarte. Utkwione w swoich. Patrzące nieruchomo. Ujrzał bladą twarz utuloną spokojem śmierci. I ujrzał ciemnoczerwoną suknię z dekoltem głęboko wyciętym na piersiach i oblamowanym złotym jedwabiem po brzegach.

I wówczas radość zalała serce Myszy, bo zobaczył, że uczyniła to, o co ją prosił. Gławas Rho powiedział był: „Ofiara może przerzucić swoją mękę na kata, jeśli tylko kat pozwoli otworzyć do siebie drogę dla nienawiści ofiary”.

A teraz dostęp do najskrytszych tajni duszy Janarrla stanął otworem. Mysz chciwie utopił wzrok w szeroko rozwartych oczach Iwriany, jak gdyby to były czarne sadzawki magii na zimnym księżycu. Wiedział, że one przyjmą wszystko, co zdoła im dać z siebie.

Patrzył, jak Iwriana zajmuje miejsce przy księciu. Patrzył, jak księżę z ukosa mierzy córkę spojrzeniem i wzdyga się, niczym na widok upiora. I jak Iwriana nawet nie zerka w stronę ojca, tylko wyciąga rękę i zamyka palce wokół jego nadgarstka, a księżę z drzeniem wciska się w fotel.

–Podkręcać! – Tym razem krzyk księcia na oprawców był już wyraźnie podszyty paniką.

Koło ruszyło. Mysz usłyszał swój żałosny jęk. Jednak miał teraz w sobie coś, co szybowało ponad falą bólu i poza zasięgiem jęku. Zdawało mu się, że widzi drogę od swoich oczu do źrenic Iwriany – kamienne koryto, którym ludzkie i nadludzkie moce ducha mogą runąć z hukiem niby wezbrany górski potok. A Iwriana wciąż nie odwracała wzroku. Bez mrugnięcia powieką przyjęła jęk Myszy, tylko jeszcze większa bladość powlekła twarz dziewczyny, a jej oczy jakby jeszcze bardziej pociemniały. Mysz poczuł, że doznania przemieszczają mu się w ciele. Poprzez rozszalałe odmęty bólu na powierzchnię wychynęła nienawiść i również poszybowała ponad falami cierpienia. Pchnął tę nienawiść w kamienne koryto i ujrzał, jak pod jej uderzeniem twarz Iwriany coraz bardziej upodobnia się do twarzy śmierci, ujrzał jak Iwriana mocniej zaciska palce na ojcowskim nadgarstku, wyczuwał dygotanie, którego księżę już nie mógł dłużej opanować.

Koło ruszyło. Gdzieś z oddali Mysz słyszał nie milknący, rozdzierający serce krzyk. Ale jakaś część jego istoty przebywała już poza tą izbą, wysoko w mroźnej pustce nad światem. Zobaczył rozpostartą w dole nocną panoramę lesistych wzgórz i dolin. Na jednym ze wzgórz u szczytu dostrzegał ciasny pęk maleńkich wież z kamienia. Obdarzony jakimś magicznym okiem sokoła przenikał wzrokiem dachy i mury owych wież po same fundamenty pod nimi, do maleńkiej mrocznej izby, gdzie mniejsi od owadów ludzie truchleli i tłoczyli się w gromadce. Paru obsługiwało mechanizm zadający ból istocie, którą mogła być wyblakła i wijąca się mrówka. Słyszał cieniutkie, ledwie uchwytnie krzyki męczzonej istoty, a jej ból wywierał nań przedziwny wpływ na tych wysokościach, przydając mu siłę ducha i zdzierając z oczu zasłonę – całun zrazu przesłaniający dziewiczy wszechświat nocy.

Albowiem zaczął słyszeć potężne szelesty wokół siebie. Kamienne skrzydła biły mroźną ciemność. Ostre promienie gwiazd wżynały mu się w mózg jak bezbolesne noże. Czuł, że rozszalały wir złej, najczarniejszej czerni runął na niego z góry niby nawała czarnych panter, i że dany mu jest we władanie. Pozwolił nawałnicy przepłynąć przez swoje ciało i cisnął ją po nie zerwanej nitce drogi w dół, ku dwóm cętkom ciemności w maleńkiej izbie na dole – ku parze wpatrzonych weń źrenic Iwriany, córki księcia Janarrla. Zobaczył, jak czerni słuza trąby powietrznej rozlewa się niczym atrament po twarzy Iwriany, nasącza jej białe ramiona i czerni palce. Zobaczył, jak dziewczyna konwulsyjnie zaciska dłoń na ramieniu ojca. Jak wyciąga drugą rękę do księcia i zbliża rozchylone wargi do jego policzka.

Wówczas przez jedną chwilę, gdy zsiniałe i skurczone płomienie pochodni zatrzepotały na żywym wichrze, który, zdawało się, dmie przez łączone na wilcze łapy kamienie podziemnej izby... przez jedną chwilę, gdy oprawcom i strażnikom wypadły z rąk narzędzia ich fachu... przez jedną niezatartą chwilę spełnionej nienawiści i dokonanej zemsty, Mysz ujrzał, jak szerokie, twarde oblicze księcia Janarrla dygoce w ataku śmiertelnego przerażenia, jak wykrzywia się, niby gruba szmata wyżymana w niewidzialnych dłoniach i jak rysy wnet mną się w klęsce i konaniu.

Pryśła nić, na której wisiał. Duch Myszy zleciał jak ciężarek pionu do podziemnej komnaty. Wypełniał go rozdzierający ból, ale ból zwiastował życie, nie śmierć. Nad nim był niski, kamienny strop. Dłonie na kole były białe i smukłe. I wtedy pojął, że to jest ból uwalniania z ławy tortur.

Powoli Iwriana zluzowała skórzane obręcze na kostkach i przegubach Myszy. Powoli pomogła mu zejść, podtrzymując z całej siły, gdy razem powlekli się przez izbę, z której wszyscy umknęli w popłochu, prócz jednej osoby skurczonej w rzeźbionym fotelu. Mysz przystanął i zmierzył nieboszczyka chłodnym, nieodgadnionym okiem sytego kota. Po czym Iwriana i Szary Kocur powędrowali dalej, na górę, przez wymiecione paniką korytarze, za bramę, w mrok nocy.

CZĘŚĆ IV

Zobaczyć Lankhmar i umrzeć

Cicho jak duchy wysoki złodziej z grubym złodziejem minąwszy ścierwo zaduszonego pętlącą podwórzowego lamparta, wyśliznęli się przez otworzone wytrychem okute drzwi kupca klejnotów Jengao na ulicę Mamony i powędrowali nią na wschód w nikłym, czarnym smogu nocnym Lankhmaru, Miasta Dwakroć Siedmiu Tysięcy Dziesiątków Dymów.

Nie było innej drogi, jak tylko Mamony i tylko na wschód, ponieważ w kierunku zachodnim, u zbiegu z ulicą Srebrników stał posterunek straży miejskiej, gdzie nieprzekupni strażnicy w pobrązowanych hełmach i kirysach niestrudzenie postukiwali i pobrzękiwali pikami, natomiast posesja Jengao nie miała bocznych wyjść, ani tylnego, ani nawet okna w kamiennych, grubych na trzy piędzi murach, ani żadnych drzwi zapadowych w prawie tak samo potężnym stropie i posadzce.

Wysoki, milczący Slewjas, złodziejski mistrz kandydat, oraz gruby, o rozbieganych oczkach Fissif, złodziej drugiej klasy, za dzisiejszą akcję promowany do pierwszej ze sprawnością utalentowanego oszusta, niczym się jednak nie przejmowali. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Każdy w swojej sakiewce miał zasznurowany mniejszy woreczek z kamieniami tylko pierwszej wody, bowiem nieprzytomnemu od pobicia i chrapiącemu teraz donośnie pod swym dachem Jengao należało znów pozwolić, ba, na Jengao należało chuchać i dmuchać, żeby znów doprowadził interes do rozkwitu, i tym samym dojrzał do kolejnego skubania. Tak głosiło chyba najpierwsze przykazanie Gildii Złodziejskiej: nigdy nie zabijaj kury znoszącej żółte jajka z rubinowym żółtkiem czy też białe z brylantowym białkiem.

Obaj złodzieje mieli również błogą świadomość, że z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wracają prościutko do domu, nie do żony, uchowaj Artho! – i nie do rodziców ani do dzieci, brońcie wszyscy Bogowie! – lecz do Domu Złodzieja, koszar i głównej kwatery wszechpotężnej Gildii będącej im obu tak ojcem, jak i matką, chociaż kobieta nie mogła przekroczyć stojącego wiecznie otworem portalu przy ulicy Taniej.

Mimo że za całą broń każdy z nich miał jedynie sztylet o srebrnej rękojeści – regulaminowy nóż złodzieja, właściwie używany tylko w rzadkich pojedynkach i porachunkach na własnym podwórku, bardziej oznaka przynależności do bractwa niż bojowy oręż – to dodatkowo krzepiła złodziei na duchu myśl o towarzyszącej im nader silnej obstawie trzech zaufanych i strasznych zbirów wynajętych z Bractwa Morderców – jednego daleko w przodzie na szpicy, pozostałych dwóch jako straż tylna i zarazem główna siła uderzeniowa daleko w tyle, bez mała poza zasięgiem wzroku, bo człowiek mądry nigdy nie rzuca się w oczy z takim konwojem, a

przynajmniej tak uważał Krowas, Wielki Mistrz Gildii Złodziejskiej.

I jakby tego wszystkiego nie było dosyć, żeby Slewjas i Fissif poczuli się jak u pana Boga za piecem, w cieniu północnego krawężnika deptał im po piętach mały, trochę pokraczny, a w każdym razie nieco wielkogłowy stwór, który mógł ująć za małego pieska, niewyrośniętego kota lub za bardzo dużego szczura. Poufale, a nawet opiekuńczo dopadał niekiedy ich stóp w obcisłych pantoflach z wołoku, ale zaraz zmykał czym prędzej w najgłębszy cień. Fakt, że ten ostatni anioł stróż budził mieszane uczucia. Właśnie w tej chwili, niecałe dwie dwudziestki kroków za posesją Jengao, mały Fissif wyprężył się, idąc kawałek drogi na palcach i jak najwyżej wyciągając grube wargi, cichutko szepnął do długiego płatka Slewjasowego ucha:

–Cholernie nie lubię, jak mnie obskakuje ta parszywa żywiola Hristomila, choćby nie wiem jaka była z niej obstawa. Nie dość, że Krowas najmuje – kto wie, czy nie ze strachu – czarownika wyjątkowo podejrzanego, jeśli nie wręcz strasznej sławy i postaci, to jeszcze ta parszywa...

–Zamknij dziób! – jeszcze ciszej syknął Slewjas. Fissif wzruszył ramionami i umilkł, i z większym niż miał to w zwyczaju zapalem i niepokojem zajął się rzucaniem spojrzeń na prawo i lewo, głównie zaś przed siebie.

Kawałek drogi na wprost, dokładnie tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Dukatów, na wysokości pierwszego piętra ponad Mamony przechodziła galeria, łącząca dwa budynki, które stanowiły nieruchomość sławnych kamieniarzy i rzeźbiarzy Rokkermasa i Slaarga. Same budynki przedsiębiorstwa miały od frontu płyciutkie portyki oparte na przeróżnego kształtu i najrozmaiciej zdobionych, zbytecznie wielkich filarach, więcej dla reklamy niżli wymogów konstrukcji.

Już z drugiej strony galerii dobiegły dwa ciche, krótkie gwizdnięcia – to płatny morderca na szpicy dawał znak, że zbadał możliwe miejsca zasadzki, nie znajdując niczego podejrzanego, i że ulica Dukatów jest pusta.

Umówiony sygnał bynajmniej nie uspokoił Fissifa w pełni. Prawdę mówiąc, gruby złodziej lubił przeżywać niepokój czy nawet lęk, przynajmniej do pewnych granic. Strach dławiący pod pokrywką spokoju przyprawiał go o znacznie większy dreszcz podniecenia niż przygodna rozkosz z kobietą. Zatem wyteżał oczy, z największą uwagą przepatrując wykusze i portyki spółki „Rokkermas i Slaarg” w smogu rozrzedzonych sadzy, podczas gdy pozornie leniwy, lecz wcale nie opieszwały krok obu złodziei przybliżał je coraz bardziej.

Na tę stronę galerii wychodziły trzy małe okienka, przedzielone trzema dużymi niszami, w których stały – też dla reklamy – trzy gipsowe posągi naturalnej wielkości, przez lata słoty i smogu nieco nadgryzione i okryte ciemną szarzyzną wszelkiej maści. Jeszcze przed włamaniem w drodze do Jengao Fissif zanotował je w pamięci,

rzuciwszy szybkie, lecz wszechogarniające spojrzenie przez ramię. Teraz wydawało mu się, że w prawej figurze zaszła jakaś nieuchwytna zmiana. Posąg przedstawiał średniego wzrostu mężczyznę w opończy z kapturem i z założonymi rękami, który spogląda z góry w zadumie. Nie, nie tak znowu nieuchwytna – obecnie posąg miał jakby jednoliciej szarą opończę, kaptur i twarz, jakby nieco ostrzejsze kontury, mniej nadgryzione zębem czasu, i Fissif mógłby niemal przysiąc, że mężczyzna zmałał! Ponadto na ziemi dokładnie pod niszą wałały się szare i naturalnej bieli okruchy gruzu, których – jak pamiętał – nie było tutaj poprzednio. Wyteżył pamięć, czy w ferworze włamania, podczas duszenia żwawego lamparta, bijatyki i tak dalej, niestrudzony czatownik w zakątku jego umysłu przypadkiem nie zanotował huku w oddali – teraz był przekonany, że tak. Oczyma bujnej wyobraźni Fissif za każdym posągiem widział już jakieś otwory lub nawet drzwi, przez które można silnym pchnięciem zwalić figurę na przechodniów, konkretniej na jego własną osobę i Slewjasa, sam zaś pomysł wypróbowano, zwalając pierwszą figurę, po czym zastąpiono ją niemal bliźniaczą kopią. Będzie je miał wszystkie trzy na oku przechodząc dołem ze Slewjasem. Łatwo przyjdzie uskoczyć, jeśli tylko któraś zacznie się przechylać. Czy ma odepchnąć Slewjasa na bok, gdy to nastąpi? Należało się nad tym zastanowić.

Bez chwili wytchnienia przeniósł z kolei swą zdwojoną uwagę na portyki i filary. Te ostatnie – grube i wysokie prawie na sześć łokci – były rozmieszczone w nieregularnych odstępach, jak również nieregularnie uformowane i kanelowane, bowiem hołdujący awangardzie Rokkermas i Slaarg kładli w formie nacisk na niedopowiedzenie, przypadek i niespodziankę. Niemniej zaalarmowanemu już w najwyższym stopniu Fissifowi nagle jakoś za dużo zrobiło się tej ich niespodzianki, zwłaszcza że od kiedy ostatnio tedy przechodził, pod portykami przybył jeden filar. Nie potrafił wskazać palcem owego przybłądy, ale dałby głowę, że taki tu stoi.

Podzielić się swymi podejrzeniami ze Slewjasem? Tak, i znowu zasłużyć na sykliwą reprimendę i pogardliwy błysk niedużych, pozornie ospałych oczu.

Dochodzili już do galerii. Zerknąwszy w górę na prawą postać, Fissif zauważył dalsze niezgodności z zapamiętaną figurą. Niewątpliwie niższa, jakoś bardziej prężna się w pionowej postawie, chmura zaś wyrzeźbiona na jej ciemnoszarym czole była nie tyle chmurą filozoficznej zadumy, co szyderczej pogardy i pychy zadufanego w sobie rozumu.

Ani jeden z trzech posągów nawet nie drgnął, kiedy wkraczali pod galerię. Za to coś innego spotkało Fissifa w owym momencie. Jeden z filarów łypnął ku niemu okiem.

Szary Kocur – tak bowiem Mysz zwał się teraz na użytek Iwriany i własny – wykonał w prawej niszy w tył zwrot, odbił się w górę, chwycił za gzyms, bezszelestnie wskoczył na płaski dach i znalazł się po drugiej stronie akurat w chwili, gdy para złodziei wychodziła spod galerii. Bez wahania dał susa w dół, wyprostowany jakby

połknął pikę, zelówkami butów ze szczurzej skóry biorąc na cel wymoszczone sadłem łopatki niższego złodzieja, jednak z maleńkim wyprzedzeniem biorąc również poprawkę na swój czas lotu i dwa złodziejskie kroki.

Rzuciwszy przez ramię jedno spojrzenie do góry w momencie skoku Kocura, wysoki złodziej wyciągnął nóż, ale nie kiwnął palcem, aby odepchnąć czy odciągnąć Fissifa z drogi frunącej ku niemu ludzkiej strzały. Kocur w locie wzruszył ramionami. Powaliwszy grubasa, będzie po prostu musiał prędzej załatwić drągala.

Szybciej, niż można było sądzić po jego tuszy, Fissif nagle okręcił się na pięcie i wrzasnął piskliwym głosem:

–Sliwikin!

Buty ze szczurzej skóry łupnęły złodzieja w sam splot słoneczny. Przypominało to lądowanie na puchowej poduszce. Kocur wężowym skrętem ciała wyminął pierwsze pchnięcie Slewjasa, poszedł saltem w przód i równocześnie z głuchym „bum” czaszki grubasa o kocie łby spadł na nogi już z dobytym sztyletem w dłoni, gotów iść na noże z wysokim złodziejem.

Ale nie było to potrzebne. Ze szklanym spojrzeniem małych oczek Slewjas też padł na ziemię.

Jeden z filarów skoczył naprzód, wlokąc za sobą suty płaszcz. Odrzuciwszy ogromny kaptur, ukazał długie włosy i twarz młodzieńca. Muskularne ramiona wynurzyły się z długich, przepastnych rękawów, stanowiących uprzednio kapitel kolumny, a wielka pięść na końcu jednego z ramion zadała Slewjasowi straszny, zwalający z nóg cios pod brodę.

Fafhrd i Szary Kocur stanęli oko w oko ponad parą rozciągniętych bez czucia złodziei. Gotowi do walki, na moment zastygli w bezruchu. Podświadomie dostrzegali w sobie nawzajem coś znajomego. Fafhrd rzekł:

–Chyba przyświecają nam te same cele.

–Chyba? Nie może być inaczej! – burknął Kocur, groźnym wzrokiem mierząc jakże ogromną postać domniemanego przeciwnika, który o głowę górował nad wysokim złodziejem.

–Mówisz?

–Mówię: „Chyba? Nie może być inaczej!”

–Jakiś ty kulturalny – zauważył Fafhrd nader uprzejmym tonem.

–Kulturalny? – podejrzliwie spytał Kocur, mocniej ścisnąwszy swój sztylet.

–Żeby w ogniu walki dbać o dobór słów – wyjaśnił Fafhrd.

Nie tracąc Kocura z pola widzenia, zerknął w dół. Spojrzeniem powędrował od sakiewki u pasa jednego z powalonych złodziei do sakiewki u pasa drugiego. Wreszcie z szerokim rozbrajającym uśmiechem podniósł wzrok na Kocura.

–Pół na pół? – zaproponował.

Po krótkim wahaniu Kocur wsunął sztylet do pochwy i przyklasnął.

–Stoi! – Z nagłą uklęknął i palcami chwycił za sznurówkę sakiewki Fissifa. – Bierz Sliwikina.

Naturalną kolejną rzeczy przyjęli, że gruby złodziej w potrzebie wzywał po imieniu kompana. Nie podnosząc oczu znad sakiewki, przy której też klęknął, Fafhrd wtrącił:

–Była z nimi ta... fretka. Gdzie się podziała?

–Nie fretka – lakonicznie odparł Kocur. – To była marmozeta!

–Marmozeta... – Fafhrd zadumał się. – To taka mała tropikalna małpka, prawda? Cóż, niech będzie marmozeta, ale odniosłem dziwne wrażenie...

Bezgłośny atak z dwóch stron, który omal ich nie zmiotł w tym momencie, tak naprawdę nie zaskoczył ani Fafhrda, ani Kocura. Obaj oczekiwali tej napaści, tylko wyleciało im to z głowy pod wpływem zaskoczenia wspólnym spotkaniem.

Trzej najemni mordercy uderzający na nich w zgranym tercecie, dwaj z zachodu, jeden ze wschodu, wszyscy z mieczami wzniesionymi do ciosu, przyjęli, że para rzezimieszków będzie uzbrojona co najwyżej w noże i równie bojaźliwa czy przynajmniej ostrożna w starciu wręcz jak przeciętni złodzieje i rabusie. Zatem to oni zostali zaskoczeni i popadli w zakłopotanie, gdy z błyskawiczną młodzieńczą szybkością Kocur i Fafhrd zerwali się, dobyli przeraźliwie długich mieczy i plecami do siebie stawili im czoło.

Pchnięcie mordercy ze wschodu o włos minęło lewy bok Kocura, który niedbale zasłonił się kwartą. Natychmiast zaripostował. Z kolei jego rozpaczliwie uskakujący do tyłu przeciwnik sparował kwartą. Ledwie zwalniając, sztych długiej, wąskiej głowni Kocura opadł pod zasłonę z delikatnością dygającej księżniczki i zaraz skoczył naprzód i nieco w górę, wyciągając Kocura w wypadzie o wiele – zdawało się – za długim jak na kogoś tak małego, i przechodząc pomiędzy dwiema łuskami obszytego żelazem kaftana mordercy, i pomiędzy jego dwoma żebrami, i przez serce, wyszedł przez plecy, jak gdyby to wszystko było kremowym ciastkiem.

Stawiając tymczasem czoło dwóm naraz mordercom z zachodu, Fafhrd zmiótł na bok ich niskie pchnięcia nieco szerszymi, zbijającymi ku dołowi zastłonami sekundą i niską primą, po czym poderwał swój miecz, długi jak rapier Kocura, lecz cięższy, tnąc przez szyję prawego przeciwnika i na pół odrąbując mu głowę. Następnie cofnął się szybko o krok i złożył do zadania pchnięcia drugiemu. Całkiem niepotrzebnie. Cieniutki wężyk zakrwawionej stali wystrzelił mu zza pleców i ciągnąc za sobą szarą rękawicę i ramię przeszył ostatniego mordercę identyczną estokadą, jaką Kocur zaaplikował pierwszemu.

Dwaj młodzieńcy otarli i wsunęli miecze do pochew, Fafhrd z góry na dół przejechał po swoim płaszczu otwartą dłonią i wyciągnął rękę. Ściągnąwszy rękawiczkę, Kocur uściśnił wielką prawicę w swej muskularnej dłoni. Bez słowa przyklękli i dokończyli grabieży obu nieprzytomnych złodziei, chowając małe woreczki z klejnotami. Naoliwioną, a potem suchą chustą Kocur pobieżnie starł z twarzy przyciemniającą lepką mieszaninę sadzy i popiołu, po czym szybko zwinął obie chusty i wpakował je z powrotem do sakiewki. Następnie, jedynie po pytającym spojrzeniu Kocura na wschód, pośpiesznie odmaszerowali w kierunku wybranym przez Slewjasa z Fissifem i ich obstawę. Rozejrzawszy się na skrzyżowaniu, minęli ulicę Dukatów i dalej podążyli Mamony na wschód, zgodnie z zapraszającym gestem Fafhrda.

–Mam kobietę w „Złotym Minogu” – wyjaśnił.

–Zabierzmy ją i spotkajmy się z moją dziewczyną w domu – zaproponował Kocur.

–W domu? – uprzejmie zagadnął Fafhrd jedynie z najłżejszym cieniem niewiary w głosie.

–Zamglony Zaulek – sam z siebie zdradził Kocur. „Srebrny Węgorz”?

–Na tyłach. Wypijemy po kielichu.

–Zahaczę jakąś flachę. Napitku nigdy nie jest za dużo.

–Fakt. Nie wnoszę sprzeciwu.

Parę domów dalej, kilkakrotnie zerknąwszy ukradkiem na nowego przyjaciela, Fafhrd oświadczył z przekonaniem:

–Myśmy się już widzieli.

Kocur błysnął zębami w uśmiechu.

–Plaża u stóp Gór Głodowych?

–Zgadza się! Byłem wtedy chłopcem pokładowym u piratów.

–A ja uczniem czarodzieja.

Fafhrd zatrzymał się, ponownie wytarł dłoń w płaszcz i wyciągnął ją.

–Nazywam się Fafhrd. Ef, a, ef, ha, er, de.

Kocur ponownie odwzajemnił uścisk.

–Szary Kocur – rzekł odrobinę wyzywająco, jak gdyby prowokował do próby zadrwienia z tego przydomka. – Wybacz, ale jak ty to właściwie wymawiasz? Faf... herd?

–Po prostu Faf... erd.

–Dzięki.

Ruszyli dalej.

–Szary Kocur, hę? – bąknął Fafhrd. – Ładnie, złowiłeś sobie dwa szczury tej nocy.

–Nie da się ukryć. – Kocur wypiął pierś i zadarł głowę. I wnet komicznie marszcząc nos i uśmiechając się półgębkiem, przyznał:

–Bez trudu miałbyś tego drugiego. Ukradłem go, żeby się popisać, że tak szybko. Poza tym, byłem podekscytowany.

Fafhrd parsknął śmiechem.

–Mnie to mówisz? Myślisz, że ja przysnąłem?

Później, gdy mijali ulicę Alfonsów, spytał:

–Dużo czarów nauczyłeś się od swojego czarodzieja?

Po raz drugi Kocur zadarł głowę. Rozdawszy nozdrza i opuściwszy kąciki ust, zaczerpnął tchu do pozerskiej, chełpliwej fanfaronady. Lecz po raz drugi stwierdził, że marszczy nos i uśmiecha się półgębkiem. Co u licha jest w tym wielkoludzie, że jakoś odbiera chęć odegrania normalnej bufonady?

–Tyle, by sobie poparzyć palce przy tej niebezpiecznej zabawie. Chociaż bawię się w to jeszcze od czasu do czasu.

Fafhrd zadawał sobie podobne pytanie. Przez całe życie nie ufał niskim ludziom, wiedząc, że jego wzrost budzi w nich gwałtowną zawiść. Ale ten łebski mały koleś dziwnie przypadł mu do serca. Nie w ciemną bity, a i szermierz zawołany. Wznosił modły do Kosa, by przypadł Vlanie do serca.

Na północno-wschodnim rogu Mamony i Ladacznic wolnopalna pochodnia w osłonie złoconej obręczy rzuciła jeden snop światła do góry w gęstniejący, czarny, nocny smog, a drugi snop w dół na kocie łby przed progiem tawerny. Spośród cieni w drugi snop światła wkroczyła Vlana, piękna w obcisłej czarnej sukni z aksamitu i w czerwonych pończochach, za całe ozdoby mając w srebrnej pochwie sztylet o srebrnej głowicy i czarną sakiewkę w srebrnej pleciance, zawieszoną na prostym, czarnym pasku.

Fafhrd przedstawił Szarego Kocura, który z szarmancką galanterią złożył Vlanie uniżony, dworny ukłon. Vlana zmierzyła go śmiałym spojrzeniem, po czym obdarowała zdawkowym uśmiechem. Pod pochodnią Fafhrd otworzył maleńki woreczek odebrany wysokiemu złodziejowi. Vlana zerknęła do środka. Obłapiła Fafhrda ramionami, mocno uściśnęła i ucałowała namiętnie w usta. Następnie wrzuciła klejnoty do sakiewki na swym pasku. Kiedy to wszystko dobiegło końca, Fafhrd oznajmił:

–Słuchajcie, ja skoczę po flaszeczkę. Opowiedz jej, Kocurze, o naszej przygodzie.

Wyszedł ze „Złotego Minoga”, taszcząc cztery gąsiorki w zagięciu lewej ręki i ocierając usta wierzchem prawej dłoni. Vlana posłała mu kose spojrzenie. Wyszczrzył do niej zęby. Kocur cmoknął wargami na widok butli. Ruszyli ulicą Mamony na wschód. Fafhrd wyczuwał, że kose spojrzenie zarobił nie tylko za butle i perspektywę idiotycznej męskiej popijawy. Kocur taktownie wysforował się naprzód pod pretekstem wskazywania drogi. Kiedy jego sylwetka już tylko majaczyła niby plama w coraz gęstszym smogu, Vlana szepnęła zgryźliwie:

–Dwóch złodziei z Gildii kładziecie jak kłody na ziemi, i ty nie podrzynasz im gardeł?

–Zabiliśmy trzech morderców – zaprotestował Fafhrd tytułem usprawiedliwienia.

–Nie mam na pieńku z Bractwem Morderców, lecz z tą parszywą Gildią Złodziejską. Ślubowałeś mi, że przy najmniejszej okazji...

–Vlano! Nie mogłem dopuścić, aby Szary Kocur uznał mnie za rozhisteryzowanego amatora, za złodziejską hienę żądną krwi.

–Ty już bardzo liczysz się z nim, nieprawdaż?

–Być może uratował mi życie dzisiejszej nocy.

–No więc on oświadczył, że od ręki poderżnąłby im gardła, gdyby tylko wiedział, jak bardzo mi na tym zależy.

–Chciał być po prostu miły dla ciebie.

–Może tak, a może nie. Lecz ty wiedziałeś i nie...

–Vlano, zamknij się!

Miał koso, spojrzała z wściekłą furią i niespodziewanie wybuchła szalonym śmiechem, po którym już za chwilę został jedynie uśmiech na wargach rozedrganych jak do płaczu, ale opanowała i płacz, i uśmiechnęła się z większą czułością.

–Wybacz mi, ukochany – powiedziała. – Pewnie myślisz, że jestem wariatką, co i mnie samej czasami przychodzi do głowy.

–Wcale nie jesteś wariatką – rzekł szorstko. – Pomyśl lepiej o zdobytych przez nas klejnotach. I bądź miła dla naszych nowych przyjaciół. Strzel sobie kielicha i odpręż się. Zamierzam pohulać tej nocy. Zarobiłem na to.

Skinęła głową i uwiesiła się jego ramienia po trosze na znak pojednania, a po trosze dla wygody i psychicznego oparcia. Przyspieszyli kroku, żeby dogonić mglistą sylwetkę daleko w przodzie.

Skręciwszy w lewo, Kocur powiódł ich pół bloku ulicą Tanią w kierunku północnym do miejsca, w którym węższa uliczka odchodziła od niej znowu na wschód. Czarna mgła w uliczce wyglądała jak ściana węgla.

–Zamglony Zaułek – objaśnił Kocur.

Fafhrd kiwnął głową, że wie.

–Zamglony to zbyt słaba, zbyt prozaična nazwa dzisiejszej nocy – powiedziała Vlana śmiejąc się niepewnie, a w jej głosie wciąż kryły się nutki hysterii. Nagle chwycił ją duszący kaszel. Łapiąc dech, wysapała: – Niech szlag trafi nocny smog Lankhmaru! Co za piekielne miasto!

–To z powodu sąsiedztwa Wielkich Słonych Błot – wyjaśnił Fafhrd.

I rzeczywiście miał tu sporo racji. Leżące w depresji pośród Błot, Morza Wewnętrznego, rzeki Hlal i pół nawadnianych zasilanymi przez Hlal kanałami, miasto Lankhmar ze swoim mrowiem kominów było ofiarą mgieł i smolistych smogów. Nie dziwota, że mieszkańcy obrali czarną togę na strój galowy. Niektórzy dowodzili, że pierwotnie toga była biała czy też beżowa, lecz natychmiast robiła się czarna od sadzy, narzucając konieczność częstego prania, tak że oszczędny suzeren zatwierdził i nadał urzędową moc temu, co natura i cywilizacja zadekretowały pospołu.

Gdzieś w połowie drogi do ulicy Przewoźników, po północnej stronie zaułka wyłoniła się oberża. Rozwartogęby, wężokształny stwór z białej blachy wisiał wysoko jako

szyld z grzebieniem sadzy na grzbiecie. Pod nim minęli drzwi zaciągnięte kotarą z wyszmelcowanej skóry, której szczelinami wypływał na zewnątrz zgiełk, pulsujący blask pochodni i alkoholowe wyziewy.

Zaraz za „Srebrnym Węgorzem” Kocur wprowadził ich w atramentowoczarny pasaż przy wschodniej ścianie oberży. Musieli iść gęsiego i po omacku, dotykając chropawych, mgłą zaślimaczonych cegieł, i trzymając się blisko siebie.

–Uwaga na kałużę! – ostrzegł Kocur. – Głęboka jak Morze Zewnętrzne.

Pasaż był tu szerszy. Z góry spływał w czarną mgłę odblask pochodni, pozwalając im rozeznąć się z grubsza w otoczeniu. Wysoki mur bez okien dalej szedł z prawej strony. Z lewej, ciasno wklejony w tyły „Srebrnego Węgorza”, górował posępny, koślawy budynek z pociemniałej cegły i szerniałego ze starości drewna. Sprawiał wrażenie opustoszałej rudery, dopóki Vlana i Fafhrd z zadartymi głowami nie spojrzeli ku mansardzie na trzecim piętrze pod strzępami rynny dachowej, gdzie złotawy blask obrysował wątlymi nićmi trzy okna i przesiewał złote gwiazdki przez ich gęste kraty. Na wprost, niczym daszek nad „T” całej tej przestrzeni, biegła wąziutka uliczka.

–Zaulek Szkieletów – oznajmił Kocur odrobinę podniosłym tonem. – Przeważem go Aleją Gnoju.

–Wonieje niezgorzej. – Vlana pociągnęła nosem.

Do oświetlonej mansardy wiodły zewnętrzne, drewniane schody bez poręczy, drabiniaste, strome i obwisłe. Kocur uwolnił Fafhrda od gąsiorków i rączo pomknął na górę.

–Proszę za mną, gdy stanę pod drzwiami – zawołał. – Chyba wytrzymają wasz ciężar, jednak lepiej wchodźmy po kolei.

Fafhrd delikatnie pociągnął Vlanę ku schodom. Po następnym wybuchu zabarwionego histerią śmiechu i odpoczynku na kolejny atak duszności i kaszlu w połowie schodów, dotarła do otwartych już drzwi, z których biła złota łuna, by zaraz utonąć w nocnym smogu. Kocur oczekiwał jej leciutko opierając dłoń o wielki, kuty w żelazie hak do wieszania lampy, pusty i mocno osadzony w kamiennym fragmencie muru. Odchylił się w bok i wpuścił Vlanę za próg.

Idąc w jej ślady, Fafhrd stawiał stopy tuż przy murze i tylko patrzył, czego tu się złapać. Całe schody złowrogo trzeszczały, a każdy stopień trochę mu się ugiął pod nogą. Blisko szczytu jeden siadł zupełnie i pękł z głuchym trzaskiem na wpół zbutwiałego drewna. Fafhrd miękko niczym kot rozciągnął swoje ciało na jak największej ilości stopni, klnąc siarczyście.

–Nie denerwuj się, gąsiorki są już w bezpiecznym miejscu – radośnie zawołał z góry Kocur.

Z nieco kwaśną miną Fafhrd pokonał resztę schodów na czworakach, na czworakach przelazł próg i dopiero za drzwiami stanął na nogi. Dech mu niemal zaparło ze zdumienia. Tak jakby ścierając z taniego pierścionka patynę, nagle odkrył w tombaku tęczowo-płomienny, najczystszy brylant. Bogate, kapiące od srebrnych i złotych haftów draperie pokrywały ściany dokoła, z wyjątkiem okratowanych okien przy czym kraty też były złożone. Podobne, tylko ciemniejsze tkaniny zawieszono u sufitu tworzyły przepyszny firmament, na którym cętki złota i srebra lśniły niczym gwiazdy. Mrowie świec płonęło na niskich stolikach pośród mnóstwa puchatych poduch. Na półkach pod ścianami świece piętrzyły się w równiutkich stertach jak maleńkie polana obok licznych zwojów pergaminu, amfor, flaszek i emaliowanych szkatulek. Zwierciadło z polerowanego srebra wieńczyło niziutką toaletkę zarzuconą kosmetykami i biżuterią. W ogromnym kominku stał mały, metalowy piecyk elegancko poczerniony i z kunsztownie zdobionym popielnikiem. Przy piecyku poskładano cienkie żywiczne drzazgi o rozszczepionych końcach – do podpałki, dalej miotełki z krótkimi trzonkami, ścierki, drobne, krótkie bierwiona i połyskliwe czarny węgiel – wszystko w równie schludnych stertach.

Powleczone złotolitą narzutą szerokie łoże o karłowatych nóżkach i wysokim wezglowiu zajmowało niewielkie podwyższenie opodal kominka. Na łożu siedziała wiotka, blada, delikatna piękność w przetykanej srebrną nicią, fioletowej sukni z ciężkiego brokatu, zapiętej w pasie srebrnym łańcuszkiem. Śnieżny wąż dał skórę na jej białe pantofelki. Srebrne szpile upinające jej wysoki czarny kok miały główki z ametystów. Biała gronostajowa pelerynka otulała jej ramiona. Panna wychylona w przód, z widocznym zażenowaniem i łaskawością wyciągała wąską, białą, trochę roztrzęsioną rękę do klęczącej przed nią Vlany, która skłaniając głowę i przesłaniając baldachimem połyskliwych, kasztanowych włosów podaną sobie dłoń, ujęła ją delikatnie i przyłożyła do swych warg.

Fafhrd był wniebowzięty, że jego dziewczyna tak umie się znaleźć w tej wyraźnie cudacznej, choć zarazem uroczej sytuacji. Podziwiając czerwoną pończochę na wysuniętej daleko w tył, długiej nodze klęczącej na jednym kolanie Vlany, zauważył długowłose, puszyste, wielobarwne dywany, najwspanialsze kobierce, jakie przywożono z Krain Wschodu, rozścielone po całej podłodze podwójną, potrójną, a nawet poczwórną warstwą. Bez namysłu wymierzył kciuk w Szarego Kocura.

–Tyś jest Kobiercokradem! – oświadczył z mocą. – Tyś jest Demonem Dywanów! I Woskowym Wampirem na dodatek! – ciągnął, czyniąc aluzję do dwóch serii tajemniczych kradzieży będących na ustach całego Lankhmaru, kiedy zawitał tu z Vlaną miesiąc temu.

Kocur z kamienną miną wzruszył ramionami, lecz nagle wyszczerzył zęby w

uśmiechu, mrugnął okiem i puścił się w zaimprovizowany taniec, przelatując w płasach i podskokach po pokoju, aż zaszedłszy od tyłu, zręcznie ściągnął Fafhrdowi z pochylonych pleców jego obszerny płaszcz z długimi rękawami i kapturem, strzepnął okrycie, starannie zwinął i odłożył na poduszkę.

Po długiej chwili wahania panna w fiolecie wolną dłonią nerwowo poklepała złotogłów obok siebie i Vlana z zachowaniem należytego dystansu przysiadła koło niej, po czym obie kobiety rozpoczęły przyciszoną pogawędkę, której duszą była Vlana, aczkolwiek nie rzucało się to w oczy.

Kocur zdjął, poskładał i ceremonialnie ulokował swą szarą opończę przy płaszczu Fafhrda. Odpasane miecze rychło poszły w ślady płaszcza i opończy. Bez broni i obszernych okryć wyglądali teraz jak dwa młokosy o beztroskich twarzach i gładko wygolonych policzkach, obaj smukli, pomijając wypukłości mięśni ramion i łydek Fafhrda, jeden z długim, rudozłotym włosom spadającym mu aż na plecy, odziany w brązowy kaftan ze skóry wzmocnionej miedzianym drutem, drugi ciemnowłosy, krótko i prosto ostrzyżony, w szarym kaftanie z jedwabnego rypsu. Uśmiechnęli się jeden do drugiego. Obopólne wrażenie, że jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stali się z mężczyzn wyrostkami, przydało ich uśmiechom odrobinę zakłopotania. Kocur odchrząknął i w lekkim ukłonie, ale nie spuszczać oczu z Fafhrda, rozstawionymi palcami dłoni wskazał w kierunku złotego łoża i rzekł ze swadą, co prawda zająknawszy się na wstępie:

–Fafhrdzie, zacny przyjacielu, pozwól, że cię przedstawię mojej księżniczce. Najdroższa Iwriano, racz przyjąć łaskawie Fafhrda, z którym dzisiejszej nocy oparci o siebie plecami pokonaliśmy w boju trzech przeciwników.

Nieco przygarbiony, muskając grzywą rudozłotych włosów gwiazdzisty firmament powały, Fafhrd zbliżył się i wzorem Vlany uklęknął przed Iwrianą. Ujmując ofiarowaną mu wąską, na pozór już opanowaną dłoń, wyczuł, że wciąż wstrząsa nią drżenie. Zmieszany trzymał tę dłoń, jakby była utkana z babiego lata białych pajaków, i ledwie musnąwszy ją wargami, wybąkał parę komplementów. Nie podejrzewał, przynajmniej nie w tej chwili, że Kocur jest równie, o ile nie jeszcze bardziej niż on zdenerwowany i właśnie modli się z całej siły, aby Iwrianą nie przeszarżowała w roli księżniczki i nie wyrządziła afrontu gościom, aby nie dostała ataku dreszczy lub spazmów, ani nie uciekła mu w ramiona czy do drugiego pokoju, ponieważ z wyjątkiem dwóch papużek nierozłączek świergolących w srebrnej klatce zawieszanej z drugiej strony nad kominkiem, Fafhrd i Vlana były to dosłownie pierwsze dwie żywe istoty spośród wszelkiego żywego stworzenia – ludzi i zwierząt, wolnych i niewolników – kiedykolwiek sprowadzone czy zaproszone do komfortowego gniazdka, jakie usłał dla swojej arystokratycznej bogdanki. Mimo wrodzonej bystrości i świeżo nabytej dawki cynizmu Kocurowi nigdy nie przyszło do głowy, że nikt inny tylko on sam niedorzecznie choć uroczo rozpuszczając Iwrianę, robi puchową pannę, a może nawet malowaną lalę z dzielnej duchem i zaradnej dziewczyny, która cztery miesiące

temu uciekła z nim z ojcowskiej izby tortur.

Wreszcie uśmiech zagościł na twarzy Iwriany, Fafhrd delikatnie uwolnił jej dłoń i ostrożnie wrócił na miejsce, a Kocur odetchnąwszy z ulgą, wyjął dwa srebrne pucharki i dwa srebrne kubki, zupełnie zbytecznie przetarł wszystkie jedwabnym ręcznikiem, starannie wybrał butelkę fiołkowego wina, puścił oko do Fafhrda, zamiast wybranej butelki odkorkował jeden z gąsiorków przyniesionych przez Człowieka Północy, napełnił cztery lśniące naczynia po brzegi i wręczył każdemu osobiście. Odchrząknąwszy ponownie na wstępie, ale już bez śladu zająknięcia, wniósł toast:

–Za mój jak dotąd najbogatszy lankhmarski łup, który muszę, chcąc nie chcąc, dzielić pół na pół... – nie mógł się oprzeć nagłemu impulsowi -...z tym oto długowłosym, barbarzyńskim, dzikim wielkoludem!

I wychylił w ćwierci kubek przyjemnie palącego wina wzmocnionego wódką. Fafhrd wypił do połowy, po czym odpowiedział również toastem:

–Niech żyje najbardziej chełpliwy, najmilszy, cywilizowany krasnolud, z jakim kiedykolwiek miałem przyjemność dzielić się łupem.

Wlał w gardło resztę wina i pokazując białe zęby w szerokim uśmiechu, podstawił Kocurowi pusty kubek. Kocur nalał mu, dołał sobie, odstawił kubek i przystąpiwszy do Iwriany, sypnął jej na podolek kamienie z małej, ściągniętej Fissifowi sakiewki. W tym nowym, pozazdroszczenia godnym miejscu, zamigotały niby maleńkie zlewisko wszystkich kolorów tęczy.

Iwriana szarpnęła się do tyłu, dygocąc i niemal zrzucając klejnoty z kolan, ale została łagodnie ujęta za ramię i powstrzymana przez Vlanę, która z gardłowym westchnieniem podziwu i zachwytu pochyliła się nad kamieniami, z wolna podniosła zazdrosne oczy na pobladłą dziewczynę i dość natarczywie chociaż z uśmiechem coś jej tam szeptała do ucha.

Fafhrd zdał sobie sprawę, że Vlana gra komedię i to gra nie tylko dobrze, lecz i skutecznie, na co od razu wskazywały gorliwe przytakiwania Iwriany, po chwili już pogrążonej w wymianie szeptów. Na jej prośbę Vlana otworzyła inkrustowaną srebrem szkatułkę z błękitnej emalii i wspólnie przełożyły drogie kamienie z podołka Iwriany na błękitny aksamit wyściółki. Położywszy szkatułkę przy sobie, Iwriana dalej gawędziła z Vlaną.

Sącząc małymi łydkami drugi kubek, Fafhrd leniwie, za to gruntowniej niż za pierwszym razem, rozglądał się po otoczeniu. Olśniewające piękno tej tronowej sali w ruderze, bajecznie barwny przepych zwielokrotniony przez kontrast z mrokiem i błotem, szlamem i zbutwiałymi schodami, i Aleją Gnoju tuż pod progiem, wszystko to przy bliższym wejrzeniu zbladło, ukazując ruinę i rozkład pod powłoką wspaniałości.

Tu i ówdzie czarne, przegniłe, a także rozeschnięte i splekane drewno wyzierało spod draperii, roztaczając również mdlące, wiekowe wyziewy stęchlizny. Usłana kobiercami podłoga siadła, obniżywszy swój środek przynajmniej na piędź. Wielki czarny karaluch schodził po złotych nitkach draperii, a jego brat bliźniak wlaził na łożo. Pasma nocnego smogu wciskały się przez okiennice, tworząc zwiewne, czarne esy-floresy na tle pozłoty. Obsunęły się niektóre z kamiennych., oskrobanych i pociągniętych lakierem płyt w ogromnym kominku, inne całkiem odpadły, a ze spoin pomiędzy nimi wyleciała większość zaprawy.

Kocur rozniecał ogień w piecyku. Buchającą żółtym płomieniem, przypaloną od żarnika drzazgę wepchnął do samego końca, czarnymi drzwiczkami przesłonił długie języki ognia, drzwiczki zamknął na haczyk i odszedł od kominka. Jakby czytając w myślach Fafhrda, wziął kilka kadzidlanych zniczy, zapalił w żarniku i rozstawił po pokoju w błyszczących, płytkich, mosiężnych miseczkach, przy okazji rozdeptując karalucha, a jego bliźniaka chwytając i miażdżąc o nasadę zaciśniętej garści. Poutykawszy co szersze szpary w okiennicach jedwabnymi chustami, ujął srebrny kubek i przez moment mierzył Fafhrda bardzo twardym spojrzeniem, jak gdyby tylko czekając na najmniejsze słówko krytyki tego cudownego, jeśli nawet trochę śmiesznego domku lalki, jaki urządził swojej księżniczce. Po chwili już z uśmiechem podnosił wzorem przyjaciela kubek do ust i obaj przepili do siebie. Wykorzystując konieczność napełnienia pustych kubków, podszedł blisko do Fafhrda. Prawie bez ruszania wargami, wyjaśnił:

–Ojciec Iwriany był księciem. Kiedy zadawał mi śmierć przez rozciąganie kołowrotem, zabiłem go z ławy tortur za pomocą chyba czarnej magii. Był nader okrutny, nawet dla własnej córki, ale co księżę, to księżę, więc ona jest z natury bezbronna i bezradna jak dziecko. Pochlebiam sobie, że utrzymuję ją na bardziej wielkopańskiej stopie niż księżę ojciec z czeredą lokajów i pokojówek.

Zataiwszy gwałtowny sprzeciw wobec takiej postawy i programu, Fafhrd kiwnął głową i odrzekł uprzejmie:

–Niewątpliwie wykroiliście sobie do spółki najczarowniejszy pałacyk, godny zgoła suzerena Lankhmaru, Karstaka Owartamortesa, albo Króla Królów w Tisilinilit.

Od łoża doleciał ich niski kontralt Vlany:

–Szary Kocurze, twoja księżniczka pragnie wysłuchać opowieści o waszych przygodach dzisiejszej nocy. I czy możemy dostać jeszcze wina?

–Tak, Myszo, proszę – zażądała Iwriana.

Usłyszawszy dawny przydomek, Kocur drgnął nieznacznie i zerknął na Fafhrda, który skinieniem głowy wyraził swoją zgodę. Ale gospodarz najpierw nalał

dziewczynom wina. Nie starczyło dla wszystkich, toteż napoczął nowy gąsiorek, a po krótkim namyśle odkorkował wszystkie trzy, stawiając jeden przy łożu, jeden przy Fafhrdzie wyciągniętym już na miękkich jak puch kobiercach, a jeden zatrzymując sobie. Ten wstęp do ciężkiej popijawy Iwriana obserwowała z lękiem w szeroko otwartych oczach, Vlana cynicznie i z odrobiną złości, obie w milczeniu, bez słowa protestu.

Kocur wspaniale opowiedział historię ograbienia rabusiów, obrazowo przedstawiając niektóre wydarzenia i z wielkim talentem koloryzując opowieść – fretko-marmozeta przed ucieczką skoczyła z pazurami do oczu, których jakoś nie dał sobie wydrapać – i tylko dwukrotnie mu przerwano. Przy słowach: „...i świst i gwizd mego Skalpela...” Fafhrd zauważył:

–O, czyżbyś przezwał również swój miecz?

Kocur zeszywniał.

–Owszem, a sztylet nazywam Kocim Pazurem. Nie podoba ci się? Zakrawa na dziecinadę?

–Nic podobnego. Mój miecz nazywa się Graywand. Wszelki oręż jest w pewnym sensie obdarzony życiem, cywilizowany i godzien imienia. Proszę mów dalej.

I kiedy wspomniał nieokreślone zwierzę hasające w kompanii złodziei (które zaatakowało jego oczy!), Iwriana zbladła i wykrzyknęła z drżeniem:

–Myszo! To na pewno była żywiola czarownicy!

–Czarownika – sprostowała Vlana. – Te tchórzliwe gildyjskie gnojki nie tolerują kobiet, chyba że w roli opłacanych lub gwałconych zaspokoicielek chuci. Ale Krowas, ich obecny król, jakkolwiek przesądny, znany jest z tego, że nie zaniedbuje żadnych środków ostrożności i mógł jak nic wziąć maga na swe usługi.

–To wydaje się wielce prawdopodobne i trwoga przeorywuje mnie do głębi – przytaknął Kocur złowieszczym głosem i z posępnym wejrzeniem. W rzeczywistości za grosz w to nie wierzył, ani nie czuł tego, co powiedział – był mniej więcej tak przeorany jak dziewicza preria, jednak skwapliwie podsycił każdy najmniejszy wzrost napięcia w swoim przedstawieniu. Gdy skończył, dziewczęta o rozognionych i rozkochanych oczach wzniosły toast za spryt i odwagę swoich bohaterów. Kocur uśmiechnięty powiódł roziskrzonym okiem dokoła, po czym utrudzony westchnął, wyciągnął się wygodnie, jedwabną chustką otarł czoło i pociągnął tęgi łyk.

Poprosiwszy Vlanę o pozwolenie, Fafhrd podjął barwną historię ich ucieczki z Zimnego Zakątka – swojej z Klanu, Vlany z aktorskiej trupy – i wspólnej drogi do Domu Aktora przy Placu Zakazanych Zabaw w Lankhmarze.

Iwriana z okrągłymi oczami tuliła się do Vlany, ilekroć wspominał czarnoksiężskie moce i dygotała tyleż, jak sądził, ze strachu, co z zachwytu. W duchu uznawał za całkiem naturalne to zamiłowanie puchowej panienci do opowieści z dreszczykiem, ale ciekaw był, czy sprawiłyby jej równie wielką przyjemność, gdyby wiedziała, że jego upiorne opowieści są najprawdziwsze pod słońcem. Ta mimoza jak gdyby żyła w zaświatach marzeń, niewątpliwie za sprawą Kocura. Z prawdziwych faktów Fafhrd pominął jedynie opętanie Vlany myślą o strasznej zemście na Gildii za męczeńską śmierć współników i za wypłoszenie jej samej z Lankhmaru, kiedy to występując dla niepoznaki w pantomimie, spróbowała uprawiać złodziejski fach na własną rękę. Naturalnie, nie wspominał też o własnym – głupim, jak myślał teraz – zobowiązaniu do wzięcia udziału w tej krwawej rozprawie.

Na koniec otrzymał należny mu poklask, a chociaż zaprawiony w sztuce skalda, to jednak odkrył suchość w gardle, które należało czym prędzej przepłukać, co z kolei doprowadziło go do odkrycia, że kubek ma pusty tak jak i gąsiorek, i że kropelka po kropelce, z każdym wypowiedanym, pełnym werwy słowem musiał chyba wygadać z siebie cały trunek, skoro ani trochę nie ma w czubie.

W podobnej sytuacji znalazł się Kocur i też nie miał w czubie, aczkolwiek przed odpowiedzią na jakieś pytanie bądź przed zabraniem głosu popadał w tajemniczą zadumę i długo spoglądał w siną dal. Po pewnej szczególnie długiej kontemplacji sinej dali tym razem zaproponował, żeby Fafhrd potowarzyszył mu do „Węgorza” w celu odświeżenia zapasów.

–Przecież zostało jeszcze mnóstwo wina w naszym gąsiorku – zaprotestowała Vlana. – No, może nie mnóstwo – poprawiła się. Potrząsnęła butlą, ale nic nie zachlupotało. – Poza tym, masz tu wina wszelkiego rodzaju.

–Nie tego rodzaju, duszko, a pierwsze przykazanie mówi: nie mieszaj. – Kocur pogroził palcem. – Taka zabawa jest niezdrowa i dla ciała, oj, jak niezdrowa, i dla ducha.

–Moja droga – Vlana ze współczuciem pogładziła dłoń Iwriany – podczas każdej dobrej zabawy nadchodzi taka chwila, kiedy wszyscy mężczyźni, którzy są prawdziwymi mężczyznami, po prostu muszą gdzieś wyjść. Czysta głupota, ale taka już ich natura i my jej nie zmienimy, zapewniam cię.

–Ale ja się boję, Myszo. Wystraszyła mnie opowieść Fafhrda. Twoja też... zaraz po waszym odejściu usłyszę za okiennicą drapanie tej wielkogłowej, czarnej, szcurzej żywioly, wiem, że usłyszę!

Fafhrd mógłby przysiąc, że ona wcale nie boi się, tylko znajduje przyjemność w straszaniu samej siebie i w okazywaniu władzy nad ukochanym.

–Duszko – rzekł Kocur – całe Morze Wewnętrzne, cała Kraina Ośmiu Miast i na dodatek całe Góry Trollich Schodów w ich niebotycznej glorii dzielą cię od zimnych zjaw Fafhrda, czy – wybaczysz mi przyjacielu, ale to możliwe – jego halucynacji pomieszanych ze zbiegiem okoliczności. A popluć na żywioły! Zawsze były to jedynie obrzydliwe, aż nazbyt naturalne pod każdym względem pieszczochy starych bab i zbabiałych staruchów, i nic ponad to.

–Do „Węgorza” jeden krok, pani Iwriano – wtrącił Fafhrd – no i zostanie przy tobie moja najukochańsza Vlana, która celnym rzutem sztyletu, jaki widzisz u jej pasa, zabiła największego z moich przeciwników.

Co za sposób na uspokojenie wystraszonej dziewczyny! – mówiło nie trwające dłużej niż mgnienie oka, piorunujące spojrzenie Vlany, ale jej głos zabrzmiał wesoło:

–Niech sobie głuptasy idą, moja kochana. Poplotkujemy tymczasem jak dziewczyna z dziewczyną, nie zostawiając na nich suchej nitki, od tych swędzących stóp po zaparowane winem głowy.

I tak Iwriane przekonano, a Kocur z Fafhrdem wymknęli się, prędko zamykając drzwi, żeby nie naszło nocnego smogu. W pokoju wyraźnie było słyhać ich kroki na schodach, spieszne, jakby kogoś gonili. Wiekowe drewno skrzypiało i jęczało za ścianą, ale nie doleciał ani trzask stopnia, ani odgłos innego nieszczęścia.

Oczekując na wyniesienie czterech gąsiorków z piwnicy, dwaj nowo poznani przyjaciele zamówili po kubku tej samej winogorzałki lub podobnie wzmocnionego wina i zamelinowali się w najmniej gwarnym kącie przy długim szynkwasiu hałaśliwej tawerny. Kocur zręcznie wymierzył kopniaka szczurowi wysuwającemu czarny łeb i łapy ze swej dziury. Kiedy już pogratulowali sobie wzajemnie dziewcząt, Fafhrd nieśmiało zagadnął:

–Tak między nami, czy twoja urocza Iwriana nie miała czasem odrobiny racji, że owo małe czarniawe stworzenie ze Sliwikinem i tamtym drugim złodziejem z Gildii, to mogła być żywioła czarownika, a przynajmniej jego sprytny pupil, wytresowany do przekazywania wieści swojemu panu bądź Krowasowi, albo im obu?

Kocur uśmiechnął się lekceważąco.

–Wszędzie widzisz upiorki – małe białe myszki nonsensu, nie obrażając cię, mój drogi bracie barbarzyńco. Imprimis, skąd pewność, czy bydlątko w ogóle ma coś wspólnego ze złodziejami Gildii. Równie dobrze mógł to być bezdomny kociak lub olbrzymi, bezczelny szczur – jak ten diabeł! – Kopnął ponownie. – Ale, secundus, zakładając, że to służka najemnego czarownika Krowasa, w jaki sposób może toto złożyć przydatny meldunek? Nie wierzę w gadające zwierzęta, z wyjątkiem papug i im podobnych ptaków, które jedynie... papugują, i nie wierzę w zwierzaki

porozumiewające się z ludźmi na migi. A może widzi ci się żywiola, która macza swoją łapciowatą łapę w kałamarniu i z zawijasami kaligrafuje po rozłożonym na podłodze pergaminie? Hej, szynkarzu! Gdzie moje gąsiorki? Szczury zjadły chłopaka wysłanego po nie wieki temu? Czy zuch po prostu padł z pragnienia na swym piwnicznym szlaku? Pogoń młodziana, a nam tymczasem jeszcze raz do pełna! Nie, Fafhrdzie, nawet przyjmując, że zwierzak jest pośrednio czy bezpośrednio na usługach Krowasa, i że po naszej bijatyce pognął co tchu do Domu Złodzieja, cóż on mógł im przekazać? Tyle tylko, że coś nie wyszło z włamaniem do Jengao, co tak czy owak wkrótce by odgadli po coraz większym spóźnieniu złodziei i najemników.

Fafhrd zmarszczył czoło.

–Niemniej jednak – powiedział z uporem – ten futerkowy szpicel mógł jakoś opisać mistrzom Gildii nasz wygląd, mogli nas tam rozpoznać i obstawić nasze domy. Albo opisali nas Sliwikin ze swym grubym kołosem, ocknąwszy się po zebranych cięgach.

–Przyjacielu mój drogi – z ubolewaniem rzekł Kocur – wybac mi raz jeszcze, ale podejrzewam, że to mocne wino zamąciło ci w głowie. Gdyby Gildia знаła nasze rysopisy lub miejsce zamieszkania, mielibyśmy ją na karku wiele dni, tygodni – gdzież tam – wiele miesięcy temu. Bo też może i nie wiesz, że za kradzież na własny rachunek, czy nawet bez zlecenia, Gildia wymierza karę nie lżejszą niż śmierć, najchętniej po uprzednich torturach, o ile to możliwe.

–Wiem o tym wszystkim, a w dodatku jestem w gorszym położeniu niż ty – odparł Fafhrd i zobowiązawszy Kocura do tajemnicy, opisał mu wendetę Vlany przeciwko Gildii i śmiertelnie poważne rojenia dziewczyny o wszechobejmującej zemście. W trakcie tej opowieści dostarczono z piwnicy cztery zamówione gąsiorki, lecz Kocur kazał ponownie napełnić gliniane kubki.

–I tak oto – kończył Fafhrd – po ślubowaniu, jakie złożył zakochany i naiwny chłopak w południowym zakątku Zimnych Pustkowi, znajduję się jako trzeźwy teraz – no, może akurat nie teraz – mężczyzna pod gradem nieustannych nagabywań, żebym wydał wojnę siłom równym potędze Korstaka Owartamortesa, bo jak wiesz zapewne, Gildia ma filie we wszystkich wielkich miastach i większych miasteczkach tego kraju, nie mówiąc już o klauzulach ekstradycji w umowach ze złodziejskimi i rozbójniczymi stowarzyszeniami krajów ościennych. Kocham Vlanę z całego serca, niech nie będzie co do tego wątpliwości, i nie wiem, czy bez jej złodziejskiego doświadczenia przeżyłbym mój pierwszy tydzień w Lankhmarze, ale dziewczyna ma bzik na tym jednym punkcie, niczym ciasny supeł mózgu, nie do rozplatania ani logiką, ani perswazją. Ja zaś, no cóż, mnie już po miesiącu zaświtało w głowie, że jedyny sposób na życie w cywilizacji, to przestrzegać jej niepisanych reguł gry – o wiele ważniejszych, niż prawa ryte w kamieniu – i łamać je tylko na własne ryzyko, w najgłębszej tajemnicy i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Tak jak dzisiejszej nocy – nie pierwszy to mój rabunek, nawiasem mówiąc.

–Certe porywać się wprost na Gildię byłoby szaleństwem, w tym przypadku twój rozum jest bez zarzutu – rzekł Kocur. – Skoro nie możesz swemu nader pięknemu dziewczęciu wybić tego obłąkanego pomysłu z głowy ni groźbą, ni prośbą – a widzę, że jest nieustraszona i uparta – nie pozostaje ci nic innego, jak odrzucić najmniejszą nawet prośbę z tym związaną.

–Certe nie pozostaje – przytaknął Fafhrd, dodając z niejaką pretensją: – Chociaż tyś jej, o ile wiem, powiedział, że z ochotą poderżnąłbyś gardła ogłuszonej parze.

–Zwykła uprzejmość, chłopie! Chciałbyś, abym poskąpił uprzejmości twojej dziewczynie? To dowodzi, jak wielką miarę już wtedy przykładałem do twojej kurtuazji. A sprzeciwić się kobiecie może tylko jej mężczyzna. Jak ty musisz w tym przypadku.

–Certe muszę – powtórzył Fafhrd z wielkim naciskiem i przekonaniem. – Byłbym idiotą, zadzierając z Gildią. Jeśli wpadnę, to i tak mnie, rzecz jasna, zabiją za złodziejstwo bez przynależności. Lecz napadać wprost na Gildię dla zabawy, zabijając bez potrzeby jakiegoś złodzieja Gildii, żeby tylko pokazać, że potrafię – to czyste szaleństwo!

–Mało, że byłbyś zapijaczonym, zaplutym idiotą, to najwyżej w trzy dni jak amen w pacierzu jechałoby od ciebie ową cesarzową chorób – śmiercią. Złośliwe ataki na swych ludzi, uderzenia w samą organizację, Gildia odplaca dziesięciokrotnością kary za łamanie innych reguł. Wszystkie zaplanowane rabunki i kradzieże zostałyby odwołane, a wszystkie siły Gildii i jej sojuszników zmobilizowano by przeciwko tobie jednemu. Daję ci raczej większe szansę przy starciu w pojedynkę z zastępami Króla Królów, niż przeciwko subtelnemu ramieniu sprawiedliwości Gildii Złodziejskiej. Zważywszy twoje rozmiary, siłę i rozum, można cię chyba uznać za drużynę, a nawet kompanię, ale przecież nie armię. Zatem bez najmniejszych ustępstw Vlanie na tym jednym polu.

–Bez ustępstw! – wyrzucił z siebie Fafhrd pełnym głosem i twardą jak żelazo dłoń Kocura uścisnął z niemal miażdżącą siłą imadła.

–Winniśmy już wracać do dziewcząt – zauważył Kocur.

–Jeszcze po jednym przy zapłacie. Hej, chłopcze!

–Przednia myśl. – Kocur zapuścił palce w sakiewkę, chcąc płacić, lecz Fafhrd gwałtownie zaprotestował. W końcu rzucili monetę i Fafhrd wygrał, z ogromną satysfakcją i brzękiem wykładając srebrne smerduki na poplamiony i porysowany szynkwias, znaczony mnóstwem okrągłych śladów po kubkach, jak gdyby służył kiedyś za deskę kreślarską jakiemuś obłąkanemu geometrze.

Dźwignęli się, a Kocur obdarzył szczurzą dziurę ostatnim pożegnalnym kopniakiem

na szczęście, sprowadzając tym myśl Fafhrda do punktu wyjścia.

–Przyjmując, że zwierzątko nie pisze łapą i nie gada pyskiem ani łapą, mimo wszystko mogło śledzić nas z pewnej odległości, zapamiętać twoją siedzibę, wrócić do Domu Złodzieja i jak ogar doprowadzić tu swoich panów!

–Oto znów przemawia przez ciebie bystry rozum – rzekł Kocur. – Hola, chłopcze, wiadro cienkiego piwa na wynos! Ino migiem! Rozleję je przed „Węgorzem” – wyjaśnił, zauważając niewyraźną minę Fafhrda – i w całym pasażu, aby zabić nasz zapach. Ochlapie też wysoko ściany.

Fafhrd mądrze pokiwał głową.

–Już mi się zdawało, że zostawiłem rozum na dnie kubka.

Pogrążone po uszy w rozmowie Vlana z Iwrianą podskoczyły, słysząc na schodach łomot rozpędzonych kroków. Większego rumoru chyba nie narobiłyby ścigające się behemoty. Skrzypiało i trzeszczało niesamowicie i dwa stopnie pękły z hukiem, ale dudniące kroki nie zwolniły ani na chwilę. Przez gwałtownie otwarte drzwi obaj kawalerowie wpadli razem z nocnym smogiem w kształcie kapelusza ogromnego grzyba, któremu nagle trzaśnięcie drzwiami odcięło czarny korzeń.

–Mówiłem ci, że migiem wrócimy – radośnie zawołał Kocur do Iwriany, podczas gdy Fafhrd nie zważając na trzaski podłogi, przemierzył pokój z okrzykiem:

–Serce ty moje, jak okrutnie stęskniłem się za tobą!

I mimo głośnych protestów opędzającej się od niego dziewczyny porwał ją, wyściskał i wycałował siarczyście, i posadził z powrotem na łożu. Dziwne, ale to Iwriana wyglądała wówczas na zagniewaną bardziej od Vlany uśmiechającej się czule jakkolwiek nieco nieprzytomnie.

–Panie Fafhrdzie – przemówiła śmiało, wsparłszy malutkie piąstki na wąskich biodrach i dumnie unosząc głowę, gdy tymczasem jej ciemne oczy miały błyskawice – nasza kochana Vlana opisywała mi właśnie niewypowiedziane okrucieństwa, jakich wobec niej i najbliższych przyjaciół dopuściła się Gildia Złodziejska. Proszę mi wybaczyć szczere słowa do kogoś dopiero poznanego, ale uważam, że to zupełnie nie po męsku z pana strony odmawiać kobiecie prawa do w pełni zasłużonej i upragnionej, sprawiedliwej pomsty. A dotyczy to ciebie też, Myszo, chełpiący się przed Vlaną czego to byś dokonał, gdybyś o tym wiedział, chociaż potrafiłeś bez skrpułów zabić mojego rodzzonego – czy może domniemanego – ojca za podobne okrucieństwa.

Fafhrd nie miał żadnych złudzeń, że kiedy beztrosko popijali z Szarym Kocurem w „Węgorzu”, Vlana wprowadziła Iwrianę w bezspornie krwawe powody swojej

nienawiści do Gildii, cynicznie wygrywając romantyczne i naiwne uczucia egzaltowanej panienki i jej wysokie mniemanie o rycerskim honorze. Nie miał też żadnych złudzeń, że Iwriana jest zupełnie przyzwoicie wstawiona. Na niskim stoliku widział opróżnioną w trzech czwartych butlę fiołkowego wina z dalekiej Kirei. Jednak nie przychodziło mu na myśl nic, jak tylko bezradnie rozłożyć wielkie ręce i niżej, niż tego wymagał niewysoki sufit, spuścić głowę w krzyżowym ogniu piorunujących spojrzeń obu kobiet. W końcu one miały rację. Dał słowo.

Zatem to Kocur pierwszy podjął próbę obrony.

–Wolnego, Myszko – zawołał wesolutko w prędkiej krzątanie po pokoju, zdążywszy już upchać jedwabiem kolejne szpary, przegarnąć żar i podłożyć do piecyka – i ty również, przepiękna panno Vlane. Od miesiąca Fafhrd bije złodziei Gildii tam, gdzie ich najbardziej boli – w dyndające pomiędzy nogami mieszki. A okradać złodzieja z łupów, to jakby kopać go z całej siły w jądra. To większy ból, możecie panie mi wierzyć, niż przy okradaniu go z życia szybkim, niemal bezbolesnym cięciem czy sztychem miecza. Dzisiejszej nocy dopomogłem Fafhrdowi w zbożnym dziele i z ochotą uczynię to ponownie. A teraz napijmy się.

Wprawnie odbił nowy gąsiorek i dwojąc się i trojąc napełniał srebrne kielichy i kubki.

–Zemsta liczykrupy – z pogardą odpaliła Iwriana ani na krztę łaskawsza, a nawet rozeźlona od nowa. – Ja wiem, że w głębi serca prawi i szlachetni z was rycerze, mimo wszystkich obecnych potknięć. Musicie przynajmniej dostarczyć Vlane głowę Krowasa.

–I co ona z nią zrobi? Do czego przyda się głowa, poza tym, że powala dywany? – jęknął Kocur, natomiast Fafhrd ochłonawszy wreszcie, przyklęknął na jedno kolano i rzekł z namaszczeniem:

–O wielce czcigodna pani Iwriano, prawdą jest, że uroczyście ślubowałem dopomóc mej ukochanej Vlane w zemście, ale wówczas przebywałem jeszcze w barbarzyńskim Zimnym Zakątku, gdzie rodowa zemsta to rzecz powszechna, uświęcona zwyczajami i uznana przez wszystkie klany, plemiona i bractwa dzikich Ludzi Północy zamieszkujących Zimne Pustkowia. W mej naiwności uważałem, że zemsta Vlany podlega tym samym prawom. Lecz tutaj w sercu cywilizacji odkryłem, że wszystko jest na opak, a prawa i zwyczaje wywrócone do góry nogami. Niemniej – zarówno w Lankhmarze jak i w Zimnym Zakątku – człowiek, jak się okazuje, musi przestrzegać praw i zwyczajów, aby pozostać przy życiu. Panuje tu wszechmocny pieniądz, najwyżej wyniesiony bożek, któremu wszystko jedno, czy ktoś na niego pracuje w pocie czoła, kradnie, uciska innych czy szachruje. Tu wendeta i zemsta są wyjęte spod wszelkich praw i karane srożej niż dzika żądza krwi... Zważ, pani Iwriano, że jeśli z Kocurem przyniosę Vlane głowę Krowasa, będę zmuszony natychmiast

opuścić z Vlaną Lankhmar, wszystkich mając przeciwko sobie, ty zaś nieuchronnie utracisz ten baśniowy zamek wzniesiony z miłości Kocura do ciebie, i oboje będziecie zmuszeni pójść w nasze ślady, dzieląc los pary żebraków, ścigani po kres waszych dni na ziemi.

Pięknie to było pomyślane, pięknie wyrażone... i zupełnie na nic. Fafhrd jeszcze nie skończył, gdy Iwriana złapała i osuszyła do dna swój przed chwilą napełniony puchar. Rumieniec okraślił jej blade policzki, stanęła wyprężona jak żołnierz i jadowicie rzekła do klęczącego przed nią Fafhrda:

–Rachujesz koszty! Prawisz mi o rzeczach – machnięciem ręki skwitowała wielobarwny splendor wokół siebie – o marnym majątku, niechby i najkosztowniejszym, kiedy tu idzie o honor. Dałeś Vlane słowo. Och, czyżby cała rycerskość zniknęła ze świata? Mówię również o tobie, Myszo, bo przecież przysięgałeś, że poderżnąłbyś dwóm parszywym złodziejom Gildii ich nędzne gardła.

–Nie przysięgałem. Ja tylko powiedziałem, że poderżnąłbym – słabo zaprotestował Kocur, po czym wlał w siebie zdrowy łyk, podczas gdy Fafhrd zdołał jedynie wzruszyć ramionami i zżymając się w duchu, gołnął na uspokojenie ze swego kubka. Albowiem Iwriana mówiła teraz tym samym złotoustym tonem i używając tych samych nieuczciwych a rozdzierających serce kobiecych argumentów, jakich użyłaby jego matka Mor, lub Mara, porzucona kochanka i wybrana małżonka ze Śnieżnego Klanu, już pewnie z brzuchem jak bęben od jego dziecka.

Mistrzowskim pociągnięciem Vlane spróbowała łagodnie osadzić Iwrianę z powrotem na jej złotogłowiowym tronie.

–Daj spokój, kochana – wstawiła się za nimi. – Szlachetnie bronisz mnie i mojej sprawy, i zapewniam cię, że moja wdzięczność nie ma granic. Twoje słowa ożywiły we mnie wzniosłe, piękne uczucia, obumarłe przez tyle długich lat. Lecz spośród nas tylko w twoich żyłach płynie błękitna krew, posłuszna najszczytniejszym ideałom. My troje jesteśmy prostymi złodziejami. Czy to takie dziwne, że niektórzy z nas przedkładają bezpieczeństwo nad honor i dotrzymywanie słowa, i z przesadną ostrożnością wolą nie ryzykować życiem? Tak, jesteśmy trójką złodziei i ja zostałam przegłosowana. Proszę zatem, nie mów już więcej o honorze i brawurze, tylko siądź i...

–Masz na myśli, że i jeden, i drugi boi się rzucić rękawicę Gildii Złodziejskiej, nieprawdaż? – Iwriana szeroko otworzyła oczy i obrzydzenie wykrzywiło jej buzię. – Zawsze myślałam, że mój Mysz jest najpierw wielkim panem, a dopiero potem złodziejem. Złodziejstwo nic nie znaczy. Mój ojciec żył ze złodziejstwa, bezlitośnie łupiąc bogatych podróżnych i mniej od siebie potężnych sąsiadów, przez co nie przestał być szlachcicem. Och, wy jesteście tchórze, jeden z drugim! Zajęcze serca! – Przeniosła gorejące zimną wzgardą spojrzenie z Kocura na Fafhrda.

Ten nie zdzierzył dłużej. Skoczył na równe nogi, twarz mu poczerwieniała, pięści zacisnął u boków, zupełnie nieświadom brzęku strąconego kubka ani złowieszczych trzasków dobytch z obwisłej podłogi tym gwałtownym skokiem.

–Nie jestem tchórzem! – wrzasnął. – Wejdę do Domu Złodzieja i przyniosę ci głowę Krowasa, i cisnę ociekający krwią łeb Vlanie pod nogi. Klnę się na Kosa, boga wyroków losu, na pożółkłe kości Nalgrona, mego ojca, i na ten oto jego miecz Graywand u mego boku!

Grzmotnął w lewe biodro, a nie zmacawszy nic prócz poły kaftana i z konieczności zadowolając się gestem, wskazał roztrzęsioną ręką na swój miecz złożony w pochwie na wierzchu starannie zwiniętego płaszcza, a potem chwycił kubek, chlusnął sobie wina i wypił do dna.

Szary Kocur zaniósł się rozradowanym, wysokim i melodyjnym śmiechem. Wszyscy wlepili w niego oczy. Przypląsał do boku Fafhrda, roześmiany od ucha do ucha.

–Czemu nie? – zapytał. – Kto tu boi się złodziejasków z Gildii? Komu tu napędzi strachu takie śmiesznie łatwe zadanie, skoro każde z nas wie, że wszyscy oni z Krowasem i jego rządzącą ferajną pod względem umysłowym i fizycznym nie dorastają do pięt mnie i obecnemu tu Fafhrdowi? Akurat przyszedł mi do głowy cudownie prosty i niezawodny pomysł na przetrząśnięcie Domu Złodzieja od piwnic po dach. Chwat Fafhrd i ja natychmiast wprowadzimy ten pomysł w czyn. Idziesz ze mną, Człowieku Śniegu?

–Jasne, że idę – odburknął Fafhrd, gorączkowo przy tym rozważając rodzaj szaleństwa, jakiemu uległ mały człowiek.

–Daj mi parę chwil na zgromadzenie niezbędnych pomocy i już nas nie ma! – zawołał Kocur. Chwyciwszy z półki i rozwinięwszy obszerny worek, zakręcił się po pokoju, pakując na drogę zwoje lin, rolki bandaży, szmaty, słoiczki mazidła, maści i balsamu, i różne rupiecie.

–Ale nie możecie iść teraz w nocy – niepewnym głosem zaprotestowała Iwriana, blednąc raptownie. – Obaj jesteście... w nieodpowiednim stanie do wyjścia.

–Obaj jesteście ululani – szorstko rzekła Vlana. – Ululani jak bąki i w takim stanie nie znajdziecie w Domu Złodzieja nic, prócz własnej śmierci. Fafhrd, a gdzie twoja chłodna rozwaga, która pozwoliła ci zabić bądź z zimną krwią oglądać śmierć wielkich rywali, zdobyć mnie w Zimnym Zakątku i wyrwać z mroźnych, czarami omotanych czeluści Kanionu Trollich Schodów? Obudź ją! I użycz trochę swemu rozhasanemu szaremu przyjacielowi.

–O nie – odparł Fafhrd przypasując miecz. – Chciałaś mieć głowę Krowasa w kałuży krwi u swych stóp, to będziesz miała, czy ci się to podoba, czy nie!

–Nie tak ostro, Fafhrdzie – wtrącił Kocur, który właśnie przystanął raptownie i mocno ściągał worek rzemieniem. – I wy również nie tak ostro, pani Vlana i moja najdroższa księżniczko. Dzisiejszej nocy przeprowadzam tylko rekonesans. Bez ryzyka zdobędziemy jedynie informacje potrzebne do zaplanowania śmiertelnego uderzenia jutro lub pojutrze. Zatem i bez rąbania głów dzisiejszej nocy, słyszysz, Fafhrdzie? Cokolwiek się zdarzy, naszym hasłem jest „sza”. I włóż swój płaszcz z kapturem.

Fafhrd wzruszył ramionami, ale wykonał polecenie. Iwriana jakby się trochę uspokoiła. Vlana również, chociaż nie ustępowała:

–Wszystko jedno, obaj jesteście pijani.

–Tym lepiej! – zapewnił ją Kocur z obłąkanym uśmiechem. – Trunek spowolnia mężczyźnie ramię i miecz i nieco osłabia jego ciosy, ale w zamian rozplómienia mu rozum i rozpala wyobraźnię, a właśnie takich walorów trzeba nam tej nocy. Poza tym – ciągnął pośpiesznie, aby uciąć jakieś wątpliwości, które wyraźnie pragnęła zgłosić Iwriana – pijani mężczyźni są wyjątkowo ostrożni! Czy nigdy nie widziałyście, jak chwiejny moczymorda bierze się w garść na widok miejskiej straży i jak mija ją rozważnie i na paluszkach?

–Owszem – rzekła Vlana – i jak pada na pysk akurat wtedy, kiedy się z nią zrówna.

–Babskie gadanie! – Zadarłszy głowę, Kocur majestatycznie ruszył w stronę Vlany wzdłuż urojonej linii prostej. Natychmiast potknął się o własną stopę, poleciał w przód, nagle wywinął niewiarygodne salto w powietrzu i równiutko, zupełnie miękko – uginając palce nóg i nogi w kostkach i w kolanach dokładnie we właściwym momencie dla amortyzacji wstrząsu – wylądował tuż przed dziewczętami. Podłoga nawet nie skrzypnęła.

–Widzicie – rzekł prostując się i nieoczekiwanie poleciał w tył. Zawadził piętą o poduszkę z leżącym na niej rapierem i opończą, w gwałtownym piruecie i balansowaniu ustał na nogach, i spiesznie zaczął wdziawać strój do wyjścia.

W tym zamieszaniu Fafhrd spokojnie acz żwawo jął ponownie nalewać wina do kubków sobie i Kocurowi, lecz Vlana spojrzała na niego okiem tak wściekłym, że jeszcze żwawiej – aż mu płaszcz zawirował – odstawił kubki i odkorkowany gąsiorek, wzruszył ramionami z rezygnacją i z krzywą miną, skłonił się Vlanie i wycofał od stolika z trunkami.

Kocur zarzucił worek na plecy i uchylił drzwi. Zdawkowo skinąwszy głową dziewczętom, Fafhrd bez słowa wyszedł na malusieńki podest. Niemal zniknął z oczu w coraz gęstszym smogu. Kocur pomachał Iwrianie czterema palcami.

–Pa, pa, Myszko – zawołał czule i podążył za Fafhrdem.

–Niech los wam sprzyja – żarliwie zawołała Vlana.

–Och, Myszo, uważaj na siebie – wtórowało jej westchnienie Iwriany.

Małeńka przy ogromie Fafhrda figurka Kocura bezgłośnie zamknęła drzwi.

Instynktownie splecione ramionami panny czekały na nieuchronne jęki i poskrzypywania schodów. Czekały i czekały. Nocny smog, który wtargnął po otwarciu drzwi, już zdążył rozpląnąć się po pokoju, a nadal panowała niczym nie zmacona cisza.

–Co oni tam robią za progiem? – szepnęła Iwriana. – Układają plan działania?

Z nachmurzoną miną Vlana niecierpliwie pokręciła głową, wysliznęła się z objęć Iwriany, na palcach dotarła pod drzwi, otworzyła je, również na palcach zesłała po kilku nader żałośnie pojękujących stopniach i wróciła, zatraskując drzwi za sobą.

–Nie ma ich – oznajmiła rozkładając niepewnie ręce, a w jej szeroko otwartych oczach było widać zdumienie,

–Boję się! – szepnęła Iwriana i jednym skokiem dopadłszy przyjaciółki, opasała ją ramionami.

Vlana mocno przytuliła drobniejszą od siebie dziewczynę, następnie jedną uwolnioną ręką zasunęła trzy solidne rygle.

W Zaułku Kości Kocur schował do worka linę z węzłami, po której się spuścili, korzystając z haka na lampę.

–A może zawiniemy do „Srebrnego Węgorza”? – zaproponował.

–I po prostu powiemy dziewczynom, że byliśmy w Domu Złodzieja? – spytał Fafhrd jakoś bez przesadnego oburzenia.

–Och, nie – zaprzeczył Kocur. – Ale przepadł ci strzemienny na górze, i mnie też.

Przy słowie „strzemienny” spojrzął w dół na swoje buty ze szczurzej skóry, potem zgarbił się i puścił drobnym galopem w miejscu, miękko klapiąc zelówkami po bruku. – Wio! – przyspieszył galop, trzepnąwszy wyimaginowanymi wodzami, ale ściągnął je i gwałtownie odchyłony w tył – Prrr! – stanął, kiedy z chytrym uśmiechem Fafhrd wyjął spod płaszcza dwa pełniutki gąsiorki.

–Przykleiły mi się do ręki, że tak powiem, przy odstawianiu kubków. Vlana widzi wiele, lecz nie wszystko.

–Przezorny i dalekowzroczny z ciebie młodzian, na dodatek obdarzony pewną

biegłością w robieniu mieczem – powiedział Kocur z zachwytem. – Jestem dumny, że mogę cię zwać przyjacielem.

Odbili i zdrowo pociągnęli. Następnie pod wodzą Kocura, tylko odrobinę zataczając się i potykając, ruszyli na zachód. Jednak nie do samej ulicy Taniej, lecz skręcając na północ w jeszcze węższą i bardziej cuchnącą uliczkę.

–Zaułek Zarazy – rzekł Kocur.

Strzygąc i strzelając oczyma na prawo i lewo, chwiejnie przebyli skrzyżowanie z szeroką, pustą ulicą Rękodzielników i poszli dalej Zaułkiem Zarazy. O dziwo, jakby się trochę przejaśniało. Na niebie zobaczyli gwiazdy. A przecież nie powiał wiatr z północy. Powietrze było nieruchome jak w grobie. Po pijacku zaprzątnięci swoją misją i samym przebieraniem nogami do przodu, nie obejrzelisi się za siebie. Tam smog zgęstniał jak nigdy.

Kołujący w górze lelek kozodój ujrzałby, jak to czarne paskudztwo spływa ze wszystkich dzielnic Lankhmaru, od północy, ze wschodu, z zachodu i południa, od Morza Wewnętrznego, znad Wielkich Słonych Błot, znad pociętych rowami pół uprawnych i od rzeki Hlal – zewsząd sunie wartkimi, czarnymi strużkami i strugami, wiruje, kłębi się i wzbiera ciemna i dusząca treść miasta, z jego rozpalonych żelaz do piętnowania, z piecyków, palonych ognisk i palonych kości, z kuchennych palenisk, rozpalonych kominków, pieców do wypalania, z kuźni, browarów, gorzelni, płonących śmieci i odpadków, z pracowni alchemików i magów, z krematoriów, z odarniowanych kopców węglarzy, z wszystkich tych i wielu innych ogni... spływa z rozmysłem na Zamglony Zaułek, a zwłaszcza na „Srebrnego Węgorza”, i chyba szczególnie na ruderę z tyłu tawerny, nie zamieszkaną z wyjątkiem poddasza. Im bliżej owego środka, tym smog był gęściejszy, z wirów odrywały się nitki i z kłębów strzępki, i jak czarna pajęczyna lgnęły do krawędzi chropawych kamieni i porowatych powierzchni cegieł.

Jednakże Kocur z Fafhrdem na widok gwiazd wydali tylko bezgłośny okrzyk umiarkowanego zdziwienia, mętnie dumając, na ile poprawa widzialności zwiększy ryzyko całej eskapady, ostrożnie minęli ulicę Myślicieli, przez moralistów zwaną Alejką Ateistów, i dalej podążyli Zaułkiem Zarazy aż do rozwidlenia dróg. Kocur wybrał lewą odnogę w kierunku północno-wschodnim.

–Zaułek Śmierci.

Fafhrd kiwnął głową.

Minęli jeden zakręt w lewo, drugi w prawo, i nagle o trzydzieści kroków przed nimi ukazała się ulica Tania. Kocur od razu przystanął i delikatnie zagroził ramieniem drogę Fafhrdowi.

Po drugiej stronie ulicy Taniej wyraźnie było widać szerokie, niskie, otwarte wejście w portalu z brudnych, kamiennych ciosów. Do wejścia prowadziły dwa kamienne stopnie i wyżłobione w nich koleiny stuleci. Pochodnie w imadłach rzucały pomarańczowożółty blask w głąb ościeża. Róg Zaułka Śmierci nie pozwalał zapaść spojrzenia zbyt daleko. Na ile jednak pozwalał sięgnąć wzrokiem, nie stał tam ani odzwierzy, ani strażnik, ani w ogóle nikt, choćby pies warujący na łańcuchu. Sprawiało to złowrogie wrażenie.

–Jak włączymy do tej zapowietrzanej stodoły? – ochrypłym szeptem spytał Fafhrd. – Poszukajmy sobie jakiegoś okna do wyważenia na tyłach, w Zaułku Mordów. Chyba masz łomy w tym swoim worku. Czy przez dach? Już odgadłem, że lubisz dachy. Naucz mnie tej sztuki. Ja znam drzewa i góry, śnieg, lód i gołą skałę. Widzisz tę ścianę? – Dał krok w tył, biorąc rozbieg do wspinaczki.

–Nie wygłupiaj się, Fafhrd – powiedział Kocur, nie zdejmując dłoni z szerokiej piersi przyjaciela. – Dach zostawiamy w odwodzie. Tudzież wszelkie ściany. I wierzę ci na słowo, żeś mistrzem wspinaczki. Zaś co do włożenia, to przemaszerujemy prosto przez tę bramę. – Zmarszczył czoło. – A raczej przestukamy i przekuścimy. Chodź, przygotuję nas.

Pociągnął krzywiącego się z powątpiewaniem Fafhrda w głąb Zaułka Śmierci, by nie wypatrzone ich z ulicy Taniej.

–Będziemy udawać żebraków – tłumaczył po drodze – towarzyszy Gildii Żebraczej, którzy są odłamek Gildii Złodziejskiej i mają wspólną ze złodziejami siedzibę, a w każdym razie meldują się żebrakmistrzom w Domu Złodzieja. Nocnego żebrakmistrza ani nocnych straży nie zdziwi, że nie znają z wyglądu dwóch nowych braci, w dodatku z dziennej zmiany.

–Ale my nie wyglądamy na żebraków – zaproponował Fafhrd. – Żebrak jest okryty paskudnymi wrzodami i wszystkie członki musi mieć pokręcone, albo nie mieć ich wcale.

–Zaraz się tym zajmiemy – Kocur z chichotem wyciągnął Skalpel. Nic sobie nie robiąc z kroku w tył i czujnego błysku w oczach Fafhrda, z zainteresowaniem obejrzał obnażony, długi, ku sztychowi zwężający się pasek stali, po czym uszczęśliwiony kiwnął głową, odpiął pochwę ze szczerzej skóry, wsunął do niej rapier i wyłowiwszy z worka zwój bandaża, w mgnieniu oka spiralnie owinął szeroką taśmą cały rapier, poczynając i kończąc na rękojeści.

–Proszę! – rzekł wiążąc końce taśmy. – Laskę do stukania już mam.

–Co to jest? – nie wytrzymał Fafhrd. – I po co?

–Po to, że będę ślepy. – Kocur przeszedł parę kroków szurając nogami, macając

wyciągniętą ręką wokół i opukując kocie łby zabandażowanym rapierem – trzymał go za wąsy lub krzyż, a trzon rękojeści z główką krył w rękawie.

–No i jak wyglądam? – spytał zawracając. – Moim zdaniem – wspaniale. Ślepy jak kret, co? Och, nie denerwuj się, Fafhrdzie, opaskę na oczach mam z gazy. Widzę całkiem dobrze. Zresztą nikt w Domu Złodzieja nie musi uwierzyć w moją ślepotę. Przecież tak samo udaje ponad połowa żebraków Gildii. A teraz co zrobimy z tobą? Nie mogę ciebie też oślepić, taki brak umiaru wzbudziłby podejrzenie.

Odkorkował gąsiorek i zaczerpnął natchnienia. Fafhrd dla zasady skopiował wyczyn przyjaciela. Kocur cmoknął wargami.

–Mmm... mam! Stań na prawej nodze, a lewą podwiń w kolanie do tyłu. Stój tak! Nie padaj na pysk! Ani na mnie! Możesz się trzymać mego ramienia. W porządku. Teraz podnieś wyżej lewą stopę. Twój miecz podzieli los Skalpela – jest grubszy i w sam raz pasuje na laskę dla kulawego, Kuśtykając, możesz się wspierać wolną ręką na moim ramieniu – kulawy wiecie ślepego, to zawsze dobre przedstawienie, zawsze wyciska łzę! Wyżej tę cholerną stopę! Nie, nic z tego, po prostu nie dochodzi, trzeba ci ją podwiązać. Ale najpierw odepnij rapcie.

Postąpiwszy z Graywandem tak jak ze Skalpelem, już po chwili przywiązywał Fafhrdowi lewą nogę w kostce do uda, okrutnie zaciągając linę, co ledwie docierało do znieczulonych winem nerwów przyjaciela. W tym czasie Fafhrd łapał równowagę za pomocą swej laski o stalowym rdzeniu, pociągając z gąsiorka i dumając nad czymś głęboko. Od przystąpienia do spółki z Vlaną teatr stał się jego pasją, zaś atmosfera siedliska aktorów rozpałała tę pasję tak dalece, że z zachwytem przystępował do zagrania prawdziwej roli w prawdziwym życiu. Miał jednak wrażenie, że przy całej bez wątplenia genialności, plan Kocura posiada i minusy.

–Kocurze – rzekł – jakoś nie bardzo mi się podobają te zabandażowane miecze, a jeszcze mniej mi się podoba, że nie można ich dobyć w potrzebie.

–Za to można nimi przygrzać jak pałką – odparł Kocur, poświstując przez zęby z wysiłku przy zaciąganiu ostatniego węzła. – Poza tym, zostają jeszcze sztylety. A właśnie, przekręć pas na brzuchu, i schowaj swój kozik pod płaszczem. Podobnie zrobię z Kocim Pazurem. Żebracy nie noszą broni, przynajmniej nie na widoku, a musimy zachować sceniczny realizm w każdym szczególe. Przestań już żłopać, masz dosyć. Mnie samemu brakuje tylko paru łyczków, abym poczuł się jak młody bóg.

–I jakoś nie bardzo mi się podoba włożenie bez jednej nogi do jaskini zbójców. Potrafię zdumiewająco szybko hycać na jednej nodze, to prawda, jednak nie tak szybko, jak biegać na dwóch. Uważasz, że to mądry pomysł?

–Zawsze zdążysz rozciąć sznurek – syknął Kocur odrobinę zły i zniecierpliwiony. –

Jesteś chyba gotów złożyć tę drobną ofiarę na ołtarzu sztuki?

–Niech ci będzie – Fafhrd cisnął na bok osuszony gąsiorek. – Jestem gotów.

–Cerę masz za czerstwą – obrzucił go krytycznym spojrzeniem Kocur. Wysmarował Fafhrdowi twarz i dłonie bladyszczą szminką, a potem czarną dorobił zmarszczki.

–I przyodzievek za schludny.

Zebranych pomiędzy kocimi łbami błotem wysmarował, po czym próbował rozedrzyć płaszcz Fafhrda, ale materiał nie puścił. Wzruszył ramionami, a opróżniony worek wetknął za pas.

–Ty też – zauważył Fafhrd i schyliwszy się na prawej nodze, nabrał sporą garść mazi pełnej – jak wyczuwał palcami i nosem ekskrementów. Z nie małym wysiłkiem dźwigając się, rozprowadził cały ten gnój na płaszczu oraz po szarym kaftanie Kocura. Mały zwęszył smród i zaklął.

–„Realizm sceniczny” – upomniał go Fafhrd. – To dobrze, że śmierdzimy. Żebracy śmierdzą i dlatego, między innymi, ludzie dają im miedziaki – żeby się pozbyć smrodu. No i nikt w Domu Złodzieja nie zapala chęcią do bliższej z nami znajomości. A teraz w drogę, póki mamy wiatr w żaglach.

Mówiąc to, schwycił Kocura za ramię i jak szalony popędził w stronę ulicy Taniej, daleko w przód stawiając swój obandażowany miecz pomiędzy kocie łby i sadząc potężnymi susami.

–Zwolnij, idioto – cichutko zawołał Kocur, który niemal z szybkością łyżwiarza szurał nogami, żeby mu dotrzymać kroku, i jednocześnie pukał swą rapierolaską jak opętany. – Kaleka winien być słabowity – to właśnie budzi litość.

Fafhrd ze zrozumieniem kiwnął głową i nieco zwolnił. Złowieszczo pusta brama zamajaczyła przed nimi. Kocur przechylił gąsiorek, aż zagulgotało mu w gardle, ale nie dopiwszy do dna, zakrztusił się i prychnął winem. Fafhrd wyrwał mu butelkę, osuszył do ostatniej kropelki i cisnąwszy za siebie, roztrzaskał z hukiem.

Wyszurohopsali się na Tanią i prawie natychmiast stanęli, przepuszczając wystrojoną z przepychem parę. Przepych stroju mężczyzny był dyskretny, a sam mężczyzna starszy i tęgawy, tylko rysy miał ostre. Ani chybi – kupiec lokujący kapitał w Gildii, a przynajmniej lokujący w niej haracz, skoro wybrał tę drogę o tak późnej porze. Przepych stroju kobiety był olśniewający, ale nie wulgarny, zaś kobieta piękna i młoda, i wyglądająca na jeszcze młodszą. Kurtyzana pierwszej klasy, bez dwóch zdań.

Z odwróconą twarzą mężczyzna począł obchodzić śmierdzącą, plugawą dwójkę

szerokim łukiem, lecz dziewczyna skręciła prosto na Kocura, a troska w jej oczach narastała jak przyływ oceanu.

–Och, biedny chłopczyk! Niewidomy. Co za nieszczęście – wykrzyknęła. – Daj mi coś dla niego, kochanie.

–Zostaw tych śmierdzieli, Misro, i zjeżdżajmy stąd – warknął jej towarzysz, a raczej zagęgał niewyraźnie, gdyż zatkał sobie nos palcami.

Bez słowa wetknęła białą dłoń do gronostajowej sakiewki kupca, prędko włożyła Kocurowi monetę w otwartą garść, zamknęła mu palce, oburącz ujęła go za głowę i ucałowała namiętnie w usta na odchodne.

–Dobrze opiekuj się małym, staruszkule – rzuciła jeszcze pieszczotliwie Fafhrdowi, podczas gdy ciągnący ją kupiec stłumionym głosem cisnął pod adresem dziewczyny jakieś wyzwiska, z których zrozumieli jedynie „zboczona suka”.

Kocur oderwał zbaraniały wzrok od monety, odprowadzając swoją dobrodziejkę ukradkowym, przeciągłym spojrzeniem.

–Popatrz – w osłupieniu szepnął do Fafhrda. – Złoto. Złota moneta i serce pięknej kobiety. Nie uważasz, że należałoby zrezygnować z naszej pochopnej fanfaronady i na dobre dać nogę do żebraczej trupy?

–Może od razu dawać dupy! – ostro i wulgarnie odparł Fafhrd. Jątrzyło go owo „staruszkule”. – Śmiało naprzód!

Pokonali dwa stopnie i przestąpili próg wyjątkowo głębokiej bramy. Przechodziła w prosty, długi korytarz o wiele wyżej sklepiony, zalany światłem z tu i ówdzie otwartych drzwi i blaskiem z osadzonych w ścianach pochodni, pusty na całej długości aż po zamykające go schody. Ledwie wyszli z niskiego tunelu, gdy poczuli chłód na karkach i ukłucie zimnej stali między łopatkami. Tuż nad uchem dwa głosy unisono rzuciły im komendę:

–Stać!

W zapalonych – i zaproszonych – wzmocnionym winem głowach zostało dość rozumu, aby obaj zastygli na chwilę w bezruchu, a potem bardzo powoli spojrzeli przez ramię w górę.

Z góry, z przepastnej niszy nad samym nadprożem, co wyjaśniało małą wysokość bramy, patrzyły na nich dwie ponure, pokiereszowane, nader szpetne gęby, ukoronowane jaskrawymi chustami na ściągniętych do tyłu włosach. Dwa zgięte w łokciach, węzlaste ramiona szturchały ich z góry mieczami w plecy.

–Wyszło się z południową zmianą, co nie? – rzekła jedna gęba. – Ładne spóźnienie, więc lepiej, żeby i połów był ładny. Nocny żebrakmistrz wziął przepustkę na ulicę Ladacznic. Zameldujcie się Krowasowi. Na Bogów, ale śmierdźcie! Radzę się najpierw oporządzić bo Krowas wyparzy was w ukropie. Spadajcie!

Kocur z Fafhrdem szurnęli i hycnęli najładniej, jak potrafili.

–Spocznij, chłopcy! – krzyknął za nimi strażnik. – Tu nie musicie się zgrywać.

–Przez praktykę do mistrzostwa – odkrzyknął Kocur rozdygotanym głosem.

Palce Fafhrda ostrzegawczo wpiły mu się w ramię. Przyjęli swobodniejszy krok, na ile tylko pozwoliła Fafhrdowi podwiązana noga.

–Bogowie, jakże słodkie jest życie żebraka w Gildii – powiedział do kolegi drugi strażnik. – Co za brak dyscypliny i niski poziom kwalifikacji! Beczko przenajświętsza! A myślałbyś, że dziecko się połapie w tej ich maskaradzie.

–Jasne, że dzieciaki się połapią – odparł kompan. – Ale mamusie i tatusiowie tylko uronią łezkę i miedziaka, albo poczęstują kopniakiem. W codziennej harówce i marzeniach dorośli zatracili poczucie rzeczywistości i ślepną, jeśli nie uprawiają takiej profesji jak złodziejstwo, które niby zwierciadło prawdy zawsze ukazuje właściwy obraz świata.

Odpędziwszy pokusę zadumy nad mądrością tej filozofii, Kocur i Fafhrd pomaszerowali korytarzem czujnie i bez pośpiechu, radzi, że uniknęli bystrych oczu żebrakmistrza – Fafhrd nawet zaczął już podejrzewać, czy Kos od Wyroków Losu nie wiedzie ich czasem prościutko do Krowasa, któremu chyba pisane było odgłowienie tej nocy.

Coraz wyraźniej słyszeli głosy, przeważnie krótkie i urywane zdania i jakieś okrzyki. Z obawy przed wpadką tylko zwalniali odrobinę, mijając kolejno otwarte drzwi, w których najchętniej by przystanęli i popatrzyli na to, co się tam dzieje w środku. Drzwi na szczęście były zwykle szeroko otwarte, więc i tak widzieli niemało. A w salach za drzwiami działy się bardzo ciekawe rzeczy.

W jednej złodziejskie wyrostki ćwiczyły obrabianie sakiewek i mieszkań. Zachodzili nauczyciela od tyłu, a jeśli ten usłyszał szurnięcie bosej stopy albo wyczuł dotyk zapuszczonej dłoni lub, co gorsza, złowił brzęk przy podrzucaniu fałszywej monety z ołowiu – winowajca dostawał baty. Przerabiano też metodę grupową: sztuczny tłok z przodu ofiary, kradzież od tyłu, szybkie przekazanie świśniętych przedmiotów od młodocianego złodziejaska do współnika.

W drugiej, przesyconej buchającymi na korytarz wyziewami metalu i smarów, starsi adepci złodziejstwa zgłębiali teorię i praktykę otwierania zamków. Siwobrody

patriarcha o powalanych smarem dłoniach, kawałek po kawałku rozbierał wyjątkowo skomplikowany zamek na części składowe, prowadząc wykład dla grupy słuchaczy. Inna grupa stanęła chyba do egzaminu z biegłości, szybkości i umiejętności bezgłośnej pracy – zapuszczali wążutkie wytrychy w dziurki zamków połowy tuzina drzwi wstawionych jedno obok drugich w skądinąd bezużyteczne przepierzenie, egzaminator zaś z klepsydrą w dłoni bacznie obserwował ich poczynania.

W trzeciej złodzieje jedli przy długich stołach. Zapachy były smakowite nawet dla osobników opitych jak bąki. Matka Gildia kwitła, sądząc po jej synach.

W czwartej, na usłanej matami podłodze, trenowano rzuty, pady, odskoki, uniki, podcięcia i inne sposoby wykołowania pościgu. Ćwiczyli starsi adeptci. Zdarty jak u starszego sierżanta głos zazgrzytał:

–Nie, nie, i jeszcze raz nie! Nie pryśniesz rodzonej babce paralityczce. Powiedziałem: unik, a nie pad plackiem przed świętą Arthą! No to teraz...

–Małolat wziął smar – zawołał trener.

–Smar, powiadasz? Małolat wystąp! – Zgrzytliwy głos dogonił Kocura i Fafhrda, gdy z niejakim żalem znikali już w głębi korytarza, przekonani, że tracą okazję poznania wielu pożytecznych rzeczy – sztuczek, które mogłyby się przydać jeszcze tej nocy.

–Uwaga, wszyscy! – ciągnął zgrzytliwy głos tak donośnie, że towarzyszył im przez zadziwiająco długi kawał drogi. – Smar ma pewne zalety, ale tylko w nocnej robocie – za dnia się świeci, otrąbiając profesję użytkownika na cały Nehwon! Niestety, zawsze daje złodziejowi zbytnią pewność siebie. Wiara w smar wchodzi ci w krew, aż tu przy wpadce odkrywasz, żeś zapomniał się wysmarować. Ponadto zdradza cię zapach. Tutaj pracujemy tylko na sucho – pominąwszy naturalny pot! – jak zapowiedziano wam wszystkim pierwszej nocy. Skłon, Małolat! Chwyć za kostki. Wyprost kolan.

Kolejne baty i wrzaski bólu, już odległe, bowiem Kocur z Fafhrdem mijali półpiętro schodów w końcu korytarza, Fafhrd na jednej nodze trochę mozolniej, podpierając się na łuku poręczy i obandażowanym mieczu.

Piętro było kopią parteru, ale tak luksusową jak parter ubogi. Z sufitu długiego korytarza zwisały na przemian lampy i zdobione filigranem kadzielnice, mieszając łagodne światło z aromatyczną wonią. Na ścianach bogate draperie, na podłodze puszyste dywany. Pustka jak na parterze, jednak z dodatkiem grobowej ciszy. Fafhrd i Kocur spojrzawszy po sobie, śmiało ruszyli naprzód.

Pierwsze drzwi, otwarte na oścież, ukazały wyludnioną salę, wieszaki pełne garderoby bogatej i lichej, nieskazitelnej i niechlujnej, peruki na stojakach, brody i tym podobne rekwizyty na półkach, liczne ściennie lustra, pod nimi małe zastawione kosmetykami stoliki, przy każdym stołeczek. Najwyraźniej przebieralnia.

Rozejrzawszy się i nadstawiając ucha w jedną i w drugą stronę, Kocur dopadł najbliższego stolika, porwał wielką zieloną butelkę i wyskoczył na korytarz. Odetkał korek i powąchał. Przez zgniło-słodki fetor gardenii przebijały kłujące w nos opary spirytusu. Kocur spryskał sobie i Fafhrdowi gorszą tą wątpliwą perfumą.

–Antidotum na ekskrementy – zatykając butelkę, wyjaśnił napszonym tonem medyka.
– Nie będzie mnie Krowas wyparzał w ukropie. Co to, to nie.

W drugim końcu korytarza wyrosły dwie zmierzające w ich stronę sylwetki. Kocur schował butelkę pod płaszczem, przycisnął ją łokciem do żeber i razem z Fafhrdem ruszył im naprzeciw – obaj w pijanym widzie uznali, że odwrót wyglądałby podejrzanie.

Minęli jeszcze troje masywnych, na głucho zapartych drzwi. Dochodzili do piątych i już widzieli dwóch mężczyzn idących ku nim ramię w ramię, długimi krokami, o wiele szybszymi niż szurohopsanie. Ubrania mieli wielkich panów, lecz gęby złodziei. Na Kocura i Fafhrda patrzyli spode łba oburzonym, a i podejrzliwym spojrzeniem. Wtem skądś, chyba w połowie drogi między obiema parami, czyjś głos zaczął przemawiać słowami dziwnego języka, prędko i monotonicznie, jak to czynią kapłani przy odprawianiu ustalonych obrządków albo pewni czarownicy w swoich inkantacjach.

Dwaj bogato odziani złodzieje zwolnili kroku pod siódmymi drzwiami, zaglądając do środka. Przystanęli jak wryci. Szyje im się wyciągnęły, oczy zrobiły okrągłe. Wyraźnie pobledli. Nagle ruszyli pośpiesznie, prawie biegiem mijając Fafhrda i Kocura, i patrząc na nich jak na powietrze. Inkantacyjny głos dalej wybijał werblowy rytm, nie opuszczając najcichszego uderzenia.

Piąte drzwi zamknięte, szóste otwarte. Muskając nosem ościeże, Kocur wytknął jedno oko. Po czym cały wysunął się i zagapił jak urzeczony, podciągnąwszy czarną przepaskę na czoło, żeby lepiej widzieć. Fafhrd dołączył do niego.

Olbrzymi pokój był, na ile mogli się zorientować, opuszczony i przez ludzi, i przez zwierzęta, za to pełen nader interesujących rzeczy. Całą ścianę na wprost drzwi, od wysokości kolan do sufitu, zajmowała mapa miasta Lankhmaru i najbliższej okolicy. Zaznaczono na niej chyba każdy budynek i ulicę, po najlichszą szopę i najwęższą alejkę. W wielu miejscach widoczne były ślady wymazywań i ponownego nanoszenia, zaś tu i ówdzie maleńkie, barwne hieroglify o zagadkowym znaczeniu.

Posadzka była z marmuru, sufit błękitny, jakby z lapis-lazuli. Boczne ściany prezentowały kolekcję przedmiotów w zamkniętych na kłódki obejmach. Na jednej ścianie wisiały narzędzia złodziejskie wszelkiego typu, od olbrzymiego łomu, którym na oko można by wyważyć wszechświat, a przynajmniej drzwi do skarbcza suzerena, po pręcik tak cienki, że królowej elfów mógłby służyć za różdżkę, z wyglądu sądząc rozkładany teleskopowo i przeznaczony do zdalnego łowienia drogocennych

blyskotek z wyłożonej kością słoniową toaletki stojącej na pajęczych nóżkach w sypialni milady; drugą ścianę zdobiły osobliwe, kapiące złotem i roziskrzone klejnotami przeróżne cacka, najwyraźniej pamiątki, z powodu swej niezwykłości wybrane spośród łupów głośnych kradzieży, od kobiecej maski ze złotej blachy, o rysach i konturach tak pięknych, że aż dech zapierało, lecz gęsto upstrzonej rubinami imitującymi dzioby ospy w stadium gorączki, aż po nóż o główki z klinowatych diamentów osadzonych jeden na drugim, przy czym ten brylantowy brzeszczot ostry był jak brzytwa.

Na stolikach porozstawiano modele domów, przeważnie mieszkalnych oraz innych budynków, wierne, jak się zdawało, po ostatni szczegół, po najmniejszy otwór wentylacyjny przy rynnie dachowej i otwór ściekowy na poziomie gruntu, po rysy i gładkości murów. Wiele przedstawionych w częściowym lub całkowitym przekroju równie szczegółowo pokazywało rozkład pomieszczeń, szaf ściennych, skarbców, korytarzy, ukrytych przejść, kominowych kanałów i przewodów wentylacyjnych.

W samym środku tej sali stał okrągły, niczym nie zawalony stół o blacie zdobionym w szachownicę pól z hebanu i kości słoniowej. Wokół stołu rozmieszczono siedem krzeseł z prostymi oparciami, ale wygodnie wyściełanych, wśród nich jedno zwracające uwagę wyższym oparciem i szerszymi poręczami, zwrócone do mapy – krzesło królewskie, najpewniej tron Krowasa.

Przyciągany z nieprzepartą siłą Kocur, na paluszkach zrobił krok w przód, jednak lewa dłoń Fafhrda, twarda jak żelazna rękawica mingolskiej kolczugi, ucapiała go za ramię i z siłą też nie do odparcia odciągnęła w tył. Z groźną na znak potępienia miną Człowiek Śniegu z powrotem nasunął Kocurovi czarną szmatę na oczy, kciukiem obejmującej laskę prawicy wskazał korytarz na wprost i ruszył w tamtym kierunku nad wyraz akuratnie odmierzającymi, cichymi susami. Rozczarowany Kocur ze wzruszeniem ramion podążył za nim.

Ledwie zawrócili od progu, jeszcze zanim zniknęli przed drzwiami, spoza oparcia najwyższego krzesła wysunęła się z boku głowa ze starannie przystrzyżoną czupryną i z czarną, wypielęgnowaną brodą, odprowadzając ich spojrzeniem głęboko zapadniętych, lecz płomiennych oczu. Następnie giętka jak wąż, długa ręka wysunęła się w ślad za głową, położyła żmijkę palca wskazującego na wargach, nakazując ciszę, po czym ten sam palec kiwnął na czterech czarnobluzych drabów przyklejonych plecami do ściany, po dwóch z obu stron ościeża, ściskających zakrzywione noże w jednej garści, a obciążone ołowiem, czarne, skórzane pałki w drugiej

Fafhrd przebył pół drogi do siódmych drzwi, skąd nieprzerwanie wypływała monotonna i złowieszcza recytacja, gdy wyleciał nimi blady jak płótno, wymoczkowaty niedorostek, który z oczyma okrągłymi od przerażenia przyciskał wąskie dłonie do ust, jak gdyby połykał krzyk lub wymioty, nie wypuszczając tulonej

pod pachą miotły, przez co odrobinę przypominał dziecię czarownicy biorące rozbieg przed odlotem. Śmignął koło Fafhrda i Kocura, a jego żwawe kroki miękko zastukały na dywanie, ostro zadudniły na schodach i umilkły w dali. Fafhrd obejrzał się i skrzywił, wzruszył ramionami, a potem przyklęknął na kolanie podwiązanej nogi i do połowy wychylił twarz zza węgara. Nie zmieniając pozycji, gestem przywołał przyjaciela. Kocur pomalutku wyjrzał jednym okiem tuż nad głową Fafhrda.

Zagląдали do komnaty nieco mniejszej niż poprzednia sala z wielką mapą, oświetloną pośrodku lampami płonącymi sinobiałym, a nie żółtym, jak zwykle, płomieniem. Posadzka była z marmuru o ciemnych barwach i zawilej gmatwaninie żyłek. Na mrocznych ścianach wisiały astrologiczne i antropomantyczne tablice, i przedmioty służące magii, oraz półki, na których stały kryptograficznie opisane porcelanowe słoje, szkliwione flaszki i szklane fiołki najrozmaitszych kształtów, pełne różnokolorowych płynów lub puste. U podnóża ścian, gdzie mrok zalegał najgęstszy, w stertach połamanych i wyrzuconych rupieci, jak gdyby zmiecionych z drogi i zapomnianych, to tu, to tam ziały wielkie, szczurze dziury.

Na samym środku komnaty odcinał się od otaczającej pomroki zalany jaskrawym światłem, długi stół – gruba płyta na wielu grubych nogach. Jej widok przywiódł Kocurowi na myśl stonogę, a potem szynkwasa w „Węgorzu”, gdyż była cała poplamiona i wyżarta od wielokrotnego rozlewania eliksirów, i cała w czarnych, głębokich bliznach oparzelin od ognia bądź kwasu, czy też od jednego i drugiego.

Pośrodku stołu buzował alembik. Płomień lampy – płomień zupełnie siny – utrzymywał stan wrzenia ciemnej, kleistej cieczy w wielkiej kryształowej retorcie. Z gęstej, kipiącej masy, upstrzonej diamentowymi skrami, wyłaziły i przeciskały się przez cienką szyjkę retorty czarniejsze pasma pary, barwiąc dziwnie, bo na jaskrawy szkarłat, przezroczystą czapę pokrywy, a potem już czarne jak smoła spływały wąską rurką do jeszcze większej niż retorta, kryształowej kuli odbieralnika, kłębiąc się w nim i pełzając jak niezliczone zwoje żywego, czarnego powrozu – nie mający końca, wychudzony wąż, czarny jak heban.

Nad lewym końcem stołu górował wysoki, mimo garbu, mężczyzna w czarnej szacie z kapturem ocieniającym, lecz nie kryjącym twarzy, w której najbardziej uderzał długi i gruby, spiczasto zakończony nos, tuż pod nim wysunięte wargi i prawie zupełny brak podbródka. Cerę miał ziemistoszarej barwy gliny, a szerokie policzki wysoko zarośnięte króciutką, siwą szczecinką. Spod cofniętego czoła i krzaczastych brwi bacznie wlepił szeroko rozstawione oczka w pożółkły ze starości pergamin, bez ustanku obracany i przewijany w odrażająco maluśkich, szpotawych dłoniach o wielkich kłykciach i krótkich grzbietach, porośłych siwą szczeciną. Pośpiesznie intonował odczytywane słowa, biegając spojrzeniem tam i z powrotem po linijskich zapisu, niekiedy tylko zerkając kątem oka na alembik.

W drugim końcu stołu, strzelając paciorkowatymi ślepkami to na czarodzieja, to na

alembik, przysiadł mały, czarniawy zwierzak, na którego widok Fafhrd boleśnie wpił palce w ramię Kocura, a Kocurovi niemal zapało dech, bynajmniej nie z bólu. Musiał to być szczur, chociaż nigdy nie widzieli szczura z tak wysokim czołem ani ślepiami tak blisko siebie, szczura, który by co chwila i w gorączkowej, jak się zdawało, radości zacierał przednie łapki, do złudzenia przypominające pomniejszone, szpotawe dłonie czarodzieja. I Kocura, i Fafhrda jednocześnie olśniła ta sama myśl, że to właśnie ten zwierzak stanowił rynsztokową eskortę Sliwikina i jego współnika, i obaj jednocześnie wspomnieli, co powiedziała Iwriana o żywiole czarownicy, a Vlana o wynajęciu przez Krowasa czarownika.

Odrażający wygląd człowieka o szpotawych dłoniach i zwierzęcia z jednej strony, z drugiej dzieląca ich czarna, sznurzysta para w odbieralniku i pokrywie, wijąca się i skręcająca jak czarna pępowina, razem tworzyły upiorny obraz. A podobieństwo, pominąwszy wzrost, tych dwóch istot jeszcze potęgowało grozę niejasnymi podejrzeniami.

Wzrosło tempo inkantacji, sinawobiałe płomienie ożyły i rozsyczały się donośnie, ciecz w retorcie zgęstniała jak lava, wyrzucając olbrzymie, pękające z trzaskiem bąble, czarny powróż kłębił się w odbieralniku niczym poruszone węzowisko, coraz silniejsze było wrażenie obecności niewidzialnych potęg i nadprzyrodzone napięcie coraz trudniejsze do zniesienia dla Kocura i Fafhrda, którzy już ledwo hamowali krzyk wraz z oddechem, i ciężko chwyтали powietrze w rozwarte usta, obaj rażeni jedną myślą, że bicie ich serc słyhać na wiele sążni wokoło.

Inkantacja nagle osiągnęła punkt kulminacyjny i umilkła, jakby ktoś z wielką siłą uderzył w bęben i natychmiast wyciszył ton, kładąc rozczapierzoną dłoń na napiętej skórze. Z oślepiającym błyskiem nastąpił głuchy wybuch, siatka drobniotkich pęknięć okryła retortę, której kryształ zbielał i zmętniał, ale wytrzymał i nie przeciekł. Pokrywa uniosła się na piędz, zawisła tak i dopiero po chwili opadła. Równocześnie wśród zwojów w odbieralniku powstały dwie czarne pętlice i raptownie zaciągnęły się w dwa wielkie, czarne węzły.

Czarownik wyszczerzył zęby w uśmiechu, strzelił końcem pergaminu zamykając rulon i przeniósł spojrzenie z odbieralnika na drugi koniec stołu, gdzie jego żywioła popiskiwała i podskakiwała z uciechy jak piłka.

–Spokój, Sliwikin! Nadeszła teraz kolej na ciebie, na twój pośpiech, twój trud i twój pot – przemówił czarodziej łamanym lankhmarskim, lecz tak prędko i takim piskliwym, wysoko strojonym głosem, że Fafhrd i Kocur z trudem go zrozumieli. Obaj jednak zrozumieli w lot, jak bardzo się pomylili co do tożsamości Sliwikina. W obliczu niebezpieczeństwa gruby złodziej wolał przyzywać na pomoc tego wiedźmo-szczura miast kamrata.

–Tak jest, mistrzu – nie mniej wyraźnie odpisknął Sliwikin, w jednej chwili prostując

opinię Kocura o gadających zwierzętach. – Słucham i jestem posłuszny, Hristomilo! – przymilnie dodał tym swoim głosikiem piszczałki.

Nareszcie i oni poznali imię czarnoksiężnika. W ostrych jak siekniecia batem piskach, Hristomilo zarządził:

–Bierz się do wyznaczonej roboty! Pamiętaj wezwać z nawiązką dostatek biesiadników. Ciała obrać mi do szkieletów, żeby ślad nie został po sińcach od magicznego smogu i wszelkich oznakach śmierci przez uduszenie. Tylko nie zapomnij łupu! Do wykonania zadania natychmiast – odmaszerować!

Każde polecenie Sliwikin kwitował podrygiem głowy, żywo przypominającym jego uprzednie podskoki.

–Pokieruję wszystkim osobiście! – pisnął i na kształt szarej błyskawicy długim susem śmignął ku podłodze i w głąb smolistej czerni szczurzej dziury.

Zacierając ohydne, szpotawe dłonie, czym przypominał Sliwikina, Hristomilo zawołał chichotliwym głosem:

–Slewjas utracił, magia odzyskała!

Fafhrd z Kocurem odstąpili od drzwi, częściowo pod wpływem obawy, że skoro ani inkantacja, ani alembik, ani żywioła nie wymagają już wytężonej uwagi czarodzieja, Hristomilo niechybnie podniesie wzrok i odkryje intruzów, częściowo pod wpływem odrazy do tego, co ujrzeli i usłyszeli, a częściowo pod wpływem dojmującej, acz daremnej litości dla Slewjasa, kimkolwiek był, i dla tych innych bezimiennych ofiar zaklęcia śmierci, owych nieszczęsnych, już nieżywych nieznajomych, których ciała miały być objedzone do kości z rozkazu szczuropodobnego, a niewykluczone, że i szczuropokrewnego czarnoksiężnika.

Fafhrd wydarł Kocurovi spod pachy zieloną butle i dławiąc się zgniłokwiatowym wyziewem, wlał w siebie olbrzymi haust ognistej, spirytusowej perfumy. Jej opary zdążyły tymczasem orzeźwić Kocura i odebrać mu ochotę do pójścia w ślady przyjaciela. Tym bardziej, że przed drzwiami sali z mapą zobaczył za plecami Fafhrda strojnego mężczyznę z wiszącą u boku wysadzaną klejnotami pochwą noża o złotej rękojeści. Ciężar odpowiedzialności, przepracowania i władzy wyrzył przedwczesne zmarszczki na zapadniętookiej twarzy mężczyzny, okolonej starannie przystrzyżoną, czarną brodą i czupryną. Nieznajomy z uśmiechem przyzywał ich, w milczeniu kiwając ręką.

Usłuchali wezwania, a zwróconą mu ukradkiem zieloną butlę Kocur zatkał na nowo i z dobrze skrywaną irytacją wsunął sobie pod lewy łokieć. Nie trudno się było domyślić, że wzywa ich Krowas, Wielki Mistrz Gildii.

Fafhrd dyrdał korytarzem, zataczając się i czkając, i ponownie nie mogąc wyjść ze zdumienia, że Kos, czy też Losy, wiodą go tak prosto do celu tej nocy. Czujniejszy, a i przezorniejszy Kocur spokojnie powtarzał sobie, że strażnicy bramy polecili im zameldować się Krowasowi, więc obecny bieg wydarzeń nawet jeśli nie całkiem odpowiada jego własnym mglistym planom, to jeszcze nie prowadzi do katastrofy. Jednak i czujność zawiodła Kocura, i pierwotny instynkt nie ostrzegł Fafhrda, gdy wchodzili za Krowasem do sali. Przy drugim kroku zostali z dwóch stron ujęci pod ramiona przez dwie pary drabów uzbrojonych w pałki w garści i noże za pasem. Uznali za roztropne nie stawiać oporu, w tym jednym przypadku potwierdzając racje Kocura o nadzwyczajnej przezorności pijaków.

–Mamy ich, Wielki Mistrzu – warknął jeden z drabów.

Krowas obrócił owo najwyższe krzesło w stronę drzwi i siadł, mierząc jeńców niezmaconym, ale przenikliwym spojrzeniem.

–Cóż sprowadza dwójkę śmierdzących, pijanych żebraków w zamknięte rewiry mistrzów? – zapytał spokojnie.

Pot ulgi wystąpił na czoło Kocura. Jego genialne przebrania wciąż spisywały się bez zarzutu, nawet przed szefem, jakkolwiek Krowas spostrzegł nietrzeźwy stan Fafhrda. Wracając do swej roli ślepcy, Kocur powiedział drżącym głosem:

–Straż w bramie od ulicy Taniej poleciła nam zameldować się wam osobiście, Wielki Krowasie, albowiem nocny żebrakmistrz przebywa na przepustce w celach higieny seksualnej. Dzisiejszej nocy mieliśmy dobry połów!

Pogmerał w sakiewce, na ile się dało ignorując ściskających mu ramiona drabów, wydobył i podał na drżącej dłoni złotą monetę – dar sentymentalnej kurtyzany.

–Oszczędź mi tej nieudolnej komedii – sucho rzekł Krowas. – Nie znalazłeś tu sobie jelenia. I zdejmij tę ścierkę z oczu.

Kocur spełnił żądanie i mimo ograniczonej swobody ruchów stanął wyprężony na baczność, beztroskim uśmiechem pokrywając ozywające w nim wątpliwości. Może nie wszystko szło mu tak wspaniale, jak by się wydawało.

–Przyjmując – powiedział Krowas pojednawczo, aczkolwiek ostrym głosem – że tak wam przykazano, zresztą w najwyższym stopniu niewłaściwie – ten strażnik odpowie za swoją głupotę! – po co szpiegowaliście – sam was nakryłem – pod sąsiednią salą?

–Zobaczyliśmy, jak mężni złodzieje wieją spod owej sali – bez namysłu odparł Kocur. – Podejrzewając, że Gildii zagraża jakieś niebezpieczeństwo, mój towarzysz i ja przeprowadziliśmy rozpoznanie, gotowi zdusić zło w zarodku.

–Lecz to, co ujrzeliśmy i usłyszeliśmy, jedynie zdumiało nas, wielki panie – całkiem płynnie wtrącił Fafhrd.

–Nie rozmawiam z tobą, opoju. Milcz, nie pytany – warknął Krowas. – Śmiałek z ciebie, łazęgo – ciągnął do Kocura – nader zuchwałyś, towarzyszu żebraku.

W przypiływie natchnienia Kocur uznał, że sytuacja wymaga od niego zuchwałości, a nie pokory.

–Taki już jestem, panie – powiedział z zadowoloną miną. – Na przykład, obmyśliłem arcyplan, który tobie i Gildii w trzy miesiące przysporzy większych bogactw i potęgi, niż twoi poprzednicy zdobyli przez trzy tysiąclecia.

Krowasowi twarz nabiegła krwią.

–Mały! – zawołał.

Za kotary w wewnętrznych drzwiach wyskoczył i uklęknął przed nim młodziutki, ciemnoskóry Klechita.

–Wezwij mi najpierw czarodzieja, potem złodziei Slewjasa i Fissifa – rozkazał Krowas, i czarny młodzian jak strzała śmignął na korytarz.

A wielki mistrz, którego twarz odzyskała naturalną bladość, rozparł się w wielkim krześle, muskularne ramiona złożył na szerokich, wyściełanych poręczach i z uśmiechem rzucił Kocurowi:

–Masz głos. Wyjaw nam ten arcyplan.

Nie dopuszczając do siebie myśli o zadziwiającej nowinie, że Slewjas nie jest ofiarą magicznego mordu i grabieży, lecz złodziejem żywym i w najlepszym zdrowiu (po co on teraz potrzebny Krowasowi?), Kocur zadarł głowę, przywołał na usta drwiący uśmieszek, i rozpoczął:

–Możesz się śmiać ze mnie do rozpuku, wielki mistrzu, ale zaręczam, że za niecałe dwadzieścia uderzeń serca będziesz z poważną miną nadstawiał ucha, aby nie uronić żadnego słówka. Podobnie jak piorun mądrość trafia, gdzie popadnie, a was, rodowici Lankhmarczycy, trapi wiekami uświęcona kurza ślepotą na rzeczy oczywiste dla nas, synów obcej ziemi. Takie, jak mój ten oto arcyplan: niechaj Złodziejska Gildia pod twoją żelazną autokracją przejmie najwyższą władzę w Mieście Lankhmar, następnie nad całym Lankhmarem, potem nad całym Nehwonem, aż w końcu kto wie, jakie jeszcze niewyśnione królestwa weźmiesz w swoje lenno!

Kocur miał rację pod jednym względem: Krowasowi przeszła ochota do śmiechu. Słuchał nieco wychylony z krzesła, a twarz mu ponownie nabiegła krwią, jeszcze nie

wiadomo, czy z zainteresowania, czy z gniewu.

–Przez stulecia – ciągnął Kocur – Gildii aż nadto starczało sił i mądrości do przeprowadzenia zamachu stanu z dziewięciopalcowym prawdopodobieństwem sukcesu; dziś nie pozostał już ani jeden włoszek niepowodzenia na kudłatym łbie ryzyka. Słuszny jest porządek rzeczy, w którym złodzieje rządzą ludźmi. Domaga się tego cała Natura. A pocziwca Karstaka Owartamortesa nie warto nawet zabijać, a tylko pokonać, mieć w garści i rządzić za jego pośrednictwem. Posiadasz płatnych informatorów w każdym arystokratycznym lub majątnym rodzie. Twoja pozycja jest silniejsza niż Króla Królów. Utrzymujesz najemne siły zbrojne, w każdej chwili gotowe na twoje skinienie – Bractwo Morderców. My, brać żebracza, jesteśmy furazerami twej Gildii. Ludzie wiedzą, o wielki Krowasie, że złodziejstwo rządzi Nehwonem, powiem więcej, światem, ba, siedzibą bogów najwyższych! I ludzie przystają na to, nie godząc się jedynie z hipokryzją obecnego ładu, z zakłamaniem, że niby to jest inaczej. Ziśćij niewygórowane marzenie ludu, o wielki Krowasie! Daj mu ład, w którym zapanuje jawność, uczciwość i prawość, w którym złodzieje rządiliby nie tylko de facto, ale i de iure.

Kocur przemawiał z takim zapalem, że chwilami sam wierzył w to wszystko, nawet gdy sobie przeczył. Czterech drabów gapiło się na niego w osłupieniu i z niemałą bojaźnią. Nie trzymali już tak mocno ani Kocura, ani Fafhrda. Ale rozparty w swoim wielkim krześle Krowas odezwał się z flegmą:

–W naszej Gildii upojenie alkoholowe nie usprawiedliwia utraty rozumu, lecz stanowi wykroczenie i podlega surowej karze. Jednak doskonale zdaję sobie sprawę z luźniejszej dyscypliny w waszym żebraczym bractwie. I coś ci łaskawie wyjaśnię, ty mały pijany marzycielu. My złodzieje lepiej od ciebie wiemy, że potajemnie rządzymy Lankhmarem, Nehwonem, całym życiem, doprawdy, bo czymże jest życie, jak nie aktem chciwości? A twoja gra w otwarte karty zmusiłaby nas do przejęcia dziesiątków tysięcy przeróżnych i żmudnych zajęć, które dziś za złodziei odwalają inni, i do złamania jednego z najgłębszych praw natury: prawa iluzji. Czy właściciel kramu ze słodyczami oprowadza cię po swojej brudnej piekarni? Czy kurwa na oczach klienta pacykuje sobie zmarszczki i podciąga obwisłe piersi przemysłowymi podwiązkami z gazy? Czy magik wywraca przed kimś swoje ukryte kieszenie? Natura korzysta z subtelnych, dyskretnych środków – niewidoczne nasienie męczyzny, ukąszenie pająka, niepostrzegalne zarodniki szaleństwa i śmierci, skały zrodzone z niepoznawalnych wnętrzości ziemi, gwiazdy milczkiem płynące po niebie – i my złodzieje bierzemy z niej przykład.

–To całkiem ładna poezja, panie – odezwał się Fafhrd z gniewną drwiną w głosie, bowiem arcyplan Kocura wywarł na nim spore wrażenie i nie mógł ścierpieć zniewagi, jaką Krowas wyrządził przyjacielowi, nic sobie nie robiąc z tego wszystkiego. – Tajny tron może stać dość pewnie w spokojnych czasach. Ale – tu Fafhrd zawiesił teatralnie głos – czy nie zachwieje się w chwili, gdy podstępny wróg dąży do

unicestwienia Złodziejskiej Gildii na zawsze, gdy spisek grozi jej zmieceniem z powierzchni ziemi?

–Co to za pijackie brednie? – spytał Krowas, prostując się w krześle. – Jaki znowu spisek?

–Najtajniejszy ze spisków – zachwycony, że odplaca temu pyszałkowi tą samą monetą, Fafhrd uśmiechnął się od ucha do ucha, uważając też za bardzo słuszne, aby król złodziei spociał się trochę, nim odejmą mu głowę, aby zanieść ją Vlanie. – Nic nie wiem ponad to, że wielu mistrzów złodziejskich ma pójść pod nóż – i niechybnie spadnie twoja głowa.

Fafhrd przybrał ze wszech miar szyderczą minę, założył ręce i swobodnie zwiesił swój miecz-laskę w luźnych palcach, na co pozwolił niemrawy chwyt trzymających go drabów. Za chwilę spojrział wilkiem, pod wpływem szarpiącego bólu, który mu nagle przypomniał o podwiązanej i zdrętwiałej nodze.

Krowas uniósł zaciśniętą pięść i sam uniósł się do połowy z krzesła, w czym była zapowiedź jakichś okropności – pewnie rozkazu poddania Fafhrda torturom. Upredzając nieszczęście, Kocur rzekł pośpiesznie:

–Siedmiu Sfinksów – jak ich nazywają – stoi na czele spisku. Na niższych szczeblach podziemnej organizacji nikt nie zna tych Siedmiu z imienia, choć krążą pogłoski, że kryją się za nimi renegaci Gildii Złodziejskiej, przedstawiciele miast Oool Hrusp, Ilthmaru, Harboriksen, Tisilinilit, dalekiej Kiraai i samego Lankhmaru. Podobno pieniędzy dostarczają im kupcy ze Wschodu, kapłani Wan, czarownicy ze Stepów, popierani przez połowę starszyzny mingolskiej, opisywany w legendach Quarmall, Asasyni Arthy z Sarheenmaru i ni mniej ni więcej, tylko Król Królów we własnej osobie.

Pomimo wzgardliwych, a potem gniewnych uwag Krowasa, jego zbiry nadal słuchały jeńca z zainteresowaniem i szacunkiem, nie odbierając mu swobody ruchów. Lawiną swych rewelacji i górnolotną mową Kocur oczarował drabów, głuchych na zbyt chłodne, zbyt cyniczne, i w ogóle za mądre dla nich wypowiedzi szefa.

Jak gdyby nie tykając ziemi, do sali wpłynął Hristomilo, przypuszczalnie drobiąc prędkimi, lecz bardzo krótkimi kroczkami, gdyż czarna szata zupełnie nieruchomo zwiślała do marmurowej posadzki, a czarodziej sunął szybko. Swoim wejściem wywołał wstrząs. Fafhrd i Kocur wyczuli, że wszyscy obecni w sali wstrzymują oddech, podążając za gościem oczyma, i że czwórce zbirów leciutko drżą zrogowaciałe dłonie. Napięcie i podskórny niepokój dostrzegli nawet we wszechpewnym, znużonym życiem obliczu Krowasa. W swoim pryncypale i w jego korzystających ze sztuki czarnoksiężskiej podwładnych czarownik Gildii Złodziejskiej najwyraźniej budził więcej strachu niż miłości. Pozornie nieświadom ich reakcji, choć

z nikłym uśmiechem na wargach, Hristomilo zatrzymał się tuż przy krześle Krowasa i ocienioną kapturą twarz gryzonia pochylił w ledwie uchwytnym ukłonie. Krowas gestem nakazał Kocurovi milczenie. Zwilżył językiem wargi.

–Znasz tych dwóch? – spytał Hristomila ostrym, ale i podenerwowanym głosem.

Hristomilo stanowczo kiwnął głową.

–Dopiero co obaj podglądali mnie zapijaczonym okiem – rzekł – gdy zajmowałem się wiadomą nam sprawę. Wypłoszyłbym ich i zameldował o pijakach, ale taka zabawa groziła zerwaniem zaklęcia i wybiciem moich słów z rytmu alembiku. Jeden pochodzi z północy, drugi ma rysy południowca – najprawdopodobniej z okolic Towilisu. Obaj młodszy niż na to wyglądają. Najemne zabijaki, moim zdaniem, tacy, jakich Bractwo zatrudnia do ochrony i eskorty, kiedy trafia się kilka większych zleceń naraz, i kiedy brakuje własnych ludzi. Niezdarnie teraz przebrani, rzecz jasna, za żebraków.

Fafhrd ziewając, a Kocur kręcąc z politowaniem głową, dawali do zrozumienia, co myślą o tych pożałowania godnych domysłach.

–Tyle mogę powiedzieć bez odczytania ich myśli – zakończył Hristomilo. – Czy mam przynieść lampy i zwierciadła?

–Jeszcze nie. – Krowas wycelował w Kocura palec. – Skąd wiesz to wszystko, o czym tu wygadujesz? O tych Siedmiu Sfinksach i tak dalej. Tylko krótko i węzłowato – i żadnej bufonady.

–Na ulicy Alfonsów – bez zająknięcia odparł Kocur – zamieszkała nowa kurtyzana imieniem Tajaraja, wysoka, piękna, lecz garbata, co osobliwie podnieca wielu klientów. Otóż Tajaraja mnie kocha, bowiem kalekie oczy pasują do krzywych pleców, a może po prostu lituje się nad moją ślepotą ona w nią wierzy! – i moją młodością, czy też owa kombinacja roznieca w jej ciele taki sam dziwny ogień, jaki przysparza dziewczynie amatorów. No więc moja inteligencja, siła, zuchwałość i taktowne trzymanie gęby na kłódkę, tudzież podobne zalety mojego towarzysza, wywarły wielkie wrażenie na jednym ze stałych klientów Tajarai, niejakim Murfie, kupcu niedawno przybyłym z Klelg Nar. Murf wyciągnął nas na słówka, a w końcu zapytał, czy my nie czujemy nienawiści do Gildii Złodziejskiej za to, że rządzi Gildią Żebraczy. Wyczuwając okazję przysłużenia się Gildii, podjęliśmy grę i tydzień temu zostaliśmy zwerbowani do trzyosobowej komórki najniższego stopnia w tajnym przysiężeniu Siedmiu.

–Ty się ośmieliłeś zrobić to wszystko na własną rękę? – zapytał lodowatym tonem Krowas, prostując się w krześle i mocno zaciskając dłonie na poręczach.

–Och, nie – zaprzeczył Kocur z miną niewiniątka. – Meldowaliśmy o każdym naszym kroku dziennemu żebrakmistrzowi, który temu przyklasnął, polecając nam

szpiegować ze wszystkich sił i zebrać każdy dostępny strzępek faktu i pogłoski o Spisku Siedmiu.

–I nie powiedział mi o tym ani słowa! – wybuchnął Krowas. – Jeśli tak było, Bannat zapłaci mi za to głową! Ale ty łżesz, nieprawdaż?

Kocur posłał mu spojrzenie skrzywdzonego dziecka i miał właśnie zaprzeczyć z całej duszy, gdy w otwartych drzwiach mignął na korytarzu dostojny, chromy mężczyzna, idący o złoconej lasce. Przeszedł pewnym bezgłośnym krokiem, ale Krowas go dojrzał.

–Nocny żebrakmistrzu! – krzyknął wielkim głosem.

Chromy mężczyzna przystanął, zawrócił i utykając przekroczył z godnością próg. Krowas wskazał palcem Kocura, a potem Fafhrda.

–Znasz tych osobników, Flim?

Nocny żebrakmistrz niespiesznie obejrzał sobie Kocura z Fafhrdem i po chwili pokręcił głową w turbanie ze złotej tkaniny.

–Nigdy ich nie widziałem. Co to za jedni? Kapusie?

–Ależ Flim nie może nas znać – rozpaczliwie wyjaśnił Kocur, czując, że wszystko się wali. – Byliśmy w kontakcie tylko z Bannatem.

–Bannat od dziesięciu dni leży w łóżku, chory na gorączkę błotną. Tymczasem ja jestem zarówno dziennym żebrakmistrzem, jak i nocnym – spokojnie rzekł Flim.

W tej chwili Slewjas z Fissifem wpadli za nim do sali. Na szczęście dużego złodzieja siniał olbrzymi guz. Gruby złodziej o rozbieganych oczkach miał bandaż na głowie. Z miejsca wskazując Fafhrda i Kocura, zawołał:

–To właśnie ci dwaj nas ogłuszyli, zabrali nam kamienie Jengao i wycięli w pień eskortę.

Kocur uniósł łokieć i zielona butla roztrzaskała się w drobny mak na twardym marmurze u jego stóp. Gardeniowy fetor szybko buchnął w powietrze. Lecz jeszcze szybciej Kocur strząsnął z siebie nieruchawe łapy osłupiałych strażników i skoczył na Krowasa, wznosząc swój owinięty miecz niby maczugę. Gdyby tylko zdołał obezwładnić króla złodziei i przyłożyć mu do gardła Koci Pazur, mógłby się układać o swoje życie i o życie Fafhrda. Przyjmując, że pozostali złodzieje nie życzą własnemu mistrzowi śmierci, co by Kocura wcale nie zdziwiło.

Z zaskakującą zwawością Flim podstawił mu złoconą laskę i Kocur nakrył się

nogami, w połowie kozła usiłując zmienić to nieumyślne salto w salto umyślne.

Tymczasem Fafhrd uderzył ciałem draba z lewej strony, a draba z prawej jednocześnie wyrzucił zabandażowanym Graywandem pod brodę. Wróciwszy potężnym gibnięciem do swej jednonogiej równowagi, hycnął pod ścianę pełną trofeów.

Slewjas dopadł ściany ze złodziejskimi przyborami i z rozdzierającym mięśnie wysiłkiem wyrwał ogromny łom z zamkniętego na kłódkę pierścienia.

Zbierając się na nogi po marnym lądowaniu, Kocur ujrzał przed sobą puste krzesło, a za nim króla złodziei w półprzysiadzie, z dobytym sztyletem o złotej rękojeści i z zimnym płomieniem walki na dnie głęboko zapadniętych oczu. Obejrząwszy się zobaczył, że obaj dozorczy Fafhrda leżą na posadzce, jeden jak kłoda, drugi niemrawo usiłując powstać, zaś wielkolud z północy wsparty plecami o ścianę osobliwej biżuterii szachuje całą salę obwiązanym Graywandem i długim nożem dobytym spod płaszcza. Nie inaczej dobywając Koci Pazur, ryknął Kocur głosem surmy bojowej:

–Z drogi! To amok! Poderżnę mu ścięgno w zdrowej nodze!

Śmignawszy w ścisku i pomiędzy własnymi strażnikami, w których chyba wciąż budził niewytłumaczalną trwogę, runął na Fafhrda, błyskając sztyletem i modląc się, aby upojony teraz i walką, i winem, i trującą perfumą Człowiek Śniegu rozpoznał go i odgadł fortel. Graywand ze świstem przeleciał mu nad pochyloną głową. Miał nadzieję, że nowy przyjaciel nie tylko odgadł, ale jeszcze przebijał grę, a nie, że po prostu chybił za sprawą przypadku. Nisko skulony pod ścianą, ciął pęta na podwiązanej nodze. Graywand i długi nóż jakoś darowali mu życie. Poderwał się i ruszył do wyjścia, rzuciwszy przez ramię Fafhrdowi:

–W nogi!

Hristomilo spokojnie obserwował wszystko z boku. Fissif czmychnął w najdalszy kąt. Krowas wykrzykiwał z za krzesła rozkazy:

–Zatrzymać ich! Odciąć im odwrót!

Trzej pozostali zbóje z obstawy wreszcie przytomniejąc i powoli odzyskując ducha bojowego, natarli na Kocura. Szybkimi fintami sztyletem Kocur powstrzymał natarcie, wleciał między napastników – i nagle w ostatnim ułamku sekundy ciosem owiniętego Skalpela z góry w dół zbił złoconą laskę Flima, po raz wtóry wysuniętą do podcięcia.

Przez ten czas od ściany z narzędziami zdążył powrócić Slewjas i potężnie zamachnął się ciężkim łomem na Kocura. Lecz akurat gdy wyprowadzał cios, bardzo długi, obandażowany miecz na końcu bardzo długiego ramienia przemknął nad barkiem Kocura i twardo, i mocno dźgnął Slewjasa wysoko w pierś, odrzucając go w

tył i skracając łuk ciosu, dzięki czemu łom nieszkodliwie przeleciał w powietrzu.

Po czym Kocur znalazł się na korytarzu, a Fafhrd obok niego, aczkolwiek z jakimś przedziwnym uporem ciągle skakał tylko na jednej nodze. Kocur wskazał w kierunku schodów. Fafhrd skinął głową, ale zostając chwilę w miejscu i wciąż na jednej nodze, sięgnął wysoko ręką i oderwał z bliższej ściany kilkanaście łokci ciężkiej draperii, którą dla zwolnienia pościgu przeciągnął w poprzek korytarza. Dotarli do schodów i Kocur poprowadził na górę. Dogoniły ich krzyki, niektóre zduszone.

–Przestań kicać, Fafhrd! – zgromił Kocur przyjaciela. – Znowu masz dwie nogi.

–Mam, ale ta druga wciąż jest zdrętwiała – jęknął Fafhrd. – Achch! Właśnie zaczyna mi w niej wracać czucie.

Cięnięty nóż przeleciał pomiędzy nimi i z głuchym brzękiem uderzył sztychem w ścianę, wzbijając kamienny pył. Wnet byli już za zakrętem schodów. Jeszcze dwa opustoszałe korytarze, jeszcze dwie kondygnacje krętych stopni, i na ostatnim podejściu ujrzeli nad głowami solidną drabinę, która sięgała po mroczny kwadratowy otwór w dachu. Złodziej z włosami zawiązanymi kolorową chustą z tyłu głowy – wyglądało to na znak rozpoznawczy wart wejściowych – zagroził Kocurovi obnażonym mieczem, jednak spostrzegłszy, że przeciwników jest dwóch, i że obaj twardo idą na niego, uzbrojeni w lśniące noże i dziwaczne laski czy też pałki, obrócił się na pięcie i uciekł w głąb ostatniego, pustego korytarza.

Kocur migiem wszedł po drabinie przed Fafhrdem i bez wahania podparłszy się rękami, wyskoczył wyłazem w inkrustowaną gwiazdami noc. Opadł na nogi przy okapie dachu, który był łupkowy, bez attyki i dość pochyły, aby spadek przeraził początkującego dacholaza, a bezpieczny jak podłoga dla zawodowca. Złodziej w chuście na głowie przycupnął z latarnią na długiej kalenicy. Zamykał i raptownie otwierał – przypuszczalnie wedle jakiegoś kodu – oko latarni, strzelające nikłym zielonym promieniem ku północy, skąd czerwony punkcik świetlny odpowiadał słabym mruganiem gdzieś na wysokości falochronu, a może jeszcze dalej, z masztu łodzi żeglującej po Morzu Wewnętrznym. Przemytnik?

Na widok Kocura złodziej błyskawicznie dobył miecza i ruszył ku niemu, leciutko kołysząc latarnią w drugiej ręce. Kocur nie spuszczał z niego oka – gorący metal ślepej latarni krył w sobie płomień i zapas oleju, stanowiąc podstępny broń. Ale w tejże chwili Fafhrd wygramolił się i stanął przy Kocurze, wreszcie na obu nogach. Przeciwnik powoli zawrócił w stronę północnej krawędzi dachu. Kocurovi przemknęło przez myśl, że musi tam być drugi wyłaz. Słyszając hurgot, obrócił się i zobaczył, jak Fafhrd przezornie wciąga drabinę. Już miał ją na górze, gdy ciśnięty z dołu nóż błysnął mu koło ucha. Kocur ze zmarszczonym czołem śledził lot noża, mimowolnie podziwiając kunszt niezbędny przy pionowym rzucie z taką przyzwoitą celnością. Nóż spadł koło nich z grzechotem i zjechał po dachu. Kocur jak chart

pomknął po łupkowych dachówkach na południe i nikły brzęk klingi o bruk Zaułka Mordów dogonił go już w połowie drogi od wyłazu do południowej krawędzi dachu.

Fafhrd podążał wolniej, po trosze z powodu mniejszego chyba otrzaskania z dachami, po trosze przez to, że nadal lekko utykał na lewą nogę, i po trosze za sprawą ciężkiej drabiny, którą taszczył na prawym ramieniu.

–Nie będzie nam potrzebna – zawołał Kocur.

Nie zwlekając Fafhrd niefrasobliwie cisnął drabinę za okap. Jeszcze nie roztrzaskała się w Zaułku Mordów, a Kocur już lądował na sąsiednim dachu o przeciwnym i mniejszym nachyleniu, przeleciawszy dwa sążnie w dół i jeden odstępu między domami. Fafhrd wylądował przy nim.

Kocur niemal biegiem prowadził przez okopcony las kominów, nasad kominowych, wywietrzników ze skrzydełkami, które obracały je zawsze przodem do wiatru, cystern na czarnych wspornikach, pokryw wyłazów, gołębników i pułapek na gołębie, przez pięć dachów, cztery coraz to niższe o odrobinę i piąty odzyskujący pół sążnia utraconej wysokości, przez dające się z łatwością przeskoczyć odstępy między budynkami, żaden nie większy niż na sążeń, żaden nie wymagający przerzucania drabiny i w tym tylko jeden dach nieco bardziej stromy niż dach Domu Złodzieja, aż dotarli do ulicy Myślicieli w miejscu, w którym przebiegał nad nią dach galerii, bliźniaczo podobnej do pasażu spółki Rokkermasa i Slaarga.

Kiedy skuleni sadzili susami po tym moście, coś minęło ich ze świstem i zagrzechotało daleko w przedzie. Zeskakując z dachu galerii, usłyszeli potrójny świst nad głowami i trzy następne „cosie” zagrzechotały przed nimi. Jeden odbił się od ceglanego komina, rykoszetując prawie pod nogi Kocurowi. Podniósł to, myśląc że bierze kamień, lecz zaskoczył go większy ciężar ołowianej kuli wielkości dwóch zwiniętych palców.

–Niewiele czasu zabrało im – powiedział, wskazując przez ramię kciukiem – wyprowadzenie procarzy na dach. Dobrzy są, gdy ich podrażnić.

Nowy, czarny las kominów wiódł na południowy wschód do miejsca, w którym dachy budynków z dwóch stron ulicy Taniej zbliżały się do siebie na łatwą do przeskoczenia odległość. W trakcie tego kluczenia po dachach ogarnął ich idący z naprzeciwka nocny smog tak gęsty, że zaczęli kasłać i kichać, a Fafhrd uczeplił się ramienia Kocura, który zwolnił i chyba przez sześćdziesiąt uderzeń serca musiał sunąć po omacku, noga za nogą. Tuż przed ulicą Tanią chmura smogu skończyła się nagle, jak nożem uciął, i znów zobaczyli gwiazdy, czarna chmura zaś odpłynęła za ich plecami na północ.

–Co to właściwie było, u licha? – zapytał Fafhrd, a Kocur wzruszył ramionami.

Kozodój zobaczyłby, jak olbrzymi, nieprzenikniony krąg czarnego smogu nocy rozplywa się we wszystkie strony, coraz bardziej powiększając i powiększając obwód i średnicę koła, którego środek wypadł tuż przy „Srebrnym Węgorzu”.

Po wschodniej stronie ulicy Taniej przyjaciele wkrótce zeszli na ziemię, drugi raz stając w Zaułku Zarazy na tyłach wąskiej kamieniczki krawca Nattika Żywopalczyka. Tu wreszcie obejrzel się nawzajem, swoje spętane miecze, wytyłane twarze i okrycia, dodatkowo umorusane kopciem kominów, i śmiali się, i śmiali, i śmiali, choć Fafhrd rycząc ze śmiechu, masował jednocześnie lewą nogę nad i pod kolaniem. Nie przestając ryczeć i niekłamanie zaśmiewać się z samych siebie do łez, odwinęli pochwy mieczów z bandaża – Kocur z taką miną, jak gdyby jego kryła niespodziankę – i przypasali je z powrotem do boku. Ostatnie przejścia wypaliły w nich ostatnią kroplę i ostatni łuł mocnego wina i jeszcze mocniejszej smrodliwej perfumy, lecz wcale nie marzyli o dalszej popijawie, tylko o tym, żeby zasiąść w przytulnym domu, porządnie pojeść, wypić morze gorzkiej, gorącej kahwy, i opowiedzieć swoim uroczym dziewczynom historię szalonej przygody ze wszystkimi szczegółami.

Pokłusowali ramię w ramię, zerkając na siebie raz po raz i parskając śmiechem, ale też i baczным okiem przepatrując drogę przed i za sobą na wypadek pościgu lub zasadzki, chociaż nie wierzyli ani w jedno, ani w drugie. Ciasne zaułki bez nocnego smogu wydawały im się w blasku gwiazd o wiele mniej śmierdzące i duszne, niż kiedy ruszali w drogę. Nawet Aleja Gnoju miała dla nich niejaką świeżość. Spoważniali tylko na jedną krótką chwilę.

–Zachowałem się jak pijany głupek tej nocy – rzekł Fafhrd – ale z ciebie to był istny pijany geniusz głupoty. Podwiązać mi nogę! Tak owinąć miecze, żeby nadawały się tylko na maczugi!

Kocur wzruszył ramionami.

–Póki co, to owinięcie mieczy niewątpliwie ustrzegło nas od zamordowania wielu ludzi tej nocy.

–Zabójstwo wroga w walce to nie morderstwo – nieco zapalczywie odparł Fafhrd.

Kocur ponownie wzruszył ramionami.

–Zabójstwo to morderstwo, jakkolwiek ładnie byś je nazwał. Tak jak jedzenie to żarcie, a picie to chłanie. O bogowie, w gardle mi wyschło, w brzuchu burczy i padam z nóg! Niech żyją puchowe piernaty, zastawiony stół i parująca kawa!

Nie przesadzając z ostrożnością, w mig pokonali długie, skrzypiące schody ze złamanym stopniem, razem stanęli na ganku i Kocur pchnął drzwi bez pukania, aby sprawić niespodziankę.

Nie ustąpiły.

–Zaryglowane – krótko wyjaśnił Fafhrdowi.

Już się zorientował, że prawie wcale nie widać światła w przy drzwiowych szparach, ani w okratowaniu okien – tylko odrobinę słabej, pomarańczowoczerwonej poświaty. Więc z czułym uśmiechem i pełnym uwielbienia głosem, z którego przebijał tylko cień niepokoju, powiedział:

–Pospały się, beztroskie dziewczuchy! – Mocno zastukał trzykrotnie, po czym zwinawszy dłonie w trąbkę przy ustach, zawołał z cicha:

–Hop, hop, lwriana! Wróciłem cało! Ahoj, Vlano! Twój chłopak przyniósł ci zaszczyt, na jednej nodze kładąc pokotem pół Złodziejskiej Gildii!

Z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk – jeśliby pominąć szmer tak lekki, że można go było złożyć na karb urojenia. Fafhrd zmarszczył nos.

–Czuję dym.

Kocur załomotał do drzwi ze zdwojoną siłą. Pozostały głuche. Fafhrd dał mu znak, żeby usunął się z drogi i pochylił szerokie bary, zamierzając wyważyć drzwi. Pokręciwszy głową, Kocur zręcznie wcisnął, obrócił i wyłuskał cegłę z na oko najsolidniejszego kawałka murowanej framugi. Zapuścił w otwór rękę po bark. Zachrobotał odciąganiem rygłem, potem drugim i trzecim. Szybko wyjął rękę i ledwie tknął drzwi, a otworzyły się na całą szerokość.

Jednak wbrew temu, co sobie postanowili, ani on, ani Fafhrd nie wpadli jak burza do środka, albowiem z dusznym od dymu powietrzem buchnął nieokreślony zapach niebezpieczeństwa i nieznanego, wionął stęchłokwaśny zwierzęcy odór oraz leciutko mdląca słodkawa woń, która choć kobieca, nie była stosownym dla kobiet pachnidłem.

Pokój niewyraźnie majaczył w pomarańczowej łunie bijącej z rozwartych, maleńkich, prostokątnych drzwiczek starannie poczernionego piecyka. Lecz zamiast we właściwej pionowej pozycji, ów prostokąt łuny był nienaturalnie przekrzywiony; najwyraźniej w na poły wywróconym piecyku, opartym teraz o boczną ścianę kominka, rozwarły się maleńkie drzwiczki w kierunku przechyłu. Ten nienaturalny przechył sam jeden wyrażał już cały wstrząs wywróconego do góry nogami świata.

Pomarańczowa łuna dobywała z mroku dziwne, rozrzucone tu i ówdzie na dywanie czarne krążki nie większe niż szerokość dłoni, uprzednio poukładane równiutko świece w rozsypce pod półkami, wśród flakoników i emaliowanych szkatulek, a nade wszystko dwa niskie, nieforemne, podługowate, czarne kopczyki, jeden przy kominku, drugi połową na złotym łożu, w połowie u jego stóp. Z obu kopczyków

wlepiały się w Kocura i Fafhrda niezliczone malusieńkie oczka o dość szerokim rozstawie i czerwone jak żar paleniska.

Na grubo zasłanej dywanami podłodze po drugiej stronie kominka srebrzyła się pajęczyna – zrzucona srebrna klatka, z której nie dobiegał już szczebiot papużek nierozłączek.

Cichutko szczebkęła stal, gdy Fafhrd sprawdzał, czy Graywand luźno chodzi w pochwie. Jak gdyby ten cichy dźwięk był umówionym sygnałem do ataku, obaj gwałtownie wyszarpnęli miecze i ramię w ramię weszli do pokoju, ostrożnie badając z początku podłogę przy każdym kroku.

Na zgrzyt dobywanych mieczy maluśkie, czerwone jak żar paleniska oczka zamrugały i zakręciły się niespokojnie, zaś po wkroczeniu dwóch ludzi pierzchły wśród popiskiwań na wszystkie strony, czerwona para za parą, za każdą z nich drobny, niski, smukły, czarny tułów i długi goły ogon, który po chwili zniknął w najbliższym z owych czarnych krążków na dywanie. Nie ulegało wątpliwości, że te czarne krążki to świeżo wygryzione w podłodze i dywanach dziury, a czerwonookie stworzenia były czarnymi szczurami.

Fafhrd z Kocurem skoczyli na nie, siekąc i rąbiąc jak oszalali, klnąc przy tym i warcząc każdy po swojemu. Kilka sztuk przepołowili. Większość szczurów czmychała z nadprzyrodzoną szybkością, przepadając w głębi dziur pod ścianami i kominkiem. W dodatku pierwszym szalonym ciosem Fafhrd przebił podłogę na wylot, a przy trzecim kroku przebił ją nogą i ze złowrogim trzaskiem ugrzązał po biodro w rozszczepionych deskach. Kocur nawet nie przystanął, głuchy na nowe trzaski. Fafhrd wyrwał uwięzioną nogę, w ogóle nieświadom, że kaleczą go drewniane zadziory i ruszył naprzód, równie głuchy na ustawiczne skrzypienie. Szczury uciekły. Kocur wepchnął wiązkę rozpalek do piecyka, żeby dawał więcej światła.

Najstraszniejsze było to, że po odejściu wszystkich szczurów pozostały oba podłużne kopczyki, co prawda mniejsze i odmiennej barwy, wyraźnie teraz widocznej w żółtych płomieniach strzelających nad przekrzywione drzwiczki – miast przybranej czerwonymi paciorkami czerni w kopczykach mieszały się teraz kruczyna czerń i ciemny kasztanowy brąz, przyprawiająca o mdłości sina purpura, fiolet, czerń aksamitna i biel gronostajowa, czerwień pończochy i krwi, i krwawego ciała, i szkieletu.

Mimo że dłonie i stopy zostały ogryzione do gołej kości, a ciało wybrane do samych serc, obie twarze przetrwały nietknięte. I niedobrze się stało, ponieważ to właśnie twarze wnosiły barwę owej purpury zsiniałej w chwili śmierci od uduszenia, twarze o ściągniętych wargach i wytrzeszczonych oczach, i rysach skrzywionych w agonii. Jedynie kruczoczarna oraz ciemne, kasztanowate włosy lśniły nieodmiennie – włosy i białe, jakże białe zęby.

I gdy rażeni grozą, rozpaczą i wściekłością, które wzbierały im w sercach i rosły pod niebo, a mimo to niezdolni odwrócić oczu, stali tak, spoglądając każdy na swoją kochankę, obaj dostrzegli, jak z czarnych kolein na dziewczęcych szyjach odwijają się dwie cienkie, czarne nitki, rozwiewają się i szybują ku otwartym drzwiom dwiema smużkami nocnego smogu.

Podłoga trzeszczała coraz głośniejsze, dopóki nie osiągnęła nowej chwiejnej równowagi, siadając nagle całym środkiem o dobre trzy piędzi poniżej dotychczasowego poziomu.

Do resztek spustoszonej świadomości docierały drobne szczegóły: że należący do Vlany sztylet o srebrnej rękojeści przygwoździł do podłogi szczura, który pewnie pośpieszył się i wysunął za daleko nos, nim nocny smog dokonał swej magicznej sztuczki. Że zniknął pasek dziewczyny razem z sakiewką. Że zniknęła również inkrustowana srebrem, błękitna, emaliowana szkatułka, w której Iwriana zamknęła zrabowane drogocenne kamienie – dolę Kocura.

Podniósłszy ku sobie białe, ściągnięte twarze, Kocur i Fafhrd ujrzeli w nich to samo straszne szaleństwo, ale też i zrozumienie to samo i ten sam cel. Nie musieli jeden drugiemu wyjaśniać, co tu nastąpiło, kiedy w odbieralniku Hristomila raptownie zaciągnęły się dwie pętlice z czarnych oparów, ani dlaczego Sliwkin podskakiwał i pisał z uciechy, ani znaczenia takich zwrotów jak „z nawiązką dostatek biesiadników”, czy „nie zapomnij łupu”, albo „wiadomą nam sprawą”. Fafhrd nie musiał tłumaczyć, dlaczego właśnie zrzucił swój płaszcz z kapturem, ani po co wyrwał sztylet Vlany, machnięciem dłoni strzepnął zeń szczurze ścierwo i wsunął broń za pas. Kocur nie musiał mówić, po co wyszukał pół tuzina flakonów z olejem i po roztrzaskaniu trzech przed frontem buzującego piecyka znieruchomiał, zważył coś w myślach i wsadził trzy pozostałe do worka u pasa, dorzucając jeszcze resztę rozpałek i wypełniony po brzegi czerwonymi węglami żarnik z mocno zasznurowaną pokrywą.

Po czym, wciąż bez słowa, okręcił rękę kilimem, sięgnął w głąb kominka i najspokojniej w świecie wywalił rozpalony piecyk drzwiczkami na przesycony olejem dywan. Buchnęły żółte płomienie.

Zawrócili biegiem do drzwi. Podłoga z ogłuszającym trzaskiem stanęła pod nimi dęba. Zdrowo się napociwszy, przebrnęli stromą stertę zjeżdżających dywanów i ledwo zdążyli wyskoczyć za próg, gdy wszystko opadło za ich plecami – płonące dywany, świece i złote łoże, stoliczki, szkatułki i flakoniki, i niewiarygodnie okaleczone ciała pierwszych miłości – wszystko runęło lawiną pomiędzy kurz, pył i pajęczyny dolnego piętra, a w górę strzeliły wielkie języki ognia, jeśli nie oczyszczenia, to przynajmniej obracającej w proch kremacji.

Zjechali ze schodów na złamanie karku i chwilę wcześniej, nim odleciały one od

ściany w ciemność, wstrząsając noc głuchym łomotem. Musieli się przedzierać przez ich rumowisko u wylotu Zaułka Kości. Płomienie wysuwały już wówczas swoje ogniste, jaszczurcze jęzory przez okienne kraty poddasza i zabite deskami okna niższego piętra. Biegając co sił, skręcili w Zaulek Zarazy, nim rozdzwoniła się kocia muzyka pożarowego alarmu, jaki ogarnął „Srebrnego Węgorza”. Nie zwalniając biegu, wpadli w Zaulek Śmierci. Tu Kocur złapał i siłą zatrzymał Fafhrda. Z obłędem w oku i śmiertelną bladością na twarzy wielkolud parł naprzód, klnąc na czym świat stoi, i usłuchał dopiero krzyku Kocura:

–Tylko dziesięć uderzeń serca na dobycie broni!

Odwiązał od pasa worek i mocno ścisnąwszy brzegi w garści, wyrznął nim o bruk z dostateczną siłą, aby roztrzaskać nie tylko butle oleju, ale i żarnik, gdyż płomień wkrótce zaczął lizać dno worka. Rozkręciwszy worek wielkim kołem dla rozdmuchania płomieni, obnażył następnie połyskliwy Skalpel, a Fafhrd Graywanda i obaj pomknęli jak na skrzydłach. Istna kula ognia parzyła Kocurowi lewą dłoń, gdy przeskoczywszy ulicę Tanią, wleciał z Fafhrdem do Domu Złodzieja i w potężnym wyskoku, z potężnym zamachem wprowadził ją do niszy nad górnym ościeżem i wypuścił z dłoni.

Strażnicy wrzaskiem zdumienia i bólu powitali ognistego gościa w swojej niszy, nie mając czasu na jakikolwiek użytek z mieczy, ani w ogóle żadnej posiadanej przez nich broni, przeciwko dwóm pozostałym gościom. Słyszając ten wrzask i tupot nóg, adepci złodziejstwa tłumnie wysypali się z sal na korytarz i jeszcze szybciej do nich wsypali z powrotem, ujrawszy okrutne oko ognia, parę napastników o twarzach demonów i długie, lśniące miecze. Pewien chudziutki, drobny terminator – nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat – trochę za długo zwlekał. Graywand bezlitośnie przeszył go na wylot w chwili, gdy rozwierał małe usta, by w przerażeniu błagać Fafhrda o zmiłowanie.

Wtem z głębi budynku doleciał niesamowity, skowytliwy okrzyk, głuchy i podnoszący włosy na głowie, i na jego zew zaczęły się drzwi zatrzaskiwać, miast wypluwać zbrojnych strażników, których Fafhrd i Kocur łaknęli dla swoich mieczy.

Ciemno też było w korytarzu mimo długich, zatkniętych w pierścienie i z wyglądu świeżo zmienionych pochodni. Przyczynę tej pomroki odkryli, wskakując na schody. Duszą schodów płynęły materializujące się z niczego albo z powietrza warkocze nocnego smogu. Coraz dłuższe, coraz liczniejsze, i coraz prężniejsze. Lgnęły do siebie i kleiły się obrzydliwie. W korytarzu na piętrze przywierały od ściany do ściany i od sufitu do podłogi na kształt olbrzymiej pajęczej sieci, tężejąc w tak mocne sznury, czy może tak płacząc dwójce przyjaciół w szalonych głowach, że zaczęli torować sobie drogę. Od siódmych drzwi w głębi korytarza doleciał drugi, nieco stłumiony przez czarne sieci, upiorny, skowytliwy krzyk, po którym dał się tym razem słyszeć rozradowany jazgot i rechot równie obłąkany, jak stan ducha Kocura i

Fafhrda.

I tutaj drzwi zatrzaszkiwały się z hukiem. W chwilowym opamiętaniu przyszło Kocurowi na myśl, że to nie on i Fafhrd napędzili stracha złodziejom, którzy nawet ich nie widzieli na oczy, i że to raczej Hristomilo ze swoimi czarami broniący Domu Złodzieja, przy okazji wystraszył jego mieszkańców. Nabijane żelaznymi ćwiekami wielkie dębowe drzwi barykadowały też salę tronową Krowasa, skąd najprawdopodobniej wyszedłby kontratak.

Już na każdy krok naprzód dwakroć cięli czarną, lepką, grubą jak powróż pajęczynę. W pół drogi między salą mapy a salą magii, wśród atramentowoczarnej sieci łągł się czarny pająk wielkości wilka, jeszcze widmowy, lecz w oczach przybierający cielesną postać. Ciachnąwszy grube nici przed potworem, Kocur cofnął się o dwa kroki i natarł z wyskokiem. Skalpel wyszedł z drugiej strony grona ośmiu czarnych jak węgle, nowo zrodzonych ślepi, a pająk oklapł niby dźgnięty nożem pęcherz, roztrzaskując ohydny smród.

Niebawem obaj zaglądali do komnaty magii i alchemii. Niewielkie zaszły tu zmiany od ich ostatniej wizyty, prócz tego, że coś niecoś uległo podwojeniu albo jeszcze bardziej zwielokrotniało.

Na długim stole dwa bulgoczące i bąblujące alembikowe sinowary wypluwały z czap lity, wijący się powróż chyżej niż sunie czarna kobra bagienna, która potrafi doścignąć człowieka, ale wypluwały nie do bliźniaczych odbieralników, lecz w świeże powietrze komnaty (jeżeli w ogóle jakieś powietrze w Domu Złodzieja można by wówczas nazwać świeżym), przędąc dla mieczy zaporę nie do przebycia, podczas gdy wysoki mimo garbu Hristomilo ponownie tkwił nad swoim czarnoksięskim, pożółkłym pergaminem, tak samo pogrążony w monotonnej recytacji, aczkolwiek tryumfalne spojrzenie utkwiał teraz w Kocurze i Fafhrdzie, z rzadka jedynie zerkając na tekst zaklęcia.

Na wolnej od pajęczych sznurów przestrzeni w drugim końcu stołu, obok przedtem samotnego Sliwikina podskakiwał drugi szczur równie olbrzymi we wszystkich członkach, prócz głowy.

Ze szczurzych nor pod ścianami pobłyskiwały i połyskiwały pary czerwonych oczu.

Rycząc wściekle, Fafhrd zaczął ciąć czarną zaporę, lecz miejsce porąbanego natychmiast zajmował sznur z alembików, zaś odcięte końce zamiast luźno zwisnąć, lały teraz chciwie ku niemu jak węże dusiciele lub dusicielskie pnącza. Znienacka przerzucił Graywanda do lewej ręki, wyciągnął swój długi nóż i cisnął nim w czarownika. W locie do celu nóż rozciął trzy powrozy, zboczył i zwolnił przy czwartym i piątym, prawie znieruchomiał na szóstym i zakończył lot na siódmym, daremnie zwisając w węzowym oplocie.

Hristomilo zarechotał chełpliwie i wyszczerzył zęby, zwłaszcza ogromne, górne siekacze, a Sliwikin zajazgotawszy w upojeniu, rozskakał się jeszcze wyżej.

Nie lepiej wyszedł Kocurowi rzut Kocim Pazurem – właściwie gorzej, bowiem wykorzystując moment, dwa śmigłe jak strzała powrozy smogu założyły mu krępujący chwyt na ramię z rapierem i dławiącą pętlę na szyję.

Czarne szczury wybiegły przed swoje wielkie nory w górze śmieci pod ścianami.

Inne powrozy tymczasem oplotły kostki, kolana i lewą rękę Fafhrda, omal nie zwalając go z nóg. Wciąż jeszcze łapał równowagę, gdy wznosił już ponad ramieniem wyrwany zza pasa sztylet Vlany, lśniący srebrem rękojeści i o głowni ściemniałej od zaschniętej, szcurzej krwi.

Na ten widok szyderczy uśmiech zniknął z twarzy Hristomila. Wydając niesamowity, rozpaczliwy skowyt, czarodziej nagle upuścił swój pergamin, cofnął się od stołu i wyciągnął szponiaste, szpotawe dłonie, aby oddalić zgubę.

Powrozy nie powstrzymały, a wręcz same jakby otworzyły drogę dla sztyletu Vlany, który śmignawszy przez czarną pajęczynę i pomiędzy wyciągniętymi szpotawymi dłońmi, zatonął po rękojeść w prawym oku czarodzieja.

Z piskiem straszliwej udręki Hristomilo wpił pazury w twarz.

Czarna pajęczyna skręciła się konwulsyjnie niczym w agonii.

Alembiki rozprysły się oba naraz i pokancerowanym stołem popłynęła z nich lawa, dławiąc na swych obrzeżach sine płomienie i dym, zanim ogień zaczął trawić grube drewno płyty. Słysząc było plaśnięcia lawy kapiącej na czarny marmur posadzki.

Z dłońmi wciąż przyciśniętymi do oczu ponad spiczastym nosem i ze srebrną rękojeścią sztyletu wciąż sterczącą spomiędzy palców, Hristomilo pisnął cicho po raz ostatni i runął na twarz.

Pajęczyna zbladła jak nie wyschły atrament zmyty strumieniem czystej wody.

Kocur dopadł Sliwikina i szczura olbrzyma, i jednym pchnięciem Skalpela przeszył oba potwory, które jeszcze nie pojęły, co się dzieje. Zdechły też z jednym piskiem i w jednej chwili, wszystkie pozostałe szczury zaś zawróciwszy z chyżością czarnych błyskawic, dały drapaką w głąb swoich nor.

Natenczas zniknął ostatni ślad po nocnym smogu czy też magicznej mgle i Fafhrd z Kocurem niespodziewanie odkryli, że stoją sami wśród trzech trupów i głębokiej ciszy przepelniającej, jak się zdawało, nie tylko tę komnatę, ale cały Dom Złodzieja. Nawet lawa z alembików stygła i twardniała w bezruchu, i drewniany stół już nie

dymił. Odeszło szaleństwo, a wraz z nim cała wściekłość, wyczerpana do ostatniej krwinki i nasycona bardziej niż do syta. Tyle im się chciało zabijać Krowasa, czy jakiegokolwiek złodzieja, co rozgniatać muchy. Oczywiście strwożonej duszy Fafhrd ujrzał żalną buzię złodziejskiego malca, którego zabił w gniewnym szale.

Jedynie rozpacz została, nic a nic nie pomniejszona, a nawet rosnąca coraz bardziej, rozpacz i jeszcze szybciej rosnąca odraza do wszystkiego wokół: do tych trupów, do zdemolowanej komnaty magii, do całego Domu Złodzieja, do całego miasta Lankhmar po ostatni ślepy zaułek i ostatni hełm wieży w girlandzie smogu.

Syknąwszy ze wstrętu, Kocur wyrwał Skalpel ze szcurzych zwłok, przetarł klingę w pierwszą szmatę, jaka mu się nawinęła, i wsunął broń do pochwy. Tak samo pobieżnie Fafhrd oczyścił i schował Graywanda. Następnie zebrali – każdy swój – nóż i sztylet z podłogi, gdzie na odchodne rozrzuciła je pajęczyna, ale nawet nie spojrzeli w stronę sztyletu o srebrnej rękojeści.

Na stole czarownika jednakże nie przeoczyli aksamitnej, zdobionej srebrem, czarnej sakiewki i pasa Vlany (pasa w połowie pod skamieniałą czarną lawą) oraz inkrustowanej srebrem, emaliowanej, błękitnej szkatułki lwriany. Z nich zabrali kamienie Jengao.

Nie zamieniwszy ze sobą ani słowa od rozmowy pod spalonym siedliskiem Kocura na tyłach „Węgorza”, lecz z niezachwianą wiarą w tożsamość swych celów, jedność swoich intencji i w swoją przyjaźń, z opuszczonymi ramionami, noga za nogą, bardzo powoli, stopniowo przyśpieszając kroku, od komnaty magii podążyli przez korytarz wyłożony puszystym dywanem, obok szerokich drzwi sali z mapą miasta, nadal zabarykadowanych dębem i żelazem, i obok wszystkich pozostałych, na glucho zapartych drzwi – najwyraźniej cała Gildia panicznie się bała Hristomila, jego czarów i jego szcurów – dalej rozbrzmiewającymi echem schodami w dół, przyśpieszając nieco, i przez dolny korytarz, gdzie ich kroki dudniły na gołej podłodze, jakkolwiek leciutko by stąpali, obok zatrzaśniętych, milczących drzwi, pod opustoszałą, osmaloną niszą strażniczą, przez bramę na ulicę Tanią, i ulicą Tanią w lewo na północ, ponieważ była to najkrótsza droga do ulicy Bogów, a ulicą Bogów w prawo na wschód – nie napotkawszy ani żywego ducha na szerokiej ulicy, poza chudym terminatorem, który zgięty do ziemi, smętnie szorował płyty chodnika przed winiarnią, aczkolwiek w szaroróżowym brzasku snującym się już ze wschodu dostrzegali wiele uśpionych postaci, chrapiących i śniących po rynsztokach i w mroku portyków – tak, w prawo na wschód ulicą Bogów, ponieważ tędy szło się do Błotnej Bramy otwartej na Groblany Gościniec przecinający Wielkie Słone Błota, i ponieważ przez Błotną Bramę można było najkrótszą drogą opuścić to miasto wielkie i wspaniałe, a jakże im teraz wstrętne i wprost nie do wytrzymania dłużej niż to konieczne, choćby o jedno więcej bolesne uderzenie ciężkiego jak kamień serca – miasto ukochanych duchów, którym nie mogliby spojrzeć w oczy.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/